

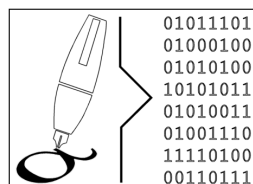
MICHAEL MOORCOCK

ELRYK Z MELNIBONE

Sagi o Elryku

Tom I

Przełożył: W. T. K



Tytuł oryginału:

Elric of Melniboné

Data wydania polskiego: 1994 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1993 r.

*Poulowi Andersonowi za „Złamany Miecz” oraz za „Trzy serca i trzy lwy”.
Nieżyjącemu już Fletcherowi Prattowi za „Studnię Jednorożca”.
Bertoldowi Brechtowi za „Operę za trzy grosze”, bowiem z niejasnych
powodów umieszczam ją wśród książek, które wywarły największy
wpływ na pierwszą część Sagi o Elryku.*

Drogi Czytelniku

Elryka określa się często jako antybohatera, ja jednak wolę uważać go po prostu za bohatera. W czasach mojego dorastania wszyscy bohaterowie (William, Tarzan, Mord Em'ly, Jo March i inni) byli to ludzie walczący o swoją wolność; zmuszeni do polegania na własnym sprycie i wartościach, są zarazem gotowi — nawet jeśli niechętnie — do wielkich poświęceń dla dobra ogółu.

Później zafascynowała mnie literatura analizująca mity, które sprawiają, że ten typ bohatera jest tak pociągający (na przykład „Lord Jim”). Dostrzegłem, że istnieją obszary, gdzie heroizm staje się zwykłą manipulacją, uruchamianą po to na przykład, by młode kobiety w imię poświęcenia godziły się na krzywdzące małżeństwo bądź młodzi ludzie oddawali życie w niesprawiedliwych wojnach.

„Wyalienowany” bohater czy bohaterka często zdolny jest usunąć się na bok i zrozumieć, co się naprawdę dzieje. Fikcja, w której są oni protagonistami, daje im siły (nieraz w walce ze straszliwymi przeciwnościami) do podejmowania dramatycznych kroków bądź zmagania z niebezpieczeństwami, którym większość z nas również stawiałaby czoło, gdybyśmy dysponowali ich możliwościami czy też mieli takich jak oni przyjaciół. W życiu realnym takie siły przejawiają się jedynie w działaniach zbiorowych i przy urnach wyborczych, choć znamy też przykłady indywidualnego heroizmu i męstwa zwykłych jednostek.

Nie widzę nic złego w bohaterach stanowiących ucieleśnienie marzeń człowieka o doskonałości. Wciąż jestem bezwstydnie przywiązany do moich własnych bohaterów, którzy w swych działaniach pozostają sceptyczni wobec władzy oraz tego, co ona głosi.

Rozpocząłem pisanie dziejów Elryka w połowie lat 50. Opowieści zmieniały się stopniowo, często z inspiracji Jima Cawthorna, który dostarczał mi pomysły i obrazy, aż w roku 1959 dostałem propozycję napisania do pisma „Science Fantasy” całego cyklu.

Postać Elryka powstała jako wynik świadomej opozycji wobec panującego kultu *macho*. Mój bohater pojawił się po raz pierwszy w „The Dreaming City” i gdy powróciłem do swej koncepcji, dopiero później opisałem jego wcześniejsze przygody. Elryk, jak pisałem wszędzie, stanowił odbicie człowieka, jakim byłem ja sam, gdy pisałem o nim po raz pierwszy. Jego udręki i poszukiwania łączyły się bardzo ściśle z moimi i tak jest poniekąd do dziś.

Elryk jako mój pierwszy prawdziwy bohater wzrastał poza niemowlęctwem i z nim najbardziej się identyfikuję. Kiedy nadałem jego historii ostateczny kształt i dokonałem drobnych korekt, wprowadziłem niewiele tylko zmian do prozy, która niczym twardy kundel przetrwała wszystkie wzloty i upadki dobrych kilka sezonów literackich. Mam nadzieję, że praca ta może stanowić źródło swego rodzaju przewrotnej przyjemności.

To, że inspirację czerpałem z takich autorów, jak: Anthony Skene ("Monsieur Zenith"), Fletcher Pratt ("Well of the Unicorn"), James Branch Cabell ("Jurgen"), Lord Dunsay, Fritz Leiber i Poul Anderson a także z „The Castle of Otranto”, „Ivanhoe”, „Melmoth” i innych książek, zostało wszędzie odnotowane.

Pierwsza powieść o Elryku, która wyszła w roku 1963, została poświęcona mojej matce. To wydanie dedykuję Johnowi Daveyowi, z wyrazami wdzięczności za jego nieocenioną pomoc.

Michael Moorcock

CZEŚĆ I

W wyspiarskim królestwie Melniboné, choć potęga tego państwa wygasła przed pięciuset laty, nadal przestrzegane są dawne zwyczaje. Teraz jedynie handel z Młodymi Królestwami oraz fakt, że Imrryr stało się miejscem spotkań kupców, podtrzymuje sposób życia Melniboné. Czy te zwyczaje nie są już potrzebne? Czy można się ich wyprzeć i uniknąć przeznaczenia? Ten, który chciałby rządzić na miejscu cesarza Elryka, uważa, że nie. Utrzymuje, że Elryk swoją odmową poszanowania starych zwyczajów (Elryk wiele z nich szanuje) sprowadzi na Melniboné zagładę. Tak oto rozpoczyna się tragedia, która zakończy się wiele lat później i przyspieszy koniec tego świata.

Rozdział 1

SMUTNY WŁADCA

Jego ciało ma barwę zbielejącej czaszki, długie, spływające poniżej ramion włosy są mlecznobiałe. Z wąskiej, pięknej twarzy spoglądają skośne, purpurowe i ponure oczy. Z dużych rękawów żółtej szaty wyłaniają się dwie wąskie białe dłonie, wsparte na poręczach tronu, wyrzeźbionego z jednego masywnego bloku rubinu.

Purpurowe oczy są zatroskane; dłoń unosi się od czasu do czasu, by dotknąć lekkiego hełmu, spoczywającego na białych lokach. Wykonany z ciemnego, zielonkawego stopu hełm jest cudownie odlany na podobieństwo zrywającego się do lotu smoka. Na dłoni gładzącej z roztargnieniem koronę błyszczą pierścień, w którym osadzony jest pojedynczy, rzadki kamień Actorios. Jego jądro przemieszcza się czasem leniwie i zmienia kształt. Jest równie niespokojne w swym drogocennym więzieniu jak młody albinos, siedzący na Rubinowym Tronie.

Młodzieniec spogląda w dół długiego szeregu kwarcytowych stopni. W sali na dole jego dworzanie tańczą z taką subtelnością i wdziękiem, jakby byli duchami, a nie istotami z krwi i kości.

Albinos rozważa w myśli problemy moralne i to zajęcie różni go od znakomitej większości jego poddanych; dla tego narodu nie jest ich godne. To mieszkańcy Melniboné, Smoczej Wyspy, która panowała nad światem przez dziesięć tysięcy lat i utraciła swą supremację około pięćset lat temu. Są okrutni i mądrzy, „moralność” zaś dla nich oznacza kultywowanie tradycji setek lat.

Temu młodzieńcowi, czterysta dwudziestemu ósmemu w prostej linii potomkowi pierwszego czarnoksięskiego cesarza Melniboné, ich zarozumiałstwo wydaje się nie tylko arogancją, ale i głupotą. To oczywiste, że Smocza Wyspa straciła znaczną część swej potęgi. Wkrótce, i jest to kwestia jednego czy dwóch wieków, czeka ją otwarty konflikt z tworzącymi się na południu państwami ludzi. Melnibonéanie nazywają je nieco protekcyjnie Młodymi Królestwami, chociaż pirackie floty tych państw podejmowały już nieudane ataki na Imrryr Piękne Miasto, stolicę Smoczej Wyspy. Mimo to nawet najbliżsi przyjaciele cesarza nie chcą rozmawiać o perspektywie upadku Melniboné. Nie lubią, gdy o tym wspomina;

uważają jego spostrzeżenia za nieprzemyślane, stanowiące poza tym naruszenie dobrego smaku.

Samotny cesarz nadal siedzi pogrążony w myślach. Gdyby jego ojciec, Sadryk LXXXVI, splodził więcej dzieci, jego miejsce na Rubinowym Tronie mógłby zająć odpowiedniejszy władca.

Sadryk zmarł przed rokiem; zdawał się szeptać radosne powitania temu, który przyszedł, by zabrać jego duszę. Przez większą część życia nie znał innej kobiety poza żoną, która umarła, wydając na świat jedynego potomka o słabej krwi. Sadryk kochał swą żonę uczuciami Melnibonéanina, tak dziwnie odmiennymi od uczuć nowych przybyszów — ludzi. Niczyja obecność nie dawała mu radości. Nie potrafił przeżywać szczęścia nawet w towarzystwie syna, który ją zabił, syna który był zarazem wszystkim, co po sobie pozostawiła.

Młody cesarz wzrastał, pojony naparami z rzadkich ziół, żył dzięki magicznym napojom leczniczym i psalmom. Jego siły podtrzymywane były sztucznie; wszelka wiedza i umiejętności czarnoksięskich królów Melniboné służyły temu celowi. I przeżył, wciąż żyje, choć bez pomocy środków pobudzających i zabiegów magicznych nie byłby zdolny poruszyć ręką.

Dodatnią stroną trwającej całe życie słabości młodego cesarza było to, iż z konieczności wiele czytał. Nim skończył piętnaście lat, przeczytał wszystkie książki z biblioteki ojca, niektóre nawet kilkakrotnie. Jego czarnoksięskie moce, których początkowo uczył się od Sadryka, były teraz potężniejsze niż te, którymi przez wiele pokoleń władali jego przodkowie. Posiadał głęboką wiedzę o świecie poza granicami Melniboné, chociaż niewiele z niej dane mu było sprawdzić. Gdyby chciał, mógłby wskrzesić dawną potęgę Smoczej Wyspy i, jak pozbawiony uczuć tyran, rządzić nie tylko własnym państwem, ale i Młodymi Królestwami. Jednakże wiedza nauczyła go wątpić w korzyści płynące z użycia siły, poddawać w wątpliwość motywy własnego działania oraz to, czy w ogóle powinien używać swej mocy w jakiegokolwiek sprawie. Oczytanie doprowadziło go do tej „moralności”, którą ledwie zaczynał rozumieć.

Dla swoich poddanych jest zatem zagadką. Niektórzy z nich uważają nawet, że stanowi zagrożenie, ponieważ nie myśli ani nie postępuje zgodnie z ich wyobrażeniami o tym, jak prawdziwy Melnibonéanin (a zwłaszcza cesarz) powinien myśleć i postępować. Jego kuzyn Yyrkoon nie raz i nie dwa wyrażał poważne wątpliwości co do prawa cesarza do panowania nad ludem Melniboné. „Ten słabowity erudyta sprowadzi zgubę na nas wszystkich” — powiedział pewnej nocy do Dyvima Tvara, Pana Smoczyc Jaskiń.

Dyvim Tvar, jeden z nielicznych przyjaciół cesarza, wiernie powtórzył mu całą rozmowę, ale młodzieniec zbagatelizował te uwagi, uznając je za „nic nie znaczącą zdradę”. Tymczasem każdy z jego przodków ukarałby wygłaszanie takich słów bardzo długą i wyrafinowaną publiczną egzekucją.

Yyrkoon, który nawet teraz nie ukrywa swego przekonania, że to on powinien

być królem, jest bratem Cymoril, co jeszcze bardziej komplikuje stanowisko cesarza. Albinos bowiem uważa ją za najbliższą sobie osobę, i Cymoril pewnego dnia zostanie cesarzową.

Niżej, na mozaikowej posadzce pałacu księżę Yyrkoon, odziany we wszystkie swe najwspanialsze jedwabie, brokaty i futra, obwieszony klejnotami, tańczy wśród setki kobiet. Krążą pogłoski, że każda z nich była jego kochanką. Ciemną twarz Yyrkooona, urodziwą i ponurą zarazem, okalają długie czarne włosy, ułożone w loki i natarte olejkami. Jak zawsze szydery, zachowuje się butnie. Ciężki brokatowy płaszcz kołysze się w takt jego ruchów, uderzając silnie pobliskich tancerzy.

Yyrkoon nosi go, jakby była to zbroja, może nawet oręż. Wielu dworzan żywi dla księcia duży respekt. Niewielu czuje się dotkniętych jego pychą, a ci, którym nie podoba się jego sposób bycia, boją się to okazać. Wiadomo bowiem, że Yyrkoon jest potężnym czarnoksiężnikiem. Poza tym, jego zachowanie jest w końcu takie, jakiego dwór oczekuje od wielkiego pana z Melniboné; jakie mile widziane byłoby u cesarza.

Cesarz o tym wie. Chciałby zadowolić dwór, który usiłuje uhonorować go tańcem i dowcipem. Nie może jednak zmusić się do udziału w czymś, co sam uważa za nużący i irytujący ciąg rytualnych póz. W tym jednym jest może nawet bardziej arogancki niż Yyrkoon, będący przykładem typowego prostaka.

Muzyka w galerii rozbrzmiewa teraz głośniejsz i staje się bardziej wyrafinowana. Niewolnicy — specjalnie szkoleni, z gardłami przygotowanymi chirurgicznie do doskonałego śpiewu — zdwajają wysiłki. Nawet młody cesarz jest poruszony smutną harmonią ich pieśni, przewyższającą wszystko, co wyrażano wcześniej ludzkim głosem. Dlaczego to właśnie ból przynosi tak cudowne piękno? — zastanawia się cesarz. A może trzeba cierpienia, by tworzyć piękno? Czy to właśnie stanowi tajemnicę wielkiej sztuki; zarówno ludzkiej, jak ich, Melnibonéan?

Cesarz Elryk przymyka oczy.

W sali na dole następuje jakieś poruszenie. Otwierają się drzwi i dworzanie przerywają taniec. Cofają się i kłaniają nisko przed wchodzącymi żołnierzami. Odziani są w jasny błękit, mają zdobione bogato hełmy, uformowane w fantastyczne kształty; kosztowne wstęgi zdobią ich długie włócznie o szerokich grotach. Otaczają młodą kobietę, której błękitna suknia harmonizuje z ich mundurami. Jej nagie ramiona zdobi pięć czy sześć bransolet z brylantów, szafirów i złota. Sznury tych kamieni ma także wplecione we włosy. W odróżnieniu od większości kobiet na dworze nie ma nawet śladu makijażu na powiekach i policzkach.

Elryk uśmiecha się. To Cymoril. Żołnierze stanowią jej osobistą, ceremonialną straż, która zgodnie z tradycją eskortuje ją na dwór. Wstępują na schody wiodące do Rubinowego Tronu. Elryk wstaje powoli i wyciąga ręce.

— Cymoril! Sądziłem, że postanowiłaś nie zaszczycać dziś dworu swą obec-

nością.

— Panie mój, uznałam, że mimo wszystko mam ochotę na rozmowę — odpowiada kobieta z uśmiechem.

Elryk jest jej wdzięczny. Ona wie, jak bardzo jest znudzony. Wie również, że jest jedną z niewielu osób w Melniboné, z którymi cesarz lubi rozmawiać. Gdyby etykieta na to pozwalała, zaproponowałby jej miejsce na tronie, ale dziewczyna musi usiąść na ostatnim schodku u jego stóp.

— Usiądź, proszę, słodka Cymoril. — Elryk siada z powrotem na tronie i pochyla się ku niej.

Dziewczyna zajmuje wskazane jej miejsce, patrząc mu w oczy z mieszaniną rozbawienia i czułości. Jej gwardziści cofają się i stają po bokach tronu razem ze strażą Elryka. Teraz jedynie Elryk może słyszeć jej głos.

— Czy pojechałbyś jutro ze mną w dzikie zakątki wyspy, panie?

— Są sprawy, którym powinienem poświęcić swą uwagę. Pociąga go jednak ten pomysł. Minęło już tyle tygodni od czasu ich ostatniej konnej wyprawy za miasto. Jechali wówczas razem, a ich eskorta trzymała się w dyskretnym oddaleniu.

— Czy to pilne sprawy? Elryk wzrusza ramionami.

— Jakież sprawy są pilne w Melniboné? Po dziesięciu tysiącach lat na większość problemów można patrzeć z pewnej perspektywy. — Jego uśmiech przypomina uśmieszek ucznia, który zamierza uciec swemu nauczycielowi. — Doskonale. Wyjedziemy wczesnym rankiem, zanim inni się obudzą.

— Powietrze poza murami Imriryru będzie czyste i ostre. Słońce będzie już gorące, a niebo błękitne i bezchmurne...

Elryk śmieje się.

— Jakich to czarów musiałaś użyć, by spełniły się te życzenia?

Cymoril spuszcza oczy i kreśli palcem linie na marmurze posadzki.

— Och, całkiem niewielkich... Mam trochę przyjaciół wśród najlichszych żywiołów.

Elryk pochyla się, by dotknąć jej pięknych, jedwabistych włosów.

— Czy Yyrkoon wie?

— Nie.

Książę Yyrkoon zabrania siostrze mieszać się w sprawy magii. Jego przyjaciele wywodzą się jedynie spośród mroczniejszych między nadprzyrodzonymi istotami, toteż wie, jak niebezpiecznie zadawać się z nimi. Przypuszcza więc, że wszystkie czarnoksiężskie przedsięwzięcia zawierają podobny element niebezpieczeństwa. Poza tym nie może ścierpieć myśli, że inni posiadają moc, jaką on włada. Prawdopodobnie tego właśnie nienawidzi w Elryku najbardziej.

— Miejmy nadzieję, że pięknej pogody wystarczy jutro dla całego Melniboné — mówi Elryk.

Cymoril patrzy na niego zaintrygowana. Ona nadal należy do Melniboné. Nie przyszło jej na myśl, że jej czary mogłyby komuś przeszkadzać. Teraz wzrusza tylko cudownymi ramionami i dotyka lekko dłoni swego pana.

— Ta „wina” — mówi. — To przeszukiwanie sumienia... Nie jestem w stanie zrozumieć jego celu.

— Muszę przyznać, że ja również. Wydaje się, że nie ma żadnej praktycznej wartości. A przecież niejedyn z naszych przodków przepowiadał zmianę w naturze naszego ludu. Zmianę tak duchową, jak i cielesną. Może widzę zwiastuny tej zmiany, gdy nachodzą mnie owe dziwaczne, obce myśli?

Muzyka nasila się, potem opada i znów nasila. Dworzanie tańczą, choć wiele par oczu kieruje się ku Elrykowi i Cymoril, rozmawiającym na szczycie podwyższenia. Nie kończą się domysły. Kiedy Elryk ogłosi Cymoril przyszlą cesarżową? Czy przywróci dawny, zniesiony przez Sadryka zwyczaj poświęcania dwunastu par młodożeńców Władcom Chaosu, by zapewnili pomyślność w małżeństwie królom Melniboné? Przecież to oczywiste, że ta właśnie decyzja Sadryka sprowadziła nieszczęście na niego i śmierć na jego żonę, przyniosła mu chorowitego syna i zagroziła ciągłości monarchii. Elryk musi przywrócić ten zwyczaj. Z pewnością nawet on boi się, by nie odezwała się klątwa, jaka spadła na jego ojca. Niektórzy jednak twierdzą, że Elryk nie uczyni nic zgodnie z tradycją i jego postępowanie zagraża nie tylko jego życiu, ale i istnieniu samego Melniboné i wszystkiego, co ono reprezentuje. Ci, którzy tak mówią, zdają się być w dobrych stosunkach z księciem Yyrkoonem.

On zaś tańczy nadal, pozornie czy też naprawdę nieświadom tych głosów i tego, że jego siostra rozmawia cicho z kuzynem zasiadającym na Rubinowym Tronie. Ten cesarz przysiadł na brzegu fotela niepomny na swą godność; nie ma w nim ani trochę pogardliwej dumy, jaka dawniej cechowała każdego władcę Melniboné. Gawędzi z ożywieniem, zupełnie nie zważając na to, że dworzanie tańczą, by go zabawić.

Księżę Yyrkoon zastyga nagle w pół obrotu i podnosi swe ciemne oczy, by spojrzeć na cesarza. Dokładnie wyliczona dramatyczna poza Yyrkoona przyciąga uwagę Dyvima Tvara i Pan Smoczycch Jaskiń marszczy brwi. Sięga ręką do boku, gdzie zawsze wisi jego miecz. Teraz jednak to miejsce jest puste. Na balu dworskim nie nosi się mieczy. Dyvim Tvar nieznacznie, lecz z uwagą obserwuje księcia, wstępującego na schody Rubinowego Tronu. Wiele par oczu śledzi cesarskiego kuzyna i nikt już nie tańczy, mimo że nadzorca niewolników zmusza ich do coraz większego wysiłku, a muzyka staje się coraz głośniejsza.

Elryk podnosi wzrok. Jego kuzyn stoi o stopień niżej od tego, na którym siedzi Cymoril. Yyrkoon składa ukłon, z którego przebija ledwo uchwytna pogarda.

— Twój sługa oddaje ci się, panie — mówi.

Rozdział 2

PIERWSZE STARCIE

Jak bawisz się na balu, kuzynie? — pyta Elryk. Jest świadom, że melodramatyczny akt wiernopoddaństwa Yyrkoona został przygotowany specjalnie po to, by go zaskoczyć i jeśli to możliwe, poniżyć.

— Czy podoba ci się muzyka?

Yyrkoon spuszcza oczy; jego usta układają się w tajemniczy uśmiezek.

— Podoba mi się wszystko, suzerenie. A tobie? Czyżby coś cię nie zadowalało? Nie tańczysz!

Elryk podparł bladym palcem podbródek. Utkwił wzrok w przysłoniętych powiekami oczach Yyrkoona.

— A jednak podoba mi się taniec, kuzynie. Można przecież znajdować przyjemność w zadowoleniu innych.

Yyrkoon jest zdumiony. Otwiera szeroko oczy i napotyka wzrok Elryka. Elryk wzdyga się lekko i odwraca spojrzenie. Wiotką ręką wskazuje galerie dla muzyków.

— Może zresztą to ból innych sprawia mi przyjemność. Nie troszcz się o mnie, kuzynie. Jestem zadowolony. Tak, zadowolony. Możesz tańczyć dalej. Bądź pewien, że twemu cesarzowi podoba się bal.

Niełatwo jednak odwrócić uwagę Yyrkoona od celu, do którego zmierza.

— Czyż cesarz nie powinien okazać zadowolenia, by jego poddani nie odeszli zasmuceni i zmartwieni, że nie rozbawili swego władcy?

— Chciałbym ci przypomnieć, kuzynie, że cesarz nie ma żadnych obowiązków wobec swych poddanych, oprócz obowiązku rządzenia nimi — odpowiada spokojnie Elryk. — To oni służą jemu. Taka jest tradycja Melniboné.

Yyrkoon nie spodziewał się, że Elryk użyje przeciw niemu takiego argumentu. Gorączkowo szuka riposty.

— Zgadzam się, panie. Obowiązkiem cesarza jest rządzić poddanymi. Być może dlatego tak wielu z nich nie bawi się na balu tak, jak mogliby.

— Nie rozumiem cię, kuzynie.

Cymoril podnosi się. Stoi zaciskając dłonie, napięta, zaniepokojona drwiącym tonem brata, jego lekceważącym zachowaniem.

— Yyrkoon. . . — mówi.

Udaje, że dopiero teraz zauważył jej obecność.

— Ty tutaj, siostrze? Widzę, że podzielasz niechęć cesarza do tańca.

— Yyrkoon, posuwasz się za daleko — zwraca się do niego szeptem dziewczyna. — Cesarz jest wyrozumiały, ale. . .

— Wyrozumiały? A może nierozważny? Czy troszczy się o tradycje naszej wspaniałej rasy? Czyż nie traktuje z pogardą jej dumy?

Do tronu podchodzi Dyvim Tvar. Najwyraźniej wyczuł, że Yyrkoon wybrał ten moment, by wypróbować siłę Elryka.

Cymoril jest przerażona.

— Yyrkoon, gdybyś żył. . . — mówi szybko.

— Nie dbałbym o życie, gdyby zginąć miała dusza Melniboné. A strażniczką duszy naszego narodu jest odpowiedzialność cesarza. Cóż stałoby się, gdybyśmy mieli władcę pozbawionego tej odpowiedzialności? Słabego władcę? Cesarza, który nie troszczyłby się o wielkość Smoczej Wyspy i jej ludu?

— Nieuzasadnione pytania, kuzynie. — Elryk odzyskał już panowanie nad sobą i wolno cedzi słowa zimnym głosem. — Taki cesarz nigdy nie zasiadał na Rubinowym Tronie i nigdy na nim nie zasiądzie.

Dyvim Tvar zbliżył się i dotknął ramienia Yyrkoona.

— Książę, jeśli cenisz swą godność i życie. . . Elryk uniósł dłonie.

— Nie trzeba, Dyvim Tvar. Książę Yyrkoon rzadko zabawia nas intelektualną rozmową. Obawiając się, że jestem znudzony muzyką i tańcem, choć wcale tak nie jest, pomyślał, iż dostarczy tematu do podniecającej dysputy. Myślę, że zabawiłeś nas nadzwyczajnie, książę Yyrkoonie — Elryk zabarwił ostatnie zdanie ojcowskim ciepłem.

Yyrkoona ogarnął gniew. Zagryzł wargi.

— Mów jednak dalej, drogi kuzynie — dodał Elryk. — Ta rozmowa mnie zaciekawiła. Mów dalej. . .

Yyrkoon obejrzał się, jakby szukając poparcia. Wszyscy jego zwolennicy byli jednak w sali na dole. Obok miał tylko przyjaciół Elryka — Dyvima Tvara i Cymoril. Wiedział dobrze, że jego stronnicy słyszeli każde słowo i że straciłby twarz, gdyby teraz nie znalazł odpowiedzi.

Elrykowi wydaje się, że Yyrkoon wolałby wycofać się z tego starcia. Wybrałby zapewne inny dzień i miejsce, by kontynuować słowną potyczkę, ale nie może tego uczynić. Sam Elryk nie ma zamiaru przeciągać tej głupiej rozmowy. Jest nie tylko niesmaczna, ale i niewiele mądrzejsza od kłótni dwóch dziewczynek o to, która pierwsza ma się zabawiać niewolnikami. Zdecydował się położyć jej kres.

— Pozwól mi więc przyjąć, że cesarz fizycznie słaby miałby także zbyt słabą wolę, by rządzić jak przystoi. . . — zaczął znów Yyrkoon, ale Elryk uniósł dłonie.

— Powiedziałeś już dosyć, drogi kuzynie. Nawet za dużo. Nudziłeś się tą rozmową, podczas gdy wolałbyś zapewne tańczyć. Wzruszony jestem twą troską. Teraz jednak i ja czuję skradające się ku mnie znużenie.

Elryk wstał i skinął na starego sługę Tanglebonesa, stojącego wśród żołnierzy po drugiej stronie tronu.

— Tanglebones! Mój płaszcz. . . Raz jeszcze dziękuję ci za twą troskę, kuzynie.

— Zabawiliście mnie, odchodzę zadowolony — rzekł, zwracając się do dworzan.

Tanglebones przyniósł płaszcz z białych lisów i zarzucił go na ramiona swego pana. Tanglebones jest bardzo stary i choć jego plecy są przygarbione, a członki guzowate i powykręcane jak konary mocnego, starego drzewa, jest znacznie wyższy od Elryka. Elryk przechodzi wolno przez salę i znika w drzwiach, które otwierają się na korytarz, prowadzący do jego prywatnych apartamentów.

Yyrkoon pozostał sam. Kipiał gniewem. Odwrócił się na podwyższeniu tronu i otworzył usta, jakby chciał przemówić do patrzących na niego dworzan. Jego przeciwnicy uśmiechali się otwarcie. Zacisnął pięści i popatrzył na nich złowrogo. Przeniósł wzrok na Dyvima Tvara. Pan Smoczych Jaskiń chłodno odwzajemnił to spojrzenie, wyraźnie rzucając mu wyzwanie. Yyrkoon potrząsnął głową i ciężkie, natarte olejkami loki rozsypały się na jego plecach. Roześmiał się i ostry śmiech wypełnił salę.

Muzyka urwała się, a on śmiejąc się ciągle, ruszył w górę podwyższenia. Szedł powoli coraz wyżej. Ciężki płaszcz ciągnął się za nim, jakby ściągając go w dół. Cymoril postąpiła naprzód.

— Yyrkoon, proszę cię, nie. . .

Odepchnął ją jednym ruchem ramienia. Zdecydowanie zmierzał w stronę Rubinowego Tronu i wszyscy zrozumieli, że chce na nim usiąść, by w ten sposób dokonać jednego z najbardziej wiarołomnych czynów, jakie przewidywał zbiór praw Melniboné. Cymoril wbiegła za nim po stopniach i pociągnęła go za rękę.

Śmiech Yyrkoona zabrzmiał jeszcze głośniejszy.

— To ja jestem tym, którego poddani chcieliby widzieć na Rubinowym Tronie — rzekł do siostry.

Zaczerpnęła głośno powietrza i spojrzała przerażona na Dyvima Tvara. Jego twarz była ponura i gniewna. Skinął na strażę i nagle między Yyrkoonem a tronem stanęły dwa szeregi uzbrojonych mężczyzn. Yyrkoon obejrzał się na Pana Smoczych Jaskiń.

— Módl się, abyś zginął wraz ze swym panem — syknął.

— Ta zaszczytna gwardia przyboczna będzie cię eskortować z sali — powiedział gładko Dyvim Tvar. — Wprowadziłeś ożywienie do dzisiejszej konwersacji, książe Yyrkoonie.

Yyrkoon przestał się śmiać. Rozejrzał się już opanowany i wzruszył ramionami.

— Jest dość czasu. Jeżeli Elryk nie abdykuje, trzeba będzie go usunąć.

Szczupłe ciało Cymoril zeszywniało, jej oczy rozbłyły.

— Jeśli spróbujesz skrzywdzić Elryka, sama cię zabiję! Uniósł wąskie brwi i uśmiechnął się. W tej chwili zdawał się nienawidzić siostry bardziej niż kuzyna.

— Twoja lojalność wobec niego określiła twój los, Cymoril. Wolałbym, abyś umarła, niż dała życie jego potomkowi. Nie zniosę, by nasza krew osłabła, skaziła się, bodaj zetknęła się z jego krwią. Strzeż własnego życia, siostrze, zanim zaczniesz grozić mojemu.

Zbiegł po schodach, roztrącając tych, którzy szli, by mu gratulować. Wiedział, że został pokonany i szeptach pochlebców jedynie go irytowały. Wielkie drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.

Dyvim Tvar uniósł ręce.

— Tańczcie, dworzanie. Niech bawi was wszystko, co można tu znaleźć. To właśnie najbardziej ucieszy cesarza.

Widać było jednak, że niewielu będzie cieszyć się tańcem. Podekscytowani dworzanie w ożywionych rozmowach rozważali ostatnie wydarzenia. Dyvim Tvar odwrócił się do Cymoril.

— Elryk nie chce zrozumieć niebezpieczeństwa, księżniczko. Ambicje Yyrkoona sprowadzą nieszczęście na nas wszystkich.

— Na Yyrkoona także — westchnęła Cymoril.

— Tak, na niego także. Nie uda nam się tego uniknąć, jeśli Elryk nie wyda rozkazu aresztowania twego brata.

— On uważa, że tacy jak Yyrkoon powinni mieć prawo mówić wszystko. Stanowi to część jego filozofii. Trudno mi ją pojąć, ale wydaje się, że ów pogląd jest zasadniczym elementem jego przekonań. Jeśli zniszczy Yyrkoona — zniszczy podstawy, na których opiera się jego logika. Tak w każdym razie próbował mi to wytłumaczyć, Władco Smoków.

Dyvim Tvar westchnął. Nie rozumiał Elryka i bał się, że mógłby znaleźć zrozumienie dla stanowiska Yyrkoona. W końcu jego motywy i argumenty były stosunkowo proste. Znał jednak zbyt dobrze charakter Elryka, by mógł przyjąć, że niezwykle postępowanie cesarza wynikało ze słabości czy znużenia. Elryk tolerował perfidię Yyrkoona, ponieważ był potężny, i w tym tkwił paradoks. Dysponował dostateczną siłą, by zniszczyć Yyrkoona, kiedykolwiek tego zechce. Z kolei Yyrkoon musiał stale badać siłę Elryka. Czuł bowiem instynktownie, że gdyby Elryk w chwili słabości kazał go zabić, wówczas on byłby zwycięzcą. Była to sytuacja bardzo złożona i Dyvim Tvar dałby wszystko, aby nie uwikłać się w nią. Jego lojalność wobec królewskiej linii Melniboné była jednak silna, wielkie też było jego przywiązanie do Elryka. W swych rozważaniach nad rozwiązaniem sytuacji brał pod uwagę nawet myśl o sekretnym zamordowaniu Yyrkoona. Wie-

dział jednak, że szansę powodzenia takiego planu byłyby znikome. Yrkoon był czarnoksiężnikiem o ogromnej potędze i bez wątpienia zostałby ostrzeżony przed wszelką próbą zamachu.

— Księżniczko Cymoril — rzekł. — Mogę jedynie modlić się o to, by nienawiść, jaką twój brat w sobie gromadzi, w końcu go zatrąła.

— Będę się o to modlić wraz z tobą, Panie Smoczych Jaskiń.

Opuścili razem salę.

Rozdział 3

PORANNA PRZEJAZDŹKA

Brzask wczesnego poranka dotknął i roziskrzył wysokie wieże Imrryru. Każda miała inną barwę; delikatnych odcieni było tam tysiące. Kolory róż i żółcie pyłku kwiatowego, szkarłat i seledyn, jasna purpura, brąz i oranż, mglisty błękit i barwa starego złota — wszystkie wieże były cudownie piękne w blasku słońca.

Dwoje jeźdźców wyjechało z Imrryru. Zostawili za sobą mury i pędzili przez zielone torfowisko w stronę sosnowego lasu, gdzie wśród cienistych pni zdawały się drzemać resztki nocy. Krzątały się tu już wiewiórki, lisy pomykały do nor. Ptaki śpiewały, a leśne kwiaty rozchyłały kielichy i napełniały powietrze delikatnym zapachem. Kontrast między życiem w pobliskim mieście a tą senną sielanką był ogromny. Wydawał się być odzwierciedleniem sprzecznych myśli, kłębiących się w głowie jednego z jeźdźców, który zeskoczył z konia i prowadził go za uzdę, brodząc po kolana w gęstwinie błękitnych kwiatów. Jadąca obok dziewczyna zatrzymała swego wierzchowca, ale nie zsiadła. Wsparta lekko na wysokim łęku siodła, uśmiechnęła się do swego kochanka.

— Elryku, czyżbyś chciał zatrzymać się tak blisko Imrryru? Odpowiedział jej uśmiechem.

— Tylko na chwilę. Nasza ucieczka nie była przemyślana. Chciałbym zebrać myśli, zanim pojedziemy dalej.

— Jak spałeś ostatniej nocy?

— Nawet nieźle, choć, nie wiedząc o tym, musiałem śnić, bowiem po przebudzeniu pozostały mi jakieś nikłe wspomnienia. Ale przecież spotkanie z Yyrkonem nie należało do przyjemnych.

— Czy sądzisz, że ma zamiar użyć przeciw tobie magii? Elryk wzruszył ramionami.

— Gdyby użył przeciw mnie wielkich czarów, wiedziałbym o tym. Poza tym zna moją moc. Wątpię, czy ośmieli się posłużyć magią.

— Ma powody, by wierzyć, że nie skorzystasz ze swych umiejętności. Twoja osobowość niepokoi go od tak dawna. . . Czy nie obawiasz się, że zaczniesz dręczyć

go też twoja sztuka? A jeśli zaczniesz poddawać próbie twoją moc czarnoksiężką, tak jak wypróbujesz twą cierpliwość?

Elryk zmarszczył brwi.

— Tak, przypuszczam, że to możliwe. Ale jeszcze nie teraz.

— On nie spocznie, póki cię nie zniszczy, Elryku.

— Albo dopóki nie zniszczy sam siebie, Cymoril. — Elryk pochylił się i zerwał kwiat. Uśmiechnął się. — Twój brat ma skłonność do bezwzględnych prawd, czyż nie? Jakże słaby nienawidzi słabości!

Cymoril zrozumiała. Zsiadła z konia i podeszła do niego. Kolor jej sukni był niemal taki sam jak barwa kwiatów, wśród których stała. Elryk podał jej kwiat. Przyjęła go i dotknęła jego kielicha swymi pięknymi wargami.

— I jakże silny nienawidzi siły, ukochany. Yyrkoon jest moim bratem, mimo to radzę ci, byś użył przeciw niemu swych mocy.

— Nie mogę go zabić. Nie mam prawa. — Jego twarz przybrała tak znany jej wyraz zamyślenia.

— Mógłbyś go wygnać.

— Czyż wygnanie nie jest dla Melnibonéanina śmiercią?

— Wszak ty sam mówiłeś o podróżach po krajach Młodych Królestw.

Elryk roześmiał się i jego śmiech zabrzmiał trochę gorzko.

— Ale może ja nie jestem prawdziwym Melnibonéaninem. Yyrkoon stale to mówi, a inni powtarzają jego słowa.

— On cię nienawidzi, bo cię nie rozumie; jesteś myślicielem. Twój ojciec też nim był, a nikt nie przeczy, że był dobrym cesarzem.

— Mój ojciec nie opierał swych poczynań na wynikach tych rozmyślań. Rządził tak, jak powinien rządzić cesarz. Muszę przyznać, że i Yyrkoon byłby dobrym władcą. Ma wszelkie dane, by znów uczynić Melniboné potężnym. Gdyby był cesarzem, ruszyłby na wyprawę, by przywrócić dawne znaczenie naszemu handlowi i rozszerzyć naszą potęgę po krańce świata. Tego właśnie chce większość narodu. Czy mam prawo odmawiać ludowi tych pragnień?

— Masz prawo postępować tak jak chcesz, bo jesteś cesarzem. Wszyscy, którzy są ci wierni, myślą podobnie jak ja.

— Być może są wierni nie temu, komu trzeba. Może to Yyrkoon ma rację, ja zaś zawiodę ich oczekiwania i sprowadzę przekleństwo na Smoczą Wyspę? — Utkwił smutne, purpurowe oczy w jej twarzy. — Może powinienem być umrzeć, gdy opuściłem łono matki? Wówczas cesarzem zostałby Yyrkoon. Czyżby przeznaczeniu pokrzyżowano plany?

— Przeznaczenia nie można oszukać. To co się stało — stało się, bo tak chciał los. Jeśli oczywiście istnieje coś takiego jak przeznaczenie, a postępowanie człowieka nie jest po prostu wynikiem działania innych ludzi.

Elryk odetchnął głęboko i spojrział na nią z ironią.

— Twoje rozumowanie, Cymoril, prowadzi wprost do herezji, jeśli wierzyć tradycjom Melniboné. Może byłoby lepiej, gdybyś zapomniała o naszej przyjaźni.

Roześmiała się.

— Zaczynasz mówić jak mój brat. Czyżbyś poddawał próbie moją miłość do ciebie, panie?

Dosiadł konia.

— Nie. Cymoril. Radziłbym jednak, byś sama poddała ją próbie, czuję bowiem, że w naszej miłości zawiera się jakaś tragedia.

Wskoczyła na siodło i uśmiechnęła się, potrząsając głową.

— We wszystkim widzisz zgubę. Czy nie potrafisz przyjmować darów losu? Jest ich tak niewiele.

— Tak, z tym muszę się zgodzić.

Odwrócili się w siodłach, słysząc za sobą tętent. W dali ujrzeli drużynę odzianych na żółto jeźdźców. Pędzili co koń wyskoczy. To była eskorta, którą zostawili w tyle, chcąc jechać samotnie.

— Naprzód! — krzyknął Elryk. — Przez las za tamto wzgórze, a nigdy nas nie znajdą!

Pognali rumaki przez zalany słońcem las, w górę stromych zboczy wzgórza i dalej przez równinę zaroślami noidel. Ich soczyste, trujące jagody lśniły sinawym granatem — barwą nocy, której nie mogło rozproszyć nawet jasne światło dnia. W Melniboné wiele było dziwnych jagód i ziół. Niektórym z nich Elryk zawdzięczał życie. Innych, zasianych wiele wieków temu przez jego przodków, używano do sporządzania czarodziejskich napojów. Teraz niewielu tylko Melnibonéan wychodziło z Imrryru, by zbierać te rośliny. Jedynie niewolnicy odwiedzali różne części wyspy, szukając korzeni i kłaczy, które sprawiały, że ludzie śnili straszliwe i wspaniałe sny. Właśnie w snach odnajdywali rozkosze dane na jawie jedynie wielmożom Melniboné; byli ponurzy, zawsze jakby skierowani do wewnątrz i dla tej ich cechy Imrryru zaczęto nazywać Śniącym Miastem. Nawet najlichsi niewolnicy żuli jagody, które przynosiły zapomnienie. Uzależnionych od snów łatwiej też było pilnować. Tylko Elryk nie chciał przyjmować owych narkotyków. Może dlatego, że tak wielu innych potrzebował, by utrzymać się przy życiu.

Gwardziści pozostali daleko w tyle. Uciekinierzy zwolnili bieg swych koni dopiero na skalistym wybrzeżu. Morze lśniło jasnym blaskiem i ospale obmywało białe plaże u stóp skał. Ptaki zataczały koła na czystym niebie. Ich krzyki dobiegające z dala podkreślały jedynie spokój, otaczający Elryka i Cymoril.

Kochankowie sprowadzili konie stromą ścieżką na brzeg. Tam spętali rumaki i udali się na przechadzkę. Szli po piasku, a dmący od wschodu wiatr rozwiewał ich włosy. Białe mężczyzny i czarne jak skrzydło kruka, kobiety.

Znaleźli ogromną, suchą jaskinię, gdzie szepczące echo powtarzało plusk fal. Zrzucili swe jedwabne szaty i kochali się w cieniu pieczary. Leżeli przytuleni,

obejmując się mocno, aż dzień stał się ciepły, a wiatr ucichł. Wtedy poszli do wody. Kapali się w morzu, napełniając puste niebo swym śmiechem.

Gdy osuszeni już nakładali ubrania, spostrzegli, że niebo na horyzoncie pociemniało.

— Zanim dotrzemy do Imrryru, będziemy znowu mokrzy. Bez względu na to, jak szybko pogalopujemy, burza i tak nas dogoni — zauważył Elryk.

— Może powinniśmy pozostać w jaskini, dopóki nie minie — powiedziała Cymoril, podchodząc blisko i przytulając się do niego.

— Nie — odparł. — Muszę zaraz wracać do Imrryru. Tam są leki, a ja muszę je przyjąć, jeśli moje ciało ma odzyskać siły. Jeszcze godzina, najwyżej dwie, i zacznę tracić siły. Widziałaś mnie już przecież, gdy zasłałem.

Gładziła jego twarz, a jej oczy były pełne współczucia.

— Tak, widziałam to, Elryku... Chodźmy, trzeba odnaleźć konie.

Gdy dotarli do koni, niebo nad ich głowami przybrało ponure, szare zabarwienie. Niedaleko, po jego wschodniej stronie kłębiły się czarne chmury. Usłyszeli pomruk grzmotu i trzask błyskawicy. Morze uderzało falami o brzeg, jakby niebo zaraziło je swoim szaleństwem. Konie parskały i rozgrzebywały kopytami piasek, niespokojne, niecierpliwie oczekujące powrotu. Elryk i Cymoril wskoczyli na siodła. Rozszumiała się ulewa. Duże krople deszczu padały na ich głowy i rozpryskiwały się na płaszczach. Ruszyli cwałem w kierunku Imrryru. Błyskawice rozdzierały niebo. Grzmot huczał jak rozwścieczony olbrzym; wspaniały stary Władca Chaosu, próbujący przedrzeć się nieproszony do Królestwa Ziemi.

Cymoril spojrzała na bladą twarz Elryka, zalaną przez chwilę światłem błyskawicy. Poczowała ogarniający ją chłód i nie było to sprawą wiatru i deszczu. Zdało jej się, że łagodny uczony, jakiego kochała, przemieniony został przez żywioły w upiornego demona, w którym ledwie można było się doszukać cech człowieka. Jego purpurowe oczy wybuchały z białości twarzy niczym płomienie Wyższego Piekła. Długie, rozwiewane przez wiatr włosy otaczały jego głowę na kształt złowieszczonego bojowego hełmu. W rozbłyskach burzy jego wargi zdawały się wykrzywione wściekłością i bólem.

I nagle Cymoril zrozumiała. Ich poranna przejażdżka była ostatnią chwilą tego spokoju, jakiego zawsze razem zaznawali. Burza stanowiła znak od bogów, ostrzeżenie przed nawałnicami, jakie miały nadejść.

Raz jeszcze spojrzała na ukochanego. Elryk śmiał się. Zwrócił twarz ku niebu, pod ciepły deszcz, i krople wody rozbryzgiwały mu się na wargach. Jego śmiech był niewymuszony i prosty jak niewinny śmiech szczęśliwego dziecka.

Spróbowała odpowiedzieć mu uśmiechem, ale zaraz odwróciła twarz. Łzy popłynęły z jej oczu. Nie chciała, by to widział. Płakała jeszcze, gdy pojawiło się przed nimi Imrryr; czarna groteskowa sylwetka, wyraźnie zarysowana na świetlnej linii, jaką tworzył nie tknięty jeszcze burzą zachodni horyzont.

Rozdział 4

TAJEMNICE WIĘZNIÓW

Mężczyźni w złotych pancerzach spostrzegli Cymoril i Elryka dopiero, gdy tych dwoje zbliżyło się do najmniejszej ze wschodnich bram miasta.

— Znaleźli nas wreszcie — Elryk uśmiechnął się przez ścianę deszczu — choć cokolwiek poniewczasie. Prawda, Cymoril?

Cymoril, wciąż przygnębiona przecuciem nieuchronnego, zaledwie skinęła głową w odpowiedzi. Do Elryka zbliżył się pośpiesznie dowódca straży.

— Panie, wzywają was do Wieży Monshanjik! — zawołał. — Zatrzymano tam szpiegów.

— Szpiegów?

— Tak, panie. — Twarz mężczyzny była blada. Spływająca z jego hełmu woda tworzyła ciemne plamy na cienkim płaszczu. Z trudem mógł utrzymać konia. Wierzchowiec ploszył się za każdym razem, gdy wchodził w wielkie rozlewiska wody na drodze.

— Schwytano ich w labiryncie dziś rano. Sądząc po ich kraciastych strojach, to barbarzyńcy z południa. Czekamy, byście sami mogli ich wybadać, panie.

Elryk skinął ręką.

— Prowadź więc, kapitanie. Przypatrzymy się odważnym głupcom, którzy stawili czoło morskemu labiryntowi Melniboné.

Wieża Monshanjik nosiła imię czarnoksiężnika architekta, który tysiące lat temu zaprojektował morski labirynt. Tajemnicę labiryntu pilnie strzeżono, gdyż jako jedyna droga prowadząca do wielkiego portu w Imrryrze stanowił najlepsze zabezpieczenie przed niespodziewanym atakiem. Był nader zawity i tylko specjalnie szkoleni piloci mogli prowadzić przezeń statki.

Zanim zbudowano labirynt, port stanowił rodzaj wewnętrznej laguny zasilanej przez morze, które wpływało tu przez system naturalnych jaskiń, wyżłobionych w wysokiej skale, wznoszącej się między laguną a oceanem.

Przez ów morski labirynt wiodło pięć różnych szlaków i każdy pilot znał tylko jeden z nich. W zewnętrznej stronie skały znajdowało się pięć oddzielnych

wejść. Tutaj statki Młodych Królestw oczekiwały, aż na ich pokład wejdzie pilot. Dopiero wtedy podnoszono bramę prowadzącą do jednego z wejść. Wszystkim członkom załogi zawiązywano oczy i odsyłano ich pod pokład. Zostawiano tylko nadzorcę wioślarzy i sternika, ale oni również mieli twarze zasłonięte ciężkimi żelaznymi hełmami. Niczego nie mogli zobaczyć, a więc i niczego uczynić; musieli posłusznie podporządkować się skomplikowanym wskazówkom i poleceniom pilota. Gdyby jednak nie usłuchali i rozbili statek o skały, nikt w Melniboné nie odczuwałby żalu. Członkowie załogi, którzy zdołaliby się uratować, zasililiby szeregi niewolników. Wszyscy, którzy chcieli prowadzić handel z Imrryrem, znali ryzyko. Mimo to każdego miesiąca wielu kupców przybywało, by stawić czoło niebezpieczeństwu labiryntu i oferować swe skromne towary za bogactwa Melniboné.

Wieża Monshanjik górowała nad portem i nad masywnym molem, wrzynającym się w środek laguny. Mająca barwę morza, niska i szeroka w porównaniu z innymi wieżami w Imrryrze, mimo to była piękna. Z jej okien rozciągał się widok na cały port.

Większość portowych interesów załatwiano właśnie w Wieży Monshanjik. Tutaj też trzymano w podziemiach więźniów, którzy złamali choćby jedno z tysięcy praw, określających funkcjonowanie portu.

Elryk pozostawił Cymoril, która miała wrócić ze strażą do pałacu, i ruszył w stronę Wieży. Wjechał przez bramę w kształcie łuku, potrącając kupców, czekających tu na pozwolenie rozpoczęcia handlu. Na dziedzińcu, choć nie było to miejsce, gdzie wystawiano towary, tłoczyli się żeglarze, kupcy i Melnibonéańscy urzędnicy, zajmujący się sprawami handlu. Rozbrzmiewający donośnym echem gwar tysięcy głosów, zgłębiających tysiąc problemów kupna i sprzedaży, cichł z wolna, gdy Elryk i jego straż, nie zwracając na nikogo uwagi, przyjechali pod kolejnym sklepieniem w odległym końcu sali. Przejście wiodło do rampy, która opadała spiralnie do podziemi.

Stukały kopyta koni. Jeźdźcy mijali niewolników, służących i urzędników. Wszyscy usuwali się pośpiesznie na bok i składali niskie pokłony, rozpoznając cesarza. Wielkie pochodnie oświetlały tunel. Ociekały smołą, kopciły i rzucały zniekształcone cienie na gładkie obsydianowe ściany. W powietrzu czuć było teraz chłód i wilgoć, bowiem zewnętrzne ściany Wieży poniżej nabrzeży Imrryru obmywała woda.

Naraz uderzyła ich fala ciepła. Zobaczyli przed sobą migotliwe światło. Pełne dymu pomieszczenie przesycone było strachem. Na zwisających z niskiego sklepienia łańcuchach wisiło głowami w dół czworo ludzi. Pozbawione ubrań ciała osłaniała jedynie czerwień krwi, spływającej z małych, lecz bolesnych ran, precyzyjnie zadanych przez artystę. Stał teraz z nożem chirurgicznym w ręku i przyglądał się badawczo swemu dziełu.

Wysoki i bardzo chudy, w swych białych, poplamionych szatach wyglądał

niemal jak szkielet. Miał cienkie wargi, oczy jak szparki, chude palce i rzadkie włosy. Wąski skalpel był niewidoczny aż do chwili, gdy błysnął w blasku ognia, buchającego z otworu w odległym kącie lochu.

Artystą był doktor Jest. Jego sztuka stanowiła raczej wykonywanie aniżeli tworzenie, choć on sam nie zgadzał się z taką opinią. Doktor Jest wydobywał tajemnice z tych, którzy je ukrywali; był Głównym Oprawcą Melniboné.

Gdy Elryk pojawił się w sali, doktor Jest odwrócił się zwinnie jak tancerz, a jego nóż zamarł między chudym kciukiem i palcem wskazującym prawej ręki. Stał wyprostowany i wyczekujący, po czym skłonił się nisko.

— Mój ukochany cesarz! — wyrzucił bardzo szybko piskliwym głosem. Dziw brał, że w ogóle można było rozpoznać słowa, tak szybko pojawiały się i znikaly w jego ustach.

— Doktorze, czy to tych południowców schwytano dzisiaj rana?

— W rzeczy samej, panie. — Doktor złożył ponownie głęboki ukłon. — Dla twojej przyjemności.

Elryk przyglądał się chłodno więźniom. Nie współczuł im; byli szpiegami. Sytuacja, w jakiej się znajdowali, wynikała bezpośrednio z ich poczynań. Wiedzieli, co ich czeka, jeśli zostaną schwytani. Jeden z nich był jednak młodym chłopcem. Była też wśród nich kobieta — tak się przynajmniej Elrykowi wydawało. Wili się w łańcuchach i na pierwszy rzut oka trudno było cokolwiek dokładnie określić.

Kobieta zgrzytnęła resztką swych zębów.

— Demon! — syknęła.

Elryk cofnął się o krok.

— Czy powiedzieli ci, doktorze, co robili w naszym labiryncie?

— Wciąż zwodzą mnie aluzjami. Są wspaniałymi aktorami i ja to doceniani. Powiedziałbym, że są tu po to, by sporządzić mapę drogi przez labirynt i w ten sposób wskazać drogę napastnikom. Wciąż jednak odmawiają ujawnienia szczegółów. To taka gra i wszyscy wiemy, jak trzeba ją grać.

— A kiedy powiedzą ci więcej, doktorze Jest?

— Och, bardzo szybko, panie.

— Powinniśmy się dowiedzieć, czy mamy oczekiwać napastników. Im szybciej się dowiemy, tym mniej czasu zajmie nam uporanie się z napaścią.

— Zgadzam się z tobą, panie.

— To dobrze. — Elryk był rozdrażniony. Przykry epizod odebrał mu radość z porannej przejażdżki; zbyt szybko kazał mu stanąć wobec obowiązków cesarza.

Doktor Jest powrócił do swego zadania. Wyciągnął rękę i pewnym ruchem chwycił genitalia jednego z mężczyzn. Błysk noża, jęk. Doktor Jest rzucił coś do ognia.

Elryk usiadł w przygotowanym dla niego fotelu. Rytuał towarzyszący prowadzeniu śledztwa budził w nim raczej znudzenie niż odrazę. Pozbawione harmonii krzyki, brzęk łańcuchów, wysoki szept doktora Jesta — wszystko to odbierało

mu dobre samopoczucie, z którym wkraczał jeszcze przed chwilą do tej sali. Towarzyszenie tym obrzędom było jednak jednym z jego obowiązków i musiał tu tkwić, dopóki nie przekażą mu wyników śledztwa; póki nie będzie mógł pogratulować swemu Naczelnemu Oprawcy i wydać rozkazów, dotyczących odparcia ataku. I prawdopodobnie przez resztę nocy, nawet kiedy to tutaj się skończy, będzie naradzał się z admirałami i generałami i rozważając ich opinię, decydował o rozmieszczeniu ludzi i okrętów.

Ze źle skrywanym ziewnięciem odchylił się na oparcie fotela i patrzył, jak doktor Jest przesuwając po ciałach palce i nóż, płomień, szczypce i kleszcze. Po chwili myślał już o innych sprawach: zagłębił się w problemach filozoficznych, których wciąż nie mógł rozwiązać.

Elryk nie był okrutny; po prostu wciąż jeszcze był Melnibonéaninem. Przyzwyczajano go do takich obrazów od dzieciństwa. Nawet gdyby tego pragnął, nie mógł uratować więźniów nie łamiąc żadnego z praw Smoczjej Wyspy. Przywykł odcinać się od uczuć, które stały w sprzeczności z powinnościami cesarza. Gdyby istniała jakakolwiek korzyść z uwolnienia tych czworga, którzy kołysali się teraz na łańcuchach ku przyjemności doktora Jesta, uwolniłby ich. Nie dostrzegał jednak takiej korzyści, a i tych czworo zdumiałoby się wielce, gdyby potraktowano ich inaczej. Tam, gdzie konieczne było podjęcie decyzji dotyczące etyki, Elryk był, ogólnie rzecz biorąc, praktyczny. Uzależniał decyzję od swoich możliwości. W tej sprawie nie mógł uczynić nic. Takie postępowanie stało się jego drugą naturą. Nie pragnął zmieniać Melniboné, lecz doskonalić siebie. Nie chciał rozpoczynać działań, ale poznać najlepszy sposób odpowiedzi na działania innych. W tym przypadku decyzja była prosta. Szpieg to wróg, a każdy broni się przed wrogami najlepiej jak umie. Metody doktora Jesta były najwłaściwsze.

— Panie...

Elryk podniósł nieobecne oczy.

— Mam już potrzebne informacje, panie — rozległ się wysoki szept doktora Jesta.

Dwa szeregi łańcuchów były teraz puste, a niewolnicy podnosili coś z podłogi i rzucali w ogień. Dwie bezkształtne bryły na podłodze przypominały Elrykowi starannie przygotowane przez kuchmistrza mięso. Jedna z nich wciąż lekko drgała, druga leżała już nieruchomo.

Doktor Jest wsunął swe instrumenty do wąskiej kasetki, którą nosił w torbie przy pasie. Jego białe szaty były całe w ciemnoczerwonych plamach.

— Wygląda na to, że byli tu przed nimi inni szpiegowie — oznajmił swemu władcy. — Ci przybyli tylko po to, by sprawdzić drogę. Jeśli nie powrócą na czas, barbarzyńcy mimo wszystko przyplyną.

— Na pewno jednak będą wiedzieli, że ich oczekujemy — powiedział Elryk.

— Prawdopodobnie nie, panie. Wśród kupców i żeglarzy Młodego Królestwa rozeszły się wieści, że w labiryncie widziano szpiegów i że zostali oni zabici

w czasie próby ucieczki.

— Rozumiem. — Elryk zmarszczył czoło. — Zatem naszą najlepszą odpowiedzią będzie zastawienie pułapki na napastników.

— Tak jest, panie.

— Czy wiesz, który szlak wybrali?

— Tak, panie.

Elryk odwrócił się do jednego ze swych gwardzistów.

— Niechaj wszyscy admirałowie i generałowie zostaną o tym powiadomieni.

Która godzina?

— Właśnie mija godzina zachodu słońca, panie.

— Powiedz im, by zebrali się przed Rubinowym Tronem w dwie godziny po zachodzie. — Elryk podniósł się znużonym ruchem.

— Spisałeś się doskonale, doktorze Jest. Jak zawsze. Chudy artysta skłonił się nisko, jakby chciał złożyć się wpół. Jego odpowiedzią było wysokie i nieco obłudne westchnienie.

Rozdział 5

BITWA

Pierwszym z przybyłych był Yyrkoon. Odziany w strojne szaty wojenne, zjawił się w asyście dwóch muskularnych strażników, z których każdy niósł zdobny sztandar księcia.

— Cesarzu! — w okrzyku Yyrkoona była duma i źle maskowana pogarda. — Czy pozwolisz mi dowodzić wojskami? Oszczędzi ci to kłopotów w czasie, który z pewnością chciałbyś przeznaczyć na inne absorbujące cię sprawy.

— Jesteś niezwykle troskliwy, książę. Nie musisz jednak obawiać się o mnie. Będę dowodził armią i flotą Melniboné, gdyż jest to obowiązek cesarza — odpowiedział niecierpliwie Elryk.

Yyrkoon rzucił mu nachmurzone spojrzenie i odszedł na bok. W tej samej chwili do komnaty wszedł szybkim krokiem Dyvim Tvar, Pan Smoczycy Jaskiń. Przybył bez eskorty strażników, a jego wygląd wskazywał, że ubierał się w pośpiechu. Swoją hełm niósł pod pachą.

— Cesarzu, przynoszę wieści o smokach. . .

— Dziękuję ci, Dyvim Tvar, ale zaczekaj z nimi, aż zgromadzą się wszyscy moi dowódcy. Im także się należą.

Dyvim Tvar skłonił się i cofnął pod ścianę. Zajął miejsce po przeciwnej stronie komnaty, z dala od księcia Yyrkoona.

Wojownicy przybywali kolejno i wkrótce dwudziestu świetnych dowódców czekało u stóp schodów Rubinowego

Tronu, na którym siedział Elryk. On sam nadal był w stroju, w którym odbywał poranną przejażdżkę. Nie miał czasu się przebrać. Na krótko przed spotkaniem badał mapy labiryntu. Tylko on miał do nich dostęp. Zwykle pod zaklęciem ukryte były przed każdym, kto mógłby próbować je odszukać.

— Południowcy chcą skraść bogactwa Imrryru i zabić nas wszystkich — zaczęła Elryk. — Wierzą, że znaleźli drogę przez morski labirynt. Flota stu okrętów wojennych płynie teraz na Melniboné. Jutro będą czekać za widnokretem aż do zmroku, potem podpłyną do labiryntu i wślizgną się doń. Do północy zamierza-

ją osiągnąć port i jeszcze przed świtem zdobyć Imrryr. Zastanawiam się, czy to możliwe.

— Nie! — rozległo się z wielu gardeł.

— Nie... — Elryk uśmiechnął się. — Jak jednak najlepiej zabawić się na tej wojence, jaką przeciw nam szykują?

Jak zawsze Yyrkoon wykrzyknął pierwszy:

— Pozwól nam spotkać się z nimi teraz. Weźmiemy smoki i barki wojenne. Pozwól nam ścigać ich aż do ich własnego kraju i tam przenieść działania wojenne. Pozwól nam uderzyć na nich i spalić ich miasta! Podbijemy ich i w ten sposób zapewnimy sobie bezpieczeństwo.

— Żadnych smoków — odezwał się Dyvim Tvar.

— Co? — Yyrkoon zakręcił się w miejscu. — Co takiego?

— Żadnych smoków, książę. Nie należy ich budzić. Smoki śpią w swych jaskiniach wyczerpane po tym, jak ostatnio wykorzystywałeś je dla swoich celów.

— Dla moich celów?

— Posłużyłeś się nimi w starciu z vilmiriańskimi piratami. Tłumaczyłem ci, że wolałbym zachować je do większych przedsięwzięć. Ty jednak posłałeś je przeciwko piratom i spaliłeś ich małe łodzie, a teraz smoki śpią.

Yyrkoon popatrzył groźnie na Dyvima Tvara. Potem spojrzął na Elryka.

— Nie oczekiwałem...

Elryk podniósł rękę.

— Użyjemy smoków dopiero wtedy, gdy będą nam rzeczywiście potrzebne. Ten atak floty południowców nie jest groźny. Niechaj sądzą, że jesteśmy nieprzygotowani. Niech wpłyną do labiryntu, a gdy tylko cała setka minie wrota, zamkniemy ich wewnątrz, blokując wszystkie szlaki prowadzące na otwarte morze. Zamkniętych w pułapce — zmiążdżymy.

Yyrkoon opuścił wzrok; najwyraźniej miał nadzieję znaleźć słabe punkty w tym planie.

Stary admirał Magum Colim w zbroi koloru morskiej wody wystąpił naprzód i skłonił się.

— Złociste barki wojenne Imrryru są gotowe bronić swego miasta, panie. Potrzeba jednak nieco czasu, by ustawić je na właściwych pozycjach. Mało prawdopodobne, by wszystkie zdołały od razu ulokować się dobrze w labiryncie.

— Wyślij więc część z nich już teraz i ukryj wzdłuż wybrzeża. W ten sposób mogą czekać na tych, którzy ocaleją i zdołają uciec przed naszym atakiem — polecił Elryk.

— Doskonały plan, panie. — Magum Colim skłonił się i cofnął między swych ludzi.

Narada przeciągnęła się. Kiedy wszystko było omówione i zgromadzeni mieli zamiar się rozjechać, książę Yyrkoon zawołał raz jeszcze:

— Panowie, ponownie przedstawiam cesarzowi swoją propozycję! Jego osoba jest zbyt cenna, by narażał w bitwie swe życie. Ja — ja nie znaczę nic! Pozwólcie mi dowodzić wojskami na lądzie i na morzu, by cesarz mógł pozostać w pałacu, spokojny o los bitwy. Może być pewien, że ją wygramy, a południowcy zostaną pobici. Być może zechce dokończyć czytania jakiejś książki.

Elryk uśmiechnął się.

— Raz jeszcze dziękuję ci za troskę, kuzynie. Cesarz musi jednak ćwiczyć nie tylko swój umysł, ale i ciało. Jutro ja będę dowodził wojownikami.

Elryk powrócił do swych komnat. Tanglebones zdążył już przygotować jego ciężki rynsztunek bojowy. Na Elryka czekała zbroja, która służyła już stu Melnibonéańskim cesarzom. Zaklęcia rzucane podczas kucia tej zbroi miały jej nadać niespotykaną w Królestwie Ziemi wytrzymałość. Legenda mówiła, że mogła znieść nawet ciosy mitycznych runicznych mieczy — Zwiastuna Burzy i Żalobnego Ostrza. Posługiwali się nimi najniegodziwsi z nikczemnych władców Melniboné, dopóki Władcy Wyższych Światów nie przechwycili ich i nie ukryli na zawsze w królestwie, które nawet oni rzadko odwiedzali.

Twarz pokręconego człowieka rozjaśniała radością, gdy długimi, sękatymi palcami dotykał każdej części zbroi, każdej doskonale wyważonej sztuki oręża. Uniósł swą pokrytą bliznami twarz, by napotkać wzrokiem pełne troski spojrzenie Elryka.

— O panie! Mój królu! Już wkrótce zaznacie radości walki!

— Tak, Tanglebones. Miejmy nadzieję, że będzie to radość.

— Wyuczyłem was wszystkich umiejętności — sztuki miecza i sztyletu, sztuki łucznictwa i ciskania włóczni, walki konnej i pieszej. A wy byliście dobrym uczniem, choć oni wszyscy mówią, że jesteście słabi. Nie ma lepszego szermierza w Melniboné; może poza jednym.

— Książę Yyrkoon może być lepszy ode mnie — powiedział w zadumie Elryk. — Czyż nie tak?

— Powiedziałem „poza jednym”, panie.

— I jest nim Yyrkoon. Może pewnego dnia uda nam się rozstrzygnąć tę sprawę. Chciałbym wykapać się, zanim włożę na siebie całe to żelazo.

— Lepiej pośpieszyć się, panie. Z tego co słyszałem, wiele jest do zrobienia.

— Po kąpieli prześpię się. — Elryk się uśmiechnął, widząc zatroskanie starego przyjaciela. — Tak będzie lepiej, gdyż nie muszę osobiście prowadzić barek na stanowiska. Jestem potrzebny, by dowodzić bitwą i zrobię to lepiej, gdy będę wypoczęty.

— Jeśli uważacie, że tak będzie dobrze, panie, na pewno tak jest.

— Ty jednak jesteś zdziwiony. Zbyt mocno pragniesz, Tanglebones, wepchnąć mnie w to wszystko. Chciałbyś widzieć, jak stąпам dumnie niczym sam Arioeh.

Tanglebones zakrył usta dłonią, jakby to nie jego pan, lecz on wypowiedział te słowa, a teraz usiłował je cofnąć. Zastygł z szeroko rozwartymi oczami.

Elryk roześmiał się.

— Myślisz, że mówię straszne herezje, co? Cóż, mówiłem już gorsze rzeczy i nic złego mi się nie stało. W Melniboné, Tanglebones, cesarze panują nad demonami, a nie odwrotnie.

— Tak mówicie wy, panie.

— To prawda.

Elryk wyszedł z komnaty, przywołując niewolników. Ogarnęła go gorączka wojenna i poczuł radość bliskiego działania.

Miał teraz na sobie swój czarny bojowy rynsztunek — masywny napierśnik, watowaną kamizelę, długie nagolenniki i kolczugę z metalowych łusek. U jego boku zwisał długi na pięć stóp miecz. Mówiono, że należał niegdyś do bohatera ludzi imieniem Aubec. Na pokładzie, wsparta o złotą poręcz mostku spoczywała wielka okrągła tarcza — tarcza cesarza ze znakiem atakującego smoka. Czarny hełm na głowie Elryka wieńczył łeb smoka; potwór rozpościerał na boki skrzydła i oplatał hełm ogonem. Spod hełmu przeświecał blady cień, w którym błyszczało dwoje purpurowych oczu, po bokach, niczym dym wydobywający się z płonącego budynku, wiły się kosmyki mlecznobiałych włosów. Gdy na hełm padło nagle światło latarni wiszącej na głównym maszcie, blady cień wyostrzył się, przemieniając się w urodziwą twarz. Subtelne rysy ukazały prosty nos, wygięte wargi, skośne oczy.

Cesarz Elryk z Melniboné wpatrywał się w mrok labiryntu, usiłując wyłowić z ciszy pierwsze odgłosy zbliżania się morskich rozbójników.

Stał na wysokim mostku ogromnej złocistej barki wojennej. Jak inne tego typu jednostki, wyposażona w maszty, żagle, wiosła i katapulty, przypominała pływający zigurat. Noszący imię „Syn Pyaraya” okręt był statkiem flagowym floty.

Obok Elryka stał wielki admirał Magum Colim. Tak jak Dyvim Tvar, był jednym z jego najbliższych przyjaciół. Znał go od urodzenia i zachęcał zawsze do nauki wszystkiego, co dotyczyło dowodzenia okrętami i walki na morzu. Magum Colim obawiał się wprawdzie, że Elryk za bardzo poświęca się nauce i jest zbyt zamknięty w sobie, by rządzić Melniboné, uznawał jednak jego prawo do rządów i to co mówili tacy jak Yyrkoon wprawiało go w złość i zniecierpliwienie.

Książę Yyrkoon był również na pokładzie, choć w tej chwili krzątał się na dolnym pokładzie, badając sprawność sprzętu wojennego.

„Syn Pyaraya” stał zakotwiczony w olbrzymiej grocie. Setki takich grot wykuto w ścianach labiryntu w czasie jego budowy; zaprojektowane były specjalnie po to, by ukrywać barki wojenne. Pod jej wysokim sklepieniem można było postawić maszty, była też wystarczająco szeroka, by wiosła poruszały się swobodnie. Każda ze złocistych barek poruszana była siłą mięśni wielu wiosłarzy; po obu stronach dwadzieścia do trzydziestu wiosł. Zespoły ich sięgały do wysokości czwartego, piątego lub szóstego pokładu i — jak w przypadku „Syna Pyaraya” — mogły mieć trzy niezależne od siebie systemy sterowania, dziobowe i rufowe. Ca-

łe okute złotem, okręty były praktycznie niezniszczalne i, mimo swych ogromnych rozmiarów, gdy wymagały tego okoliczności, poruszały się szybko i dawały się precyzyjnie manewrować. Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni oczekiwały w tych grotach na wrogów, choć w przyszłości warunki miały być zupełnie inne.

W tych czasach barki wojenne Melniboné rzadko można było ujrzeć na otwartych morzach. Niegdyś żeglowały po oceanach świata niczym straszliwe pływające złote góry, budząc przerażenie wszędzie, gdzie się pojawiły. Wówczas flota była większa i liczyła setki załóg. Dziś składała się zaledwie z czterdziestu okrętów. Ale te czterdzieści powinno wystarczyć. Teraz właśnie w wilgotnych ciemnościach czekały na swych wrogów.

Słuchając głuchego plusku uderzającej o burty wody, Elryk myślał o czekającej ich bitwie. Pragnął opracować lepszy plan walki. Wiedział, że jego strategia spełni swoje zadanie, ale żał mu było niepotrzebnych ofiar, tak Melnibonéan, jak i barbarzyńców. Dobrze byłoby odstraszyć ich jakoś, zamiast zamykać w labiryncie. Flota z południa nie była pierwszą, którą znęciły legendarne bogactwa Imriryru. Nie tylko załogi z południa karmiły się nadzieją, że państwo Melnibonéan chyli się ku upadkowi, a mieszkańcy Śniącego Miasta nie są zdolni bronić swych skarbów, gdyż nie podejmują już dalekich wypraw. Tak więc południowców trzeba było zniszczyć, by nauczka była dotkliwa. Melniboné wciąż było potężne. Zdaniem Yyrkoon na tyle silne, by przywrócić swą dawną dominację w świecie; jeśli nie wojskiem, to magią.

— Pst! — admirał Magum Colim pochylił się nad burtą. — Czy to odgłos wiosła?

Elryk skinął głową.

— Chyba tak.

Teraz obaj słyszeli regularny odgłos plusku, gdy rzędy wiosel zanurzały się i wynurzały z wody, słyszeli skrzypienie drewna. Południowcy przybywali. „Syn Pyaraya” stał najbliżej wejścia i miał zaatakować jako pierwszy, jednak dopiero wtedy, gdy minie ich ostatni okręt napastników. Admirał pochylił się i zgasił latarnię, po czym odszedł cicho, by zawiadomić załogę o zbliżaniu się wrogiej floty.

Na krótko przedtem Yyrkoon użył czarów i przywołał dziwną mgłę, która ukryła złociste barki, nie zasłoniła jednak widoku żołnierzom Melniboné.

Elryk widział już wyraźnie pochodnie płonące w głębi kanału, gdy rozbójnicy pokonywali labirynt. W kilka minut później dziesięć galer pojawiło się przed nimi i wpłynęło do groty. Admirał Magum Colim przyłączył się znów do Elryka. Był z nim także książę Yyrkoon. On również nosił smoczy hełm, choć mniej wspinały, bowiem to Elryk był wodzem niewielu Książąt Smoków, jacy pozostali na Melniboné.

Yyrkoon uśmiechał się szeroko w oczekiwaniu krwawej walki; jego oczy jarzyły się w mroku. Elryk chciał, by książę wybrał inny okręt, ale Yyrkoon miał

prawo przebywać na pokładzie okrętu flagowego i cesarz nie mógł się temu sprzeciwić.

Już ponad pięćdziesiąt okrętów przepłynęło obok nich. Zbroja Yyrkoona skrzypiała lekko, gdy w niecierpliwym oczekiwaniu przemierzał długimi krokami mostek, z osłoniętą rękawicą dłonią na rękojeści miecza.

— Już niedługo — nie przestawał sobie powtarzać. — Już wkrótce.

Potem, gdy mijał ich ostatni okręt z południa, zajęczała podnoszona kotwica i wiosła zagarnęły wodę. Barka runęła z grotu do kanału, uderzając nieprzyjacielską galeryę w śródkręcie i przecinając ją na dwoje.

Barbarzyńcy podnieśli ogromny wrzask. Uderzenie rozrzuciło ludzi na wszystkie strony. Światła pochodni tańczyły dziwacznie na resztkach pokładu, gdy próbowali ratować się przed zsunieniem w ciemne, zimne wody kanału. Tymczasem „Syn Pyaraya” zaczął obracać się wolno wśród szczątków rozbitej galery. Włócznie załomotały o jego złote burty, ale imrriańscy łucznicy wypuścili strzały i stracili do wody kilku ocalałych.

Odgłosy błyskawicznej walki stały się sygnałem dla pozostałych barek. W precyzyjnym szyku wypływały z obu stron wysokich skalistych ścian i zdumionym napastnikom musiało wydawać się, że ogromne okręty wyłaniają się z tego kamienia; upiorne okręty pełne demonów, ciskających w nich włóczniami, strzałami i ogniem. Teraz cały kanał rozbrzmiewał pomieszanymi okrzykami wojennymi, grzmiącymi i odbijającymi się echem w zamęcie bitwy. Uderzenia stali o stal rozlegały się jak syk potwornego, rozwścieczonego gada. Sama flota napastników przypominała zresztą węża, porąbanego na kawałki przez wysokie, złociste, nieubłagane okręty Melnibonéan. Błyskały bosaki, wczepiały się w drewniane pokłady i burty i przyciągały galery bliżej, by łatwiej było je zniszczyć.

Południowcy nie stracili jednak głowy po początkowym zaskoczeniu. Trzy spośród ich galer skierowały się wprost na „Syna Pyaraya”. Barbarzyńcy rozpoznali okręt flagowy. Płonące strzały mknęły wysoko i spadały na drewniane, nie zabezpieczone złotą blachą pokłady, wznecając pożary i niosąc śmierć ludziom.

Elryk uniósł tarczę nad głowę. Dwie strzały uderzyły w nią, odbiły się i spadły na niższy pokład. Przeskoczył ponad poręczą w ślad za nimi. Tam, na najszerszym i najbardziej odkrytym pokładzie gromadzili się wojownicy, gotowi rozprawić się z atakującymi. Katapulty zadudniły głucho i kule błękitnego ognia śmignęły w mrok, o włos mijając wszystkie trzy galery. Wystrzelono nową salwę i masa ognia runęła na pokłady statków barbarzyńców, strzelając wysokimi płomieniami wszędzie, gdzie czegoś dotknęła. Bosaki zaczepiły najbliższą galeryę i przyciągnęły ją blisko. Elryk był wśród pierwszych, którzy zeskoczyli na jej pokład. Pobiegł naprzód i natknął się na dowódcę południowców. Kapitan na prymitywną zbroję miał zarzucony kraciasty płaszcz. W potężnych dłoniach trzymał wielki miecz. Wrzeszczał na swych ludzi, by zabijali melnibonéańskie psy.

Drogę do mostka zagroziło Elrykowi trzech barbarzyńców uzbrojonych

w zakrzywione miecze i małe prostokątne tarcze. Na ich twarzach malował się strach, ale i determinacja. Wiedzieli, że muszą umrzeć i zdecydowani byli pozostawić po sobie tyle zniszczenia, ile tylko się da.

Przesunawszy tarczę na ramię, Elryk ujął oburącz miecz i uderzył na żeglarczy. Jednego zbił z nóg krawędzią tarczy, drugiemu zmiażdżył obojczyk. Trzeci barbarzyńca odskoczył w bok i pchnął swój zakrzywiony miecz w twarz Elryka. Młodzieniec nie zdążył się uchylić i ostre ostrze miecza drasnęło go w policzek. Na twarzy Elryka pojawiła się krew. Zamachnął się mieczem jak kosą i wbił go głęboko w ciało rozbójnika, przecinając go niemal na dwoje. Ten zastygł na moment, jakby nie mógł uwierzyć, że zaraz umrze, lecz gdy Elryk wyszarpnął miecz — zamknął oczy i upadł.

Tymczasem człowiek obalony przez Elryka dźwignął się chwiejnie na nogi. Jednakże Elryk odwrócił się i uderzył mieczem, rozcinając mu czaszkę. Teraz droga do mostka była wolna. Zaczął wspinać się po drabinie. Kapitan dostrzegł go i czekał już na górze. Uniósł tarczę, by przyjąć pierwszy cios. Elrykowi wydało się, że wśród zgietku bitwy dobiegło go wołanie tego człowieka.

— Giń, ty białołicy demonie! Nie ma dla ciebie miejsca na ziemi!

Owe słowa wydały mu się nagle tak prawdziwe, że w pierwszej chwili zapomniał o obronie. Może rzeczywiście nie ma dla niego miejsca na ziemi? Może to dlatego Melniboné stopniowo chyli się ku upadkowi, co roku rodzą się słabsze dzieci, nie rozmnażają się smoki? . . . Pozwolił, by kapitan zadał jeszcze jeden cios na jego tarczę, lecz w chwilę potem ciął pod nią, sięgając nóg mężczyzny. Przeciwnik przewidział jednak ten ruch i odskoczył. Elryk wykorzystał sprzyjający moment i pokonał kilka ostatnich stopni. Stał na pokładzie, zwrócony w stronę barbarzyńcy. Jego twarz była niemal tak blada jak twarz Elryka. Oblany potem dyszał głośno, jego oczy wyrażały wielkie cierpienie i paniczny strach.

— Należało zostawić nas w spokoju — Elryk usłyszał własny głos. — Nie czynimy wam nic złego, barbarzyńco. Powiedz, kiedy po raz ostatni flota Melniboné popłynęła przeciw Młodym Królestwom?

— Przedstawiacie zło samym waszym istnieniem, białołicy. Waszą magią, waszymi obyczajami, waszą pychą.

— Czy dlatego tu przybyliście? Czyżby wasz atak spowodowany był niechęcią do naszych zwyczajów? A może raczej chcieliście sięgnąć po nasze bogactwa? Przyznaj, kapitanie — to chciwość przywiozła was do Melniboné!

— Chciwość jest przynajmniej uczciwą wartością i można ją zrozumieć. Ale wy, bestie, jesteście nieludscy. Gorzej — nie jesteście bogami, choć zachowujecie się, jakbyście nimi byli. Wasze dni przeminęły. Musimy was zniszczyć, zburzyć wasze miasta, sprawić, by zapomniano waszą magię!

— Być może masz rację, kapitanie. — Elryk skinął głową.

— Na pewno! Nasi świątobliwi kapłani tak mówią. Nasi prorocy przepowiadają wasz upadek. Władcy Chaosu, którym służycie, sami go spowodują.

— Władcy Chaosu nie zajmują się już sprawami Melniboné. Pozbawili nas swej opieki prawie tysiąc lat temu. — Elryk obserwował uważnie kapitana, wyczekując na możliwość zadania ciosu. — Być może dlatego nasza potęga osłabła. A może po prostu zmęczyliśmy się nią...

— Tak czy inaczej — powiedział kapitan, ocierając spocone czoło — wasz czas już się skończył. Trzeba was zniszczyć, i to na zawsze.

W tej chwili Elryk zadał cios. Pchnięty silnie miecz wślizgnął się w szczelinę pancerza, ugodził w brzuch barbarzyńcy i przeszedł przez plecy. Elryk wpatrując się w jego twarz, zaczął powoli wyciągać długie ostrze. Widział, że jest już pogodzony ze swym losem.

— To nie było uczciwe, białolicy... ledwie zaczęliśmy rozmawiać, a już przerwałeś naszą pogawędkę. Jesteś bardzo... zręczny. Obyś wiecznie cierpiał w Wyższym Piekło! Żegnaj...

Kapitan runął na pokład. Nie zdając sobie sprawy, dlaczego to robi, Elryk ciął mieczem w jego szyję. Odrąbał głowę barbarzyńcy, potoczył ją do brzegu mostka i kopnął. Poleciała łukiem i zniknęła w głębokiej, lodowatej wodzie.

Wówczas zbliżył się do niego uśmiechnięty wciąż Yyrkoon.

— Walczyłeś zawięcie i dobrze, mój cesarzu. Ten człowiek się nie mylił.

— Nie mylił się? — Elryk przeszył wzrokiem kuzyna.

— Tak, oceniając twoje męstwo. — Yyrkoon zachichotał i poszedł doglądać swych ludzi, którzy dobijali kilku ocalałych z rzezi najeźdźców.

Elryk był zdumiony. Dlaczego dopiero teraz poczuł do Yyrkoona nienawiść. Teraz zabiłby go z przyjemnością. Miał wrażenie, że Yyrkoon zajrzał mu głęboko w duszę i potraktował z pogardą to, co tam ujrział.

Nagle załała go fala wściekłej męki. Cóż dałby za to, by nie być Melnibonéaninem, nie być cesarzem i by Yyrkoon nigdy się nie narodził.

Rozdział 6

ZDRADA

Złociste barki wojenne płynęły jak dumne lewiatany wśród szczątków rozbitych okrętów najeźdźczej floty. Kilka galer płonęło, kilka pogrążyło się w wodzie, ale większość znalazła już swoje miejsce w niezmiernych głębiach kanału. Płonące wraki rzucały tańczące cienie na wilgotne, zimne ściany morskich jaskiń. Zupełnie jakby duchy zabitych oddawały ostatni salut przed odejściem w głębinę. Jak mówiono, wciąż sprawował tam rządy Władca Chaosu. Zbierał załogi dla swych niesamowitych flotylli spośród dusz tych, którzy zginęli w walce na morzu. Może jednak rozbójnicy dostąpili lepszego losu, służąc władcy Wodnych Żywiołów, który rządził górnymi poziomami morza.

Kilka okrętów zdołało mimo wszystko uciec. Jakimś cudem żeglarze z południa wyminęli masywne barki, popłynęli z powrotem przez kanał i teraz znajdowali się już na otwartym morzu. Zawiadomiono o tym okręt flagowy, gdzie Elryk, Magum Colim i Yyrkoon stali znów razem na mostku, przyglądając się zniszczeniu, które było ich dziełem.

— A zatem musimy dopaść ich i skończyć z nimi — stwierdził Yyrkoon. Jego ciemna twarz błyszczała od potu, oczy płonęły gorączką. — Musimy płynąć za nimi!

Elryk wzruszył ramionami. Był już słaby. Nie wziął ze sobą dodatkowych porcji leków dla podtrzymania sił. Pragnął wrócić do Imrryru i odpocząć. Był zmęczony rozlewem krwi, zmęczony Yyrkoonem, a nade wszystko sobą. Nienawisć, jaką czuł do kuzyna, męczyła go jeszcze bardziej, a najgorsze było to, że nienawidził także tego uczucia.

— Nie — powiedział. — Pozwólmy im uciec.

— Pozwolić im uciec? Nie karząc ich? Nie, mój cesarzu! To nie jest nasze postępowanie. — Książę Yyrkoon odwrócił się do starego admirała. — Czy tak postępują Melnibonéanie, admirał?

Magum Colim wzruszył ramionami. Był również zmęczony, ale w skrytości ducha przyznawał rację księciu. Wrogowie Melniboné powinni zostać ukarani za

to, że ośmielili się choćby pomyśleć o ataku na Imrryr.

— Cesarz musi zdecydować — odparł jednak.

— Pozwólmy im uciec — powtórzył Elryk i oparł się ciężko o poręcz. — Niech zaniosą wieści do swych barbarzyńskich krajów. Niech opowiedzą, w jaki sposób pokonali ich Książęta Smoków. Te wieści rozbiegną się szeroko. Ufam, że przez jakiś czas nie będą nas niepokoić.

— Młode Królestwa są pełne głupców! — zawołał Yyrkoon. — Nie uwierzą wieściom! Zawsze byli i będą rozbójnikami. Najlepszy sposób, by się przed nimi zabezpieczyć, to pewność, że żaden południowiec nie pozostał żywy ani wolny.

Elryk odetchnął głęboko. Ze wszystkich sił usiłował zwalczyć ogarniającą go niemoc.

— Książę, poddajesz próbie moją cierpliwość!

— Ależ, cesarzu, mam na sercu jedynie dobro Melniboné! Z pewnością nie chcesz, by twoi ludzie mówili, że brak ci sił, że boisz się walczyć z pięcioma ledwie galerami z południa!

Tym razem gniew dodał Elrykowi sił.

— Kto ośmieli się powiedzieć, że Elryk jest słaby? Czy to będziesz ty, Yyrkoonie? — Wiedział, że jego decyzja jest bezsensowna, ale nie mógł się powstrzymać. — Świetnie, ruszajmy w pościg za tymi małymi, żałosnymi łódeczkami i zatopmy je. I śpieszmy się. . . jestem już tym wszystkim zmęczony.

Oczy Yyrkoona rozbłysły dziwnie, gdy odwracał się, by wydać rozkazy.

Niebo z czarnego stało się szare. Flota Melniboné wypłynęła na otwarte morze i skierowała okręty w stronę Wrzącego Morza i leżącego za nim kontynentu. Barbarzyńskie galery nie popłynęły przez Wrzące Morze. Tego nie dokonałby żaden statek prowadzony przez śmiertelników. Mogły je wprawdzie okrążyć, ale dla Melnibonéan nie stanowiło to problemu. Mieli wystarczająco szybkie barki, by dopędzić uciekające statki, zanim te zdołają zbliżyć się do granic Morza. Wiosłującym niewolnikom podawano narkotyk, który na dwadzieścia godzin zdwoił ich siły i wytrzymałość, by potem ich zabić.

Barki mknęły szybko po powierzchni morza. Zdawały się należeć do dawnych, niepojętych czasów. Sposób ich budowania stanowił tajemnicę nawet dla Melnibonéan; zdążyli już zapomnieć wiele ze swej wiedzy. Widząc je — wspaniałe i groźne — łatwo sobie wyobrazić, jaką nienawiścią ludzie Młodych Królestw darzyli Melniboné i jego dzieła.

„Syn Pyaraya” wysunął się mocno do przodu. Na jego pokładach ładowano katapulty, choć pozostałych okrętów Melnibonéańskich nie było jeszcze widać. Spoceni niewolnicy ostrożnie przenosili w rękach lepką substancję, z której sporządzano ogniste pociski, po czym długimi, łyżkowate zakończonymi szczypcami nakładali je do brązowych zagłębień wyrzutni. Połyskiwała błękitnawo w mroku

przedświtu.

Kilku niewolników wspięło się po schodach na mostek i podało na platynowych tacach wino i żywność trzem Książętom Smoków, którzy pozostawali tam od chwili, gdy rozpoczął się pościg. Elrykowi nie chciało się jeść, ale ujął wysoki kubek z złotym winem i opróżnił go. Mocny napój orzeźwił go nieco. Napełniono mu kubek ponownie i wypił go równie szybko. Popatrzył przed siebie. Świtało. Na horyzoncie pojawiła się smuga purpurowego światła.

— Wystrzelcie ogniste kule, gdy tylko pojawi się słoneczny dysk — polecił Elryk.

— Wydam rozkazy — rzekł Magum Colim, ocierając usta i wyrzucając za burtę kość, z której ogryzał mięso.

Zszedł z mostka i wolnym krokiem ruszył w stronę katapult. Elryk słuchał ciężkiego stapania i naraz doznał uczucia, że otaczają go wrogowie. Było coś dziwnego w zachowaniu Maguma Colima w czasie kłótni cesarza z Yyrkoonem; jakaś nuta nieszczerości brzmiała w jego głosie, gdy odpowiadał Elrykowi. Próbował pozbyć się tych głupich myśli, ale zmęczenie, zwątpienie we własne siły, jawne kpiny jego kuzyna, wszystko to wzmagало w nim uczucie, że jest sam na tym świecie. Nawet Cymoril i Dyvim Tvar jako prawdziwi Melnibonéanie nie potrafili zrozumieć ani szczególnych problemów, jakie go nurtowały i kierowały jego działaniami, ani dziwnych nastrojów, w jakie coraz częściej popadał. A może mądrze wyrzec się wszystkiego co Melnibonéańskie i powędrować w świat, by jako bezimienny, najemny żołnierz służyć tym, którzy potrzebowaliby jego pomocy?

Daleko na horyzoncie, nad czarną linią wody ukazała się posępna, czerwona półkula słońca. Z przednich pokładów okrętu flagowego dobiegło kilkanaście głuchych uderzeń. Katapulty wystrzeliły płonące pociski. Rozległ się donośny, urwany na wysokiej nucie krzyk. Zdawało się, że dwanaście jarzących się meteorów przecięło niebo, mknąc w stronę pięciu galer barbarzyńców, które płynęły teraz przed nimi w odległości nie większej niż trzydzieści długości okrętu.

Tym razem pociski nie chybiły celu. Dwie galery stanęły w ogniu. Pozostałe trzy jednak, płynąc zakosami, zdołały ominąć kule ognia, które spadły do wody. Płonęły jeszcze przez chwilę pełnym blaskiem. Utonęły w głębinach, nie gasnąc do ostatniej chwili.

Ognistych kul przygotowano teraz znacznie więcej. Elryk słyszał, że Yyrkoon krzyczy po drugiej stronie mostka, zmuszając wiosłujących niewolników do większego wysiłku. Uciekające dotąd okręty zmieniły nagle taktykę. Barbarzyńcy najwyraźniej zrozumieli, że nie będą w stanie długo się bronić. Rozdzielili okręty i skierowali je przeciw „Synowi Pyaraya”, tak jak uczynili to wcześniej w labiryncie. Elryk podziwiał nie tylko odwagę tych ludzi i ich zręczność w manewrowaniu galerami, ale i szybkość, z jaką podjęli tę jedyną logiczną, choć nie pozostawiającą nadziei decyzję.

Blask wschodzącego słońca kładł się na wodzie przed zawracającymi okrętami. Splamił czerwienią morze, jakby w zapowiedzi bliskiej już krwawej walki. Barbarzyńskie galery podpływały coraz bliżej „Syna Pyaraya”.

Z okrętu flagowego wystrzelono nową salwę ognistych kul. Prowadząca galera próbowała halsować, by ich uniknąć, lecz nadaremnie. Dwie kule spadły na jej pokład. Płomienie ogarnęły cały okręt; ludzie płoneli i rzucali się do wody. Ślali strzały na Melnibonéańską barkę i umierali z przekleństwami na ustach. Ogarnięty pożarem okręt był jednak coraz bliżej; ktoś zablokował ster i skierował galere wprost na „Syna Pyaraya”. Statek uderzył w złocistą burtę barki i ogień przedostał się na pokład, gdzie rozmieszczone były główne katapulty. Zapalił się kocioł z ognistą substancją i Melnibonéanie ze wszystkich pokładów pośpieszyli na pomoc, próbując zdusić ogień.

Elryk uśmiechał się ponuro na widok tego, co udało się dokonać barbarzyńcom. Kto wie, może umyślnie skierowali swój statek pod ogniste pociski? Gdy większość załogi okrętu flagowego zajęta była gaszeniem ognia, druga galera podpłynęła z boku. Południowcy zarzucili bosaki i przyciągnęli okręt do burty „Syna Pyaraya”.

— Abordaż! Barbarzyńcy atakują! — krzyknął Elryk. Zawołał to dopiero teraz, choć mógł wcześniej ostrzec swą załogę. Zobaczył, jak Yyrkoon odwrócił się, ogarnął wzrokiem sytuację i zbiegł z mostka.

— Zostań tam, panie! — rzucił w biegu do Elryka. — Sprawiasz wrażenie zbyt zmęczonego, by walczyć.

Elryk zebrał wszystkie siły. Potykając się pobiegł za kuzynem, by pomóc w obronie okręgu. Barbarzyńcy nie walczyli o swoje życie. Wiedzieli, że zginą. Walczyli o swój honor. Chcieli zabrać ze sobą na dno bodaj jeden melnibonéański statek — ten właśnie. Swoją postawą zmuszali wroga do szacunku. Ci ludzie wiedzieli, że jeśli nawet zdobędą okręt flagowy, pozostałe jednostki złotej floty wkrótce przypłyną i pokonają ich. Pomimo to rozpoczęli nierówną walkę. Tamte barki wciąż jeszcze były daleko. Wielu wrogów straci życie, zanim dotrą do „Syna Pyaraya”.

Elryk zbiegł na najniższy pokład i znalazł się naprzeciwko dwóch wysokich piratów uzbrojonych w zakrzywione miecze i małe prostokątne tarcze. Elryk zadał pierwszy cios, bezskutecznie jednak. Był już bardzo zmęczony. Zbroja ciążyła mu, jakby wykuto ją z ołowiu. Z trudem unosił tarczę i miecz.

Dwa miecze niemal równocześnie uderzyły w jego hełm. Cofnął się i chwycił jednego z mężczyzn za ramię, drugiego uderzając tarczą. Zakrzywione ostrze zadzwoniło o jego pancerz. Zachwiał się i omal nie stracił równowagi.

Wszędzie wciskał się gryzący dym i żar. Zewsząd dochodziła wrzawa bitwy. Elryk szarpnął się rozpaczliwie i poczuł, że jego miecz wchodzi w miękkie ciało. Jeden z jego przeciwników, bełkocząc coś niewyraźnie, zwałił się na pokład. Z jego ust i nosa chlusnęła krew. Drugi skoczył gwałtownie do przodu. Elryk cof-

nał się, potknął o leżące ciało i upadł, trzymając przed sobą miecz. Triumfujący barbarzyńca pochylił się, by go dobić, lecz albinos pchnął silnym sztychem, przebijając go na wylot. Mężczyzna runął, przygniatając swoim ciałem Elryka. Nie poczuł już tego — zemdłał. Jego słaba krew zawiodła go nie po raz pierwszy.

Poczuł na wargach sól i w pierwszej chwili pomyślał, że to krew. Była to tylko morska woda. Przez pokład przetoczyła się fala i ocuciła go. Gdy usiłował wyczołgać się spod trupa, usłyszał dobrze znany głos. Odwrócił głowę. Obok stał książe Yyrkoon i śmiał się. Cieszył się, że znalazł Elryka w tak poniżającym położeniu. Czarny tłusty dym wciąż snuł się wszędzie, ale odgłosy bitwy już zamarły.

— Czy... czy zwyciężyliśmy, kuzynie? — głos Elryka był pełen bólu.

— Tak. Wszyscy barbarzyńcy są teraz martwi. Odplywamy właśnie z powrotem do Imrryru.

Elryk poczuł ulgę. Jeśli nie przyjmie swej zwykłej porcji leków, umrze wkrótce. Odprężenie musiało wyraźnie odmalować się na jego twarzy, bo Yyrkoon roześmiał się znowu.

— Jak to dobrze, że bitwa nie trwała dłużej, panie! Mało brakowało, byśmy zostali bez dowódcy.

— Pomóż mi, kuzynie. — Wstrętnym było Elrykowi prosić księcia Yyrkoona o jakąkolwiek łaskę, lecz nie miał wyboru. Wyciągnął do niego dłoń. — Mam dość siły, by dokonać inspekcji okrętu.

Yyrkoon, uśmiechając się nadal, podszedł bliżej. Wykonał gest, jakby chciał ująć tę rękę, zawahał się jednak.

— Jestem odmiennego zdania, panie. Nim ten okręt skieruje się ponownie na wschód, będziesz już martwy.

— Bzdury! Nawet bez leków mogę żyć przez pewien czas, choć trudno mi się wtedy poruszać. Pomóż mi, Yyrkoonie! Rozkazuję ci!

— Nie możesz mi rozkazywać, Elryku. Jak widzisz, to ja jestem teraz cesarzem.

— Ostrożnie, kuzynie! Ja mogę wybaczyć ci taką zdradę, ale inni tego nie uczynią. Będę zmuszony do...

Yyrkoon przekroczył ciało Elryka i zbliżył się do burty. W miejscu, gdzie przystawiano trap, poręcz umocowana była kilkoma śrubami. Yyrkoon odkręcił je powoli. Kopnięta poręcz wpadła do wody.

Elryk rozpaczliwie próbował się uwolnić, choć poruszał się z ogromną trudnością. Tymczasem Yyrkoon mimo wyczerpującej walki zdawał się mieć niespożyte siły. Pochylił się i z łatwością odrzucił przygniatające Elryka ciało.

— Yyrkoonie, to wielka nieostrożność... — zaczął Elryk.

— Dobrze wiesz, kuzynie, że nigdy nie byłem ostrożny. Yyrkoon postawił nogę na piersi Elryka i pchnął go mocno. Elryk zsunął się do wyrwy w burcie.

W dole widział falujące czarne morze.

— Żegnaj, Elryku! Na Rubinowym Tronie zasiądzie teraz prawdziwy Melni-bonéanin. Kto wie, może nawet uczyni Cymoril królową. Słyszano już przecież. . .

Elryk czuł, jak toczy się po pokładzie. Spadł za burtę. Uderzył o wodę i poczuł, jak ciężar zbroi wciąga go pod powierzchnię. Ostatnie słowa Yrkoona dudniły mu w uszach jak uparty łomot fal o burty złocistej barki wojennej.

CZEŚĆ II

Bardziej niepewny siebie i swego przeznaczenia niż kiedykolwiek, król albinos musi użyć swych czarnoksięskich mocy, świadom, że wplął się w bieg wypadków, niezgodnych z jego wyobrażeniami, jak chciałby przeżyć życie. Musi teraz rozstrzygnąć pewne sprawy. Musi zacząć panować. Musi być okrutny. Jednakże nawet tu jego plany zostaną pokrzyżowane.

Rozdział 1

GROTY WŁADCY MORZA

Elryk tonął szybko. Rozpaczliwie usiłował zatrzymać w płucach resztki oddechu. Nie miał sił, by płynąć, a ciężar zbroi nie dawał mu najmniejszej nadziei, że wynurzy się na powierzchnię, gdzie mógłby zauważyć go Magum Colim lub inny wierny mu poddany.

Głośny szum w uszach stopniowo przechodził w szmer. Elrykowi wydawało się, że słyszy w nim ciche głosy — głosy Wodnych Żywiołów, z którymi w dzieciństwie łączyła go przyjaźń. Ból w płucach złagodniał, czerwona mgła zniknęła sprzed oczu. Przez chwilę mignęła mu twarz ojca, potem twarz Cymoril i przelotnie Yyrkoon. Yyrkoon to głupiec. Choć cenił najwyżej swe melnibonéańskie pochodzenie, nie miał ani odrobiny właściwej tej rasie subtelności. Był równie brutalny i prymitywny jak barbarzyńcy z Młodych Królestw, którymi tak bardzo pogardzał. Nagle Elryk uświadomił sobie, że jest niemal wdzięczny kuzynowi. Jego życie skończyło się. Problemy, które go dręczyły, nie będą już dłużej go nękały. Jego obawy i cierpienia, jego miłości i nienawiści — wszystko stało się przeszłością. On sam odchodził w niepamięć.

Gdy ostatni oddech uchodził z jego płuc, Elryk oddał się całemu morzu i Straashy — władcy wszystkich Wodnych Żywiołów, niegdyś towarzysza i przyjaciela ludu Melniboné. Resztką świadomości przypomniał sobie jeszcze stare zaklęcie, które śpiewali jego przodkowie, by przywołać Straaszę. Gdzieś w zakamarkach jego zamierającego umysłu pojawiły się, nieproszone, słowa pieśni:

*Wody morza, wyście nas zrodziły,
Byłyście naszym mlekiem i matką
W dniach, gdy nieba się chmurzyły.
Wyście były pierwsze, będziecie ostatnie.*

*Władcy morza, krwi naszej ojcowie,
Sługa wasz na pomoc czeka.*

*Wasza sól, to krew, nasza krew, to wasza sól,
Wasza krew, to krew człowieka.*

*Straasha wieczny, wieczne morze,
Szukam twej pomocy.
Patrz, wrogowie nasi
Chcą nam splątać losy i wyczerpać morze.*

Czy słowa te mają jakieś stare, symboliczne znaczenie, czy odnoszą się do jakiegoś epizodu w dziejach Melniboné, o którym nawet Elryk nie czytał? Niewiele dla niego znaczyły, a mimo to powracały uparcie, gdy jego ciało pogrążało się coraz głębiej w zielonej wodzie. Nawet wtedy gdy ogarnęła go ciemność i woda wypełniła mu płuca, słowa rozlegały się uparcie w zakamarkach jego pamięci. Dziwił się, że wciąż słyszy ich śpiew, choć już dawno powinien być martwy.

Zdawało się, że upłynęły wieki, nim otworzył oczy. Ujrzał potężne wiry wodne, a dalej sunące ku niemu ogromne, niewyraźnie zarysowane postacie. A więc śmierć jeszcze nie nadeszła, majaczył tylko. Zobaczył przed sobą istotę o seledynowej, jakby z fal morskich powstałej skórze. Olbrzym o turkusowej brodzie i długich włosach tej samej barwy uśmiechał się do Elryka. Jego głos brzmiał jak szum przyboju.

— Straasha odpowiada na twe wezwanie, śmiertelniku. Nasze przeznaczenia wiążą się ze sobą. Jak mogę pomóc ci i pomagając tobie pomóc zarazem i sobie?

Woda wypełniała usta Elryka, a jednak wydawało mu się, że wciąż może mówić. Musiał więc śnić.

— Król Straasha... — powiedział. — Malowidła z biblioteki Wieży D'a'rputna. Widziałem je, gdy byłem chłopcem. Król Straasha...

Król morza rozłożył swe zielone dłonie.

— Tak. Przyzywałeś nas, potrzebujesz naszej pomocy. Dotrzymujemy naszego odwiecznego układu z twym ludem.

— Nie. Nie zamierzałem cię wzywać. Wezwanie pojawiło się nieproszone w moich myślach. Jestem szczęśliwy, że utonąłem.

— To niemożliwe. Przyzywałeś nas myślą, a to znaczy, że pragniesz żyć. Pomожemy ci.

Głębokie, zielone oczy króla Straashy łagodnie, niemal czule patrzyły na albinosa. Elryk znów zamknął oczy.

— Śnię. Oszukuję się tymi rojeniami — powiedział.

Czuł wodę w płucach i wiedział, że już nie oddycha, co prowadziło do prostego wniosku — był martwy.

— Jeśli jednak istniejesz naprawdę i pragniesz mi pomóc, stary przyjacielu — odezwał się znów — spraw, bym mógł powrócić do Melniboné i rozprawić się

z uzurpatorem Yyrkoonem. Chciałbym ocalić Cymoril, nim będzie za późno. Tylko cierpienia, jakich dozna Cymoril, gdy jej brat zostanie cesarzem Melniboné, budzą we mnie żal.

— Czy to wszystko, o co prosisz Żywioły Wody? — król Straasha wydawał się być zdumiony.

— Nawet o to cię nie proszę. Wypowiadam po prostu to, czego pragnąłbym, gdyby wszystko tutaj było rzeczywistością i gdybym w ogóle mógł mówić, co przecież jest niemożliwe. Umieram.

— To niemożliwe, królu Elryku. Nasze losy naprawdę splatają się ze sobą i wiem, że nie nadszedł jeszcze czas twojej śmierci. Pomogę ci więc.

Elryk zdumiał się wyrazistością każdego szczegółu jego marzeń.

— Cóż za okrutne męczarnie sam sobie zadajesz. Muszę przecież umrzeć — powiedział do siebie.

— Nie możesz umrzeć. Jeszcze nie teraz. . .

Straasha dźwignął go łagodnie w swych ramionach i poniósł przez kręte korytarze z delikatnego, rzucającego miękką różowy cień koralu. Nie było tu już wody; Elryk poczuł, że znika także z jego płuc i żołądka, że znów zaczyna oddychać. Czy to możliwe, by przeniesiono go na legendarną płaszczyznę Żywiołów — tę, która przecinała płaszczyznę ziemską i gdzie przeważnie przebywały?

Zatrzymali się w ogromnej okrągłej jaskini. Jej ściany świeciły różem i błękitem macicy perłowej. Król morza ułożył Elryka na białym piasku dna jaskini. Nie był to jednak zwykły piasek; ugiął się i sprężynował lekko, gdy tylko Elryk się poruszył.

Król Straasha ruszył w stronę wielkiego tronu z mlecznego jadeitu. Rozległ się dźwięk, jakby fala przetaczała się i wracała po kamykach. Straasha usiadł na tronie i oparł brodę na zielonej ręce, przypatrując się Elrykowi zagadkowym a jednocześnie pełnym zrozumienia wzrokiem.

Elryk nadal był bardzo słaby, mógł jednak oddychać. Miał wrażenie, jakby ustępująca z jego ciała morska woda oczyściła go. Czuł jasność myśli. Jego pewność, że śni, zachwiała się.

— Wciąż nie wiem, dlaczego mnie ocaliłeś, królu Straasha — szepnął.

— To pieśń runiczna. Usłyszeliśmy ją na tej płaszczyźnie i przybyliśmy. To wszystko.

— Rozumiem. Do tego trzeba jednak potężniejszych czarów, a nie tylko to jedno zaklęcie. Potrzebny jest śpiew, znaki, gesty i rytuał. Tak było dotąd.

— Być może obrzędy ustępują miejsca nagłej potrzebie. Takiej choćby jak ta, która przesłała nam twoje wezwanie. Mówisz wprawdzie, że chciałeś umrzeć, ale to oczywiste, że nie pragnąłeś tego naprawdę. W przeciwnym razie wezwanie nie byłoby tak wyraźne i nie dotarłoby do nas tak szybko. Nie myśl teraz o tym. Gdy odpoczniesz, spełnimy twoje prośby.

Elryk usiadł, choć każdy ruch sprawiał mu ból.

— Mówiłeś wcześniej o powiązanych losach. Wiesz coś zatem o moim przeznaczeniu.

— Trochę tak. Nasz świat starzeje się. Na twojej płaszczyźnie Żywioły były niegdyś potężne, a ludzie z Melniboné dzielili z nimi ich moc. Teraz jednak nasza potęga słabnie, wasza także. Coś się zmienia. Podobno Władcy Wyższych Światów znów zaczynają się interesować waszym światem. Może boją się, że mieszkańcy Młodych Królestw zapomnieli o nich. Może ten lud zapowiada nadejście nowego wieku, gdzie nie będzie już miejsca dla bogów i istot takich jak ja. Sądzę, że na płaszczyznach Wyższych Światów panuje teraz zaniepokojenie.

— Wiesz coś więcej?

Król Straasha uniósł głowę i spojrzał Elrykowi prosto w oczy.

— Nic więcej nie mogę ci ujawnić, synu mych dawnych przyjaciół. Chyba tylko to, że byłbyś szczęśliwy, gdybyś całkowicie poddał się przeznaczeniu, kiedy je zrozumiesz.

— Myślę, że wiem, o czym mówisz, królu Straasha — westchnął Elryk. — Spróbuję postąpić wedle twojej rady.

— A teraz, jeśli już odpocząłeś, pora wracać.

Król morza podniósł się ze swego tronu z mlecznego jadeitu i popłynął w stronę Elryka. Uniósł go w mocnych zielonych ramionach.

— Spotkamy się znowu przed końcem twojego życia. Mam nadzieję, że jeszcze raz będę mógł ci pomóc. I pamiętaj, że nasi bracia powietrza i ognia również pragną ci pomóc. Pamiętaj też o bestiach — i one mogą ci służyć. Nie trzeba lękać się ich pomocy. Strzeż się jednak bogów, Elryku. Strzeż się Władców Wyższych Światów i pamiętaj, że za ich pomoc i dary zawsze trzeba płacić.

To były ostatnie słowa morskiego króla, jakie usłyszał Elryk, zanim pomknęli powtórnie krętymi tunelami obcej płaszczyzny. Poruszali się z taką szybkością, że młodzieniec nie mógł dostrzec żadnych szczegółów tej drogi. Nie wiedział, czy pozostaje jeszcze w królestwie Straashy, czy też powrócił już do głębin morskich swego własnego świata.

Rozdział 2

CESARZ ZRZUCA Z TRONU UZURPATORA

Dziwne chmury zasnuły niebo i przesłoniły ogromną, czerwoną kulę słońca. Fale oceanu połyskiwały ponurą czernią, gdy złociste barki zmierzały w stronę portu w Imrryrze. „Syn Pyaraya” z porwanymi żaglami i martwymi niewolnikami przy wiosłach płynął za nimi wolno. Na pokładach snuli się poczerniali od dymu ludzie, na mostku, który ucierpiał mocno w czasie bitwy, stał nowy cesarz. Tylko on jeden przeżywał pełen triumf. Jego sztandar, a nie sztandar Elryka, powiewał teraz dumnie na maszcie flagowym. Yyrkoon nie tracił czasu — natychmiast po bitwie ogłosił, że Elryk został zabity, on zaś przejmuje władzę w Melniboné.

To szczególnej barwy niebo było dla Yyrkoona znakiem zmiany, powrotu do dawnego sposobu życia i dawnej potęgi Smocznej Wyspy. Gdy wydawał rozkazy, jego głos brzmiał nutą prawdziwej rozkoszy i admirał Magum Colim, który zawsze unikał Elryka, teraz zmuszony podporządkować się rozkazom nowego cesarza, zaczął się zastanawiać, czy nie należałoby rozprawić się z Yyrkoonem w ten sam sposób, w jaki on rozprawił się z Elrykiem. Admirał czuł bowiem, że to właśnie Yyrkoon winien jest śmierci cesarza.

Dyvim Tvar stał oparty o burtę swego statku. On także zwrócił uwagę na dziwną barwę nieba, choć widział w niej raczej zwiastuny nadchodzącej zguby. Opłakiwał w swym sercu Elryka i przemyślał, jak mógłby go pomścić. Rozważał też, czy należało ujawnić, że Yyrkoon zamordował swego kuzyna, by zdobyć Rubinowy Tron.

Na horyzoncie pojawiło się Melniboné. Spiętrzone bloki skalne wyglądały z daleka jak przyczajony posepny potwór, przywołujący potomstwo do swego ciepłego i miękkiego łona — Śniącego Miasta Imrryr.

Przed barkami wojennymi wyrosły potężne skały. Otworzyły się centralne wrota do morskiego labiryntu, plusnęła woda wzburzona złocistymi dziobami okrętów, wpływających do mrocznych, wilgotnych tunelów. W światłach pochod-

ni wciąż można było dostrzec wraki barbarzyńskich galer i napuchłe ciała, unoszące się na powierzchni wody. Barki torowały sobie majestatycznie drogę wśród szczątków swych ofiar, lecz na pokładach nikt nie wznosił radosnych, głoszących zwycięstwo okrzyków; okręty niosły też żałobne wieści — wiadomość o śmierci cesarza Elryka.

Przez siedem kolejnych nocy ulice Imrryru zapełniać będą w Dzikim Tańcu Melniboné nieprzebrane tłumy. Narkotyki i magia sprawiają, że nikt nie zaśnie. Żadnemu Melnibonéaninowi, ani młodemu, ani staremu, nie wolno spać w czasie żałoby po cesarzu. Nadzy Książęta Smoków rozbiegną się po mieście i będą chwytali każdą napotkaną młodą kobietę. Zgodnie z obyczajem, gdy umiera cesarz, wielmoże Melniboné muszą spłodzić tyle dzieci niebiańskiej krwi, ile tylko możliwe.

Ze szczytu każdej wieży w mieście niewolnicy będą wyśpiewywać żałobne pieśni. Inni zostaną zabici, niektórzy zjedzeni. Taniec Żałości był straszliwym tańcem — zbierał zawsze tyleż ofiar, ile tworzył nowych istnień.

W ciągu tych siedmiu dni jedna z wież Imrryru zostanie zburzona, a na jej miejscu powstanie nowa. Będzie przypominać Elryka VIII, cesarza albinosa, który zginął na morzu, broniąc Melniboné przed piratami z południa.

Cesarz zginął na morzu, a jego ciało zabrały fale. To nie był dobry znak. Znaczyło to, że Elryk odszedł służyć Pyarayowi, Władcy Chaosu. Temu — o wielu mackach — który szepcze — nieprawdopodobne tajemnice, dowódcy Floty Chaosu. Zatopione okręty i martwi żeglarze na zawsze pozostawali w jego niewoli. Nie do przyjęcia było, by taki los przypadł reprezentantowi królewskiej linii Melniboné. „Żałoba będzie trwała długo” — myślał Dyvim Tvar. Kochał Elryka, mimo że nie zawsze pochwalał jego metody rządzenia Smoczą Wyspą. W tajemnicy pójdzie tej nocy do Smoczyc Jaskiń i okres żałoby spędzi ze śpiącymi smokami. Teraz, gdy Elryk nie żył, były wszystkim, co kochał.

Dyvim Tvar myślał też o czekającej na powrót Elryka Cymoril. Na nabrzeżu płonęły już pochodnie i kosze napełnione węglem. Poza małą grupką żołnierzy, otaczających rydwan na końcu środkowego mola, było tu pusto. Dął zimny wiatr. Dyvim Tvar wiedział, że to księżniczka Cymoril ze swą eskortą wyczekuje powrotu floty.

Okręt flagowy przepłynął labirynt jako ostatni, ale pozostałe barki musiały czekać, aż zostanie doholowany na miejsce przed nimi. Tak nakazywał zwyczaj. Gdyby nie to, Dyvim Tvar już dawno byłby przy Cymoril, by bezpiecznie odprawić ją z nabrzeża i opowiedzieć jej o śmierci Elryka. Nie mógł jednak tego zrobić. Nim jego okręt rzucił kotwicę, opuszczono trap „Syna Pyaraya” i dumny cesarz Yyrkoon schodził już na ląd, unosząc triumfująco ramiona i pozdrawiając swą siostrę, która daremnie przebiegała wzrokiem pokłady okrętu w poszukiwaniu ukochanego.

Wreszcie zrozumiała, że Elryk nie żyje. Domyśliła się też, że Yyrkoon w jakiś

sposób ponosi odpowiedzialność za jego śmierć. Albo pozwolił, by barbarzyńcy zabili Elryka, albo sam zdołał go zabić. Znała, swego brata i wiedziała, co oznacza wyraz jego twarzy. Yyrkoon był z siebie zadowolony — jak zawsze, gdy udał mu się jakiś zdradziecki postępek. Gniew zapalił się w pełnych łez oczach dziewczyny. Podniosła twarz ku złowrogiemu niebu, po którym sunęły ciemne chmury.

— O, to Yyrkoon go zabił! — krzyknęła dziko.

Okrzyk zaskoczył jej gwardzistów.

— Pani? — odezwał się zaniepokojony kapitan.

— On nie żyje, i to mój brat go zabił! — powtórzyła księżniczka. — Zatrzymaj księcia Yyrkoona, kapitanie! Zabij go!

Kapitan położył rękę na rękojeści miecza niezdecydowanym gestem, lecz stojący obok młody żołnierz, znacznie bardziej porywczy, dobył natychmiast swej broni.

— Ja go zabiję, księżniczko, jeśli takie jest twoje życzenie — powiedział. Kochał Cymoril wielką i rozpaczliwą miłością.

Kapitan rzucił młodzieńcowi ostrzegawcze spojrzenie, ale ten go nie zauważył. Za jego przykładem dwóch kolejnych gwardzistów wysunęło miecze z pochew. Yyrkoon kroczył ku nim owinięty czerwonym płaszczem, w smoczym hełmie odbijającym światło pochodni.

— Cesarzem jest teraz Yyrkoon! — zawołał.

— Nie! — krzyknęła ostrym głosem jego siostra. — Elryku! Elryku! Gdzie jesteś?

— Służy swemu nowemu panu, Pyarayowi z Chaosu. Jego martwe dłonie ciągną wiosło przekłętego okrętu, siostrzo. Jego martwe oczy niczego już nie widzą, uszy słyszą tylko trzaskanie biczów. Martwe ciało kuli się ze strachu, nie czując niczego prócz ich uderzeń. Elryk runął w swej zbroi na samo dno morza.

— Morderca! Zdrajca! — Cymoril wybuchnęła płaczem. Kapitan trzeźwo zapatrywał się na wydarzenia. Odwrócił się do swoich żołnierzy i rozkazał cicho:

— Schowajcie miecze i pozdrówcie waszego nowego cesarza.

Żołnierze spełnili rozkaz. Nie posłuchał go tylko zakochany w Cymoril gwardzista.

— Ależ on zabił cesarza! Tak powiedziała pani Cymoril!

— Cóż z tego? Teraz on jest cesarzem. Klęknij albo zginiesz!

Młody żołnierz krzyknął coś i skoczył w stronę Yyrkoona. Ten uchylił się, próbując wyplątać ręce z fałd płaszcza. Tego nie oczekiwał. W tej samej chwili kapitan rzucił się ku nim, dobywając miecza. Ugodził młodzieńca i ten, nie zdążywszy nawet wydać głosu, runął do stóp Yyrkoona. Kapitan uznał siłę nowego cesarza, toteż władca nie krył uśmiechu zadowolenia, patrząc na ciało gwardzisty. Kapitan przyklęknął, trzymając w ręku okrwawiony miecz.

— Cesarzu — powiedział i skłonił się nisko.

— Okazałeś należyłą lojalność, kapitanie.

— To lojalność wobec Rubinowego Tronu.

— Właśnie.

Cymoril drżała z bólu i wściekłości, ale jej gniew był bezsilny. Wiedziała, że nie ma już przyjaciół.

Cesarz Yyrkoon stanął przed nią i wyciągnął rękę. Zaczął pieścić łagodnie jej szyję, policzki i wargi. Przesunął dłoń niżej, muskając jej piersi.

— Siostrze, twoja uroda należy teraz całkowicie do mnie — oznajmił.

Napięcie Cymoril dosięgnęło szczytu i na te słowa zemdląca.

— Podnieście ją — zwrócił się Yyrkoon do strażników. — Zabierzcie do wieży i upewnijcie się, że tam pozostanie. Dwóch strażników ma być zawsze przy niej. Niech ją obserwują nawet w chwilach dla niej najintymniejszych, aby nie mogła uknuć spisku przeciw Rubinowemu Tronowi.

Kapitan skłonił się i skinął na swych ludzi, by wykonali rozkaz cesarza.

— Tak, panie, uczynimy to.

Yyrkoon spojrział znów na ciało młodego żołnierza i trącił je lekko nogą.

— A to dajcie wieczorem do zjedzenia jej niewolnikom. W ten sposób będzie mógł służyć jej nadal — uśmiechnął się.

Kapitan odpowiedział uśmiechem, doceniając żart. Czuł, że dobrze jest mieć w Melniboné prawdziwego cesarza. Ten władca wie, jak się zachować, jak traktować swych wrogów, dla niego niezachwiana lojalność jest prawem. Kapitan rozumiał, że Melniboné stanęło u progu wojen. Złociste barki i żołnierze z Imrryru znów będą mogli ruszyć na poszukiwanie łupów, a on znów wpoi barbarzyńcom z Młodych Królestw strach i podziw dla Melniboné, bo tylko takie uczucia powinni żywić dla Smoczej Wyspy.

W wyobraźni zagarniał już bogactwa Lormyru, skarby Argimiliaru i Pikaraydu, Ilmiory i Jadmaru. Może nawet zostanie gubernatorem Wyspy Purpurowych Miast? Jakże będzie nękał te parweniuszowskie morskie królewiątka, a zwłaszcza hrabiego Smiorgana Łysego, który próbował uczynić z tej wyspy rywalke Melniboné w handlu morskim.

Krocząc obok żołnierzy niosących księżniczkę Cymoril do wieży, kapitan pozerzał wzrokiem jej postać. Budziła w nim pożądanie. Yyrkoon nagrodzi jego lojalność, co do tego nie miał wątpliwości. Choć dał zimny wiatr, żar ogarnął kapitana na myśl o oczekiwanej nagrodzie. Sam będzie strzegł księżniczki Cymoril i będzie się tym rozkoszował.

Yyrkoon stapał dumnie na czele swych wojsk ku Wieży D'a'rputna, gdzie znajdował się Rubinowy Tron. Nie zasiadł w lektyce, którą mu przysłano, lecz szedł. Pragnął rozkoszować się każdą chwilą swojego triumfu. Do stojącej w samym środku Imrryru wieży, najwyższej spośród wszystkich wież w mieście, zbliżał się tak, jakby podchodził do ukochanej kobiety. Łagodnie i bez pośpiechu, bo

wiedział, że jest już jego.

Obejrzał się. Tuż za nim szło jego wojsko. Prowadzili je Magum Colim i Dyvim Tvar. Mieszkańcy miasta przystawali na krętych ulicach miasta i kłaniali mu się nisko. Niewolnicy rzucali się na ziemię, by złożyć mu hołd. Nawet zwierzęta pociągowe zmuszano, by klękały, gdy przechodził. Niemal namacalnie czuł swoją potęgę. Rozkoszował się nią tak, jak ktoś inny delektuje się smakiem słodkiego owocu. Oddychał głęboko. Nawet powietrze należało do niego. Całe Imrryr do niego należało. Całe Melniboné. Wkrótce zagarnie cały świat, a potem będzie go trwonił. . . Och, jakże będzie go trwonił! Sprowadzi znów na ziemię ogromną trwogę, wiele trwogi!

Cesarz Yyrkoon wkraczał do wieży w ekstazie. Niczego wokół nie dostrzegął. Przystanął z wahaniem przed ogromnymi drzwiami sali tronowej. Skinął, by je otworzono. Gdy się rozwarły, wkroczył do niej w starannie przemyślany sposób, niczym aktor na scenę. Cała sala — ściany, sztandary, trofea, galerie — wszystko należało do niego. Teraz było tu pusto, ale wkrótce on wypełni tę komnatę życiem, dworskimi uroczystościami i prawdziwymi, melnibonéańskimi zabawami. Zbyt długo już krew nie nasyciała słodkim zapachem jej powietrza.

Uniósł powieki i jego wzrok spoczął na stopniach wiodących do Rubinowego Tronu. Naraz usłyszał, jak stojący za nim Dyvim Tvar chwyta w zdumieniu powietrze. Błyskawicznie przesunął spojrzenie na szczyt schodów. Otworzył szeroko oczy. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Usta rozchyliły mu się bezwiednie.

— To złudzenie!

— Widmo! — rzekł zadowolony Dyvim Tvar.

— To zniewaga Tronu! — krzyknął cesarz Yyrkoon. Ruszył po schodach chwiejnym krokiem, z palcem wymierzonym w okrytą szczelnie płaszczem postać, która tak pewnie siedziała na Rubinowym Tronie.

— On jest mój! Mój! — krzyczał Yyrkoon. Tajemnicza postać nie odpowiadała.

— On jest mój! — powtarzał Yyrkoon. — Odejdź natychmiast! Tron należy do Yyrkoona. Yyrkoon jest teraz cesarzem! Kim jesteś? Dlaczego niweczysz moje plany?

Kaptur płaszcza opadł i odsłonił białą twarz, okoloną długimi mlecznobiałymi włosami. Purpurowe oczy spoglądały zimno na wrzeszczącą, zataczającą się na schodach istotę.

— Ty nie żyjesz, Elryku! Wiem, że nie żyjesz!

Zjawa nie odpowiadała, tylko na jej bladych wargach ukazał się nikły uśmiech.

— Nie mogłeś się uratować! Utonąłeś. Nie możesz wrócić. Twoją duszę dzierży Pyaray!

— Nie tylko on włada morzem — odparła postać na Rubinowym Tronie. — Dlaczego mnie zabiłeś, kuzynie?

Yyrkoona opuściła całą jego przebiegłość, ustępując miejsca przerażeniu i zmieszaniu.

— To ja mam prawo do władzy! Ty nie byłeś wystarczająco silny, wystarczająco okrutny, ani nawet zabawny...

— Czyż nie jest to świetny żart, kuzynie?

— Odejdź! Zniknij natychmiast! Natychmiast! Zmarły cesarz nie może rządzić Melniboné!

— Zobaczymy. — Elryk dał znak Dyvimowi Tvarowi i jego żołnierzom.

Rozdział 3

SPRAWIEDLIWOŚĆ WEDLE STARYCH OBYCZAJÓW

Teraz będę rządził tak, jak tego pragnęłaś, kuzynie — rzekł Elryk, obserwując, jak żołnierze Dyvima Tvara otaczają uzurpatora i odbierają mu broń.

Yrkoon dyszał ciężko jak schwytyany w sidła wilk. Rozejrzał się dookoła, jakby w nadziei, że znajdzie sprzymierzeńców wśród zgromadzonych żołnierzy. Oni jednak odwracali od niego spojrzenia. Twarze ich wyrażały obojętność lub jawną wzdargę.

— Na tobie pierwszym, Yrkoonie, wypróbuję nowy sposób rządzenia. Czy jesteś zadowolony?

Yrkoon opuścił głowę. Drżał cały. Elryk roześmiał się.

— Mów głośniej, kuzynie.

— Niechaj Arioch i wszyscy Książęta Piekieł dręczą cię przez wieczność — warknął Yrkoon. Uniósł głowę, potoczył wokoło dzikim wzrokiem i wykrzywił wargi w grymasie wściekłości.

— Ariochu! — zakrzyczał. — Ariochu, rzuć klątwę na tego słabowitego albino! Ariochu! Zniszcz go lub spraw, by runęło Melniboné!

Elryk nie przestawał się śmiać.

— Arioch cię nie usłyszy! Chaos nie ma już dawnej władzy nad ziemią. Upragniona przez ciebie pomoc Władców Chaosu, jaką służyli niegdyś naszym przodkom, wymaga większych umiejętności magicznych niż twoje. A teraz, Yrkoonie, gdzie jest pani Cymoril?

Yrkoon milczał pośepnie.

— Jest w swej wieży, cesarzu — powiedział Magum Colim.

— Zabrali ją tam poplecznicy Yrkoona — dodał Dyvim Tvar. — Dowódca osobistej straży Cymoril zabił żołnierza, który próbował bronić swej pani przed Yrkoonem. Księżniczce Cymoril grozi niebezpieczeństwo, panie.

— Weź więc oddział żołnierzy i idź szybko do wieży. Sprowadź do mnie Cymoril i dowódcę jej straży.

— A Yyrkoon, panie? — spytał Dyvim Tvar.

— Niechaj pozostanie tu, dopóki nie powróci jego siostra. Dyvim Tvar skłonił się i wybiegł z sali tronowej, zwołując po drodze oddział. Wszyscy zauważyli, że krok Dyvima Tvara był lżejszy. Z jego twarzy zniknął ponury grymas, który wykrzywił ją, gdy Pan Smoczycy Jaskiń zbliżał się do tronu za cesarzem Yyrkoonem.

Yyrkoon uniósł głowę i popatrzył na dworzan. Przez chwilę przypominał budzące litość, oszukane dziecko. Wszystkie oznaki nienawiści i gniewu zniknęły z jego twarzy i Elryk poczuł, że wzbiera w nim współczucie. Tym razem jednak stłumił je w sobie.

— Bądź mi wdzięczny, kuzynie, że przez kilka godzin mogłeś cieszyć się tak ogromną potęgą i sprawować władzę nad ludem Melniboné.

— W jaki sposób uciekłeś? — zapytał Yyrkoon cichym głosem, wyraźnie zaintrygowany. — Nie miałeś czasu ani sił, by posłużyć się czarami. Przecież niemal nie mogłeś się poruszać, a twoja zbroja musiała pociągnąć cię głęboko w morze. Powinieneś być więc utonąć. To nieuczciwe, Elryku. Powinieneś być utonąć!

Elryk wzruszył ramionami.

— Mam przyjaciół w głębinach morza. Rozpoznali moją królewską krew i moje prawo do władzy, nawet jeśli ty ich nie dostrzegasz.

Yyrkoon próbował ukryć zaskoczenie. Widać było jednak, że wzrósł jego szacunek dla Elryka, podobnie zresztą, jak i nienawiść, jaką czuł do cesarza albinosa.

— Przyjaciele... — powtórzył z niedowierzaniem.

— Tak — potwierdził Elryk, uśmiechając się lekko.

— Ja... sądziłem, że przysięgałeś nie korzystać ze swoich czarnoksięskich mocy.

— Myślałeś też, że władca Melniboné nie powinien składać takiej przysięgi. Cóż, zgadzam się z tobą. Widzisz, Yyrkoonie, w końcu przyznałem ci rację, odniosłeś zwycięstwo.

Yyrkoon wpatrywał się w Elryka, jakby próbował zgłębić ukryty sens jego słów.

— Sprowadzisz znów Władców Chaosu?

— Żaden czarnoksiężnik, choćby nawet rozporządzał ogromną potęgą, nie może przywołać Władców Chaosu ani Władców Prawa, jeśli oni sami nie będą tego chcieli. O tym wiesz. Musisz o tym wiedzieć, Yyrkoonie, bo ty także tego próbowałeś i Arioeh nie przybył. Nie przyniósł ci daru, którego szukasz — dwóch czarnych mieczy!

— Wiesz o tym?

— Nie wiedziałem — przypuszczałem. Teraz już wiem.

Wściekłość odebrała Yyrkoonowi możność mówienia.

Przez chwilę, rycząc ochryple, szarpał się w rękach strażników.

W drzwiach sali tronowej stanął Dyvim Tvar z Cymoril. Była blada, ale uśmiechała się radośnie. Lekkim krokiem wbiegła do komnaty.

— Elryku!

— Cymoril! Czy cię skrzywdzili?

Cymoril spojrzała na zgnębionego dowódcę straży, którego razem z nią wprowadzono do sali. Po jej pięknej twarzy przebiegł lekki uśmiech. Potrząsnęła głową.

— Nie. Nikt mnie nie skrzywdził.

Kapitan drżał z przerażenia. Patrzył błagalnie na Yyrkoona, jakby oczekując od niego pomocy. Yyrkoon nie podnosił jednak wbiętego w posadzkę spojrzenia.

— Dajcie go bliżej. — Elryk wskazał dowódcę straży.

Żołnierze przyciągnęli mężczyznę do stóp schodów Rubinowego Tronu. Jęknął głośno.

— Ależ z ciebie mały, nędzny zdrajca! — rzekł Elryk. — Yyrkoon miał przynajmniej dość odwagi, by próbować mnie zabić. Jego ambicje sięgały wysoko. Twoje ograniczały się do tego, by zostać jednym z jego uprzywilejowanych sługusów. Dlatego zdradziłeś swą panią i zabiłeś swego żołnierza. Jak się nazywasz?

Mężczyzna kilka razy daremnie otwierał usta, chcąc odpowiedzieć.

— Mam na imię Valharik — wykrztusił wreszcie. — Cóż mogłem zrobić? Służę Rubinowemu Tronowi bez względu na to, kto na nim zasiada.

— A zatem zdrajca utrzymuje, że powodowała nim lojalność! I ja mam w to uwierzyć?

— Tak było, panie! Tak było — jęk kapitana przeszedł w skowyt, a on sam upadł na kolana. — Każ zabić mnie natychmiast! Nie karz mnie bardziej, panie!

W pierwszym odruchu Elryk chciał wysłuchać jego błagań. Spojrzał jednak na Yyrkoona, przypomniał sobie też wyraz twarzy Cymoril, gdy patrzyła na strażnika. Wiedział, że teraz musi to uczynić i ukarać dla przykładu kapitana Valharika.

— Nie. Twoja kara będzie dotkliwsza. Dzisiejszej nocy umrzesz tu w przewidziany zwyczajem Melniboné sposób. Tymczasem dworzanie będą ucztować, by uczcić nową erę moich rządów.

Valharik zatkał. Wiedział, co to oznacza. Po chwili jednak uspokoił się i powstał. Był przecież Melnibonéaninem. Skłonił się nisko i cofnął, oddając się w ręce strażników.

— Muszę pomyśleć, jak mógłbyś podzielić swój los z losem tego, któremu pragnąłeś służyć — ciągnął Elryk. — W jaki sposób zabiłeś tego młodego żołnierza, który chciał być posłuszny księżniczce Cymoril?

— Moim mieczem. Ściąłem go. To był uczciwy, czysty cios, i tylko jeden.

— A co stało się z ciałem?
— Księżę Yyrkoon rozkazał, bym nakarmił nim niewolników księżniczki.
— Rozumiem. Księżę Yyrkoonie, dzisiejszej nocy możesz przyłączyć się do naszej uczyty, gdy kapitan Valharik będzie nas zabawiał swą powolną śmiercią.
Twarz Yyrkooona była niemal tak blada jak twarz Elryka.
— Jak mam to rozumieć?
— Twoje pożywienie w czasie uczyty stanowić będą małe kawałki ciała kapita-
na Valharika, przygotowane przez naszego doktora Jesta. Możesz wydać instruk-
cje, jak ci je przyrządzić. Nie wymagamy, byś jadł je na surowo, kuzynie.
Decyzja Elryka, mimo że zgodna z duchem Melniboné i w subtelnie ironiczny
sposób rozwijała pomysł Yyrkooona, zdumiała nawet Dyvima Tvara. Nie przy-
pominała jednak w niczym innych jego postanowień; przynajmniej tego Elryka,
którego dotąd znał.
Kapitan Valharik słysząc, jaki los go czeka, wrzasnął przerażony. Wbił wzrok
w księcia Yyrkooona, jakby niedoszły cesarz kosztował już jedno z przeznaczo-
nych mu dań. Yyrkoonowi drżały ręce.
— I to będzie początek — podkreślił Elryk. — Uczta rozpocznie się o północy.
Do tego czasu Yyrkoon ma przebywać pod strażą w swej więzy.

Żołnierze wyprowadzili z sali księcia Yyrkooona i Valharika. Dyvim Tvar i Cy-
moril zbliżyli się i stanęli obok Elryka. Cesarz zagłębił się w tron i patrzył przed
siebie z goryczą.

— To mądre okrucieństwo — odezwał się Dyvim Tvar.
— Obydwaj na nie zasłużyli — dodała Cymoril.
— Tak — mruknął Elryk. — Tak postąpiłby mój ojciec. Tak postąpiłby także
Yyrkoon, gdyby nasze role się odwróciły. Jestem jedynie wierny tradycji. Nie
mogę już udawać, że należę wyłącznie do siebie, bo to nieprawda. Do śmierci
będę już więźniem Rubinowego Tronu; będę służył Rubinowemu Tronowi tak jak
Valharik.

— Czy nie mogłeś rozkazać, by zabito ich niezwłocznie? — zapytała Cy-
moril. — Nie błagam wcale o litość dla mojego brata, nie wstawiam się za nim
dlatego, że jest moim bratem. Nienawidzę go bardziej niż ktokolwiek inny. Ten
plan może jednak przynieść ci zgubę.

— Cóż, a jeśli nawet? Niechaj mnie to zgubi. Niech stanę się bezmyślnym
przedłużeniem mych przodków, marionetką w rękach duchów i wspomnień, która
tańczy na sznurkach, sięgających wstecz przez dziesięć tysięcy lat.

— Może, gdybyś się przespał... — zaczął Dyvim Tvar.

— Nie zasnę jeszcze przez wiele nocy — przerwał mu Elryk. — Twój brat
nie umrze jednak, Cymoril. Gdy odbędzie już swą karę, wygnam go. Odejdzie
samotnie do Młodych Królestw i nie będzie mu wolno zabrać jego magicznych

ksiąg. W krajach barbarzyńców będzie musiał radzić sobie sam. Sądzę, że nie jest to zbyt surowa kara.

— Jest zbyt łagodna — zaprotestowała Cymoril. — Każ go zabić, dobrze ci radzę, panie! Wyślij zaraz żołnierzy. Nie zostawiaj mu czasu na to, by mógł zastanowić się, jak pokrzyżować ci plany.

— Tego się nie boję — odparł, podnosząc się z trudem. Był bardzo zmęczony. — Chciałbym zostać sam. Nim rozpocznie się uczta, muszę przemyśleć kilka spraw.

— Wrócę do swej wieży i przygotuję się na wieczór — skłoniła się Cymoril. Ucałowała lekko blade czoło Elryka, a on spojrzał na nią z ogromną miłością. Pogładził czule jej włosy i policzek.

— Pamiętaj, że kocham cię, Elryku — szepnęła.

— Dopilnuję, byś bezpiecznie dotarła do domu, pani — zwrócił się do niej Dyvim Tvar. — Musisz też wybrać nowego dowódcę swej straży. Czy mogę ci w tym pomóc?

— Byłabym ci wdzięczna, Dyvim Tvar.

Zostawili Elryka, który patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem. Ręka, którą od czasu do czasu podnosił do swej białej twarzy, drżała lekko, w dziwnych purpurowych oczach malowała się udręka.

W jakiś czas potem wstał i wolno, ze spuszczoną głową poszedł do swych apartamentów, odprowadzany przez strażników. Przystanął przed wejściem na schody prowadzące do biblioteki. Instynktownie szukał pociechy i zapomnienia w wiedzy. W tej chwili jednak poczuł nieoczekiwaną nienawiść do wszystkich tych zwojów i ksiąg. Winił je za swe śmieszne niepokoje o „moralność” i „sprawiedliwość”; za uczucie winy i rozpacz, jakie przepełniały go tylko dlatego, że postanowił postępować jak prawdziwy władca Melniboné.

Przeszedł więc nie zatrzymując się obok drzwi do biblioteki i poszedł do swych komnat. Ale nawet tutaj nie czuł się dobrze. Te pokoje były skromne, surowo umeblowane. Nie było tu luksusu, bogatej gamy barw i mieszaniny dziwacznych wzorów, tak lubianych przez wszystkich Melnibonéan, poza jego ojcem. Teraz kazałby zmienić te meble najszybciej, jak to możliwe. Poddałby się woli duchów, które tu rządziły.

Przez jakiś czas krążył po pokojach, próbując pozbyć się litości, która kazała mu oszczędzić Valharika i Yyrkoona. Należało zabić ich od razu lub zesłać obu na wygnanie i skończyć wreszcie z tą sprawą. Nie mógł już cofnąć swej decyzji. Wreszcie rzucił się na sofę przy oknie, z którego roztaczał się widok na miasto. Po niebie wciąż sunęły ciemne chmury, ale teraz prześwitywał zza nich księżyc. Wyglądał jak srebrne oko groźnej bestii, która przyglądała się cesarzowi, jakby napawając się klęską jego sumienia. Elryk wtulił głowę w ramiona.

Zbliżała się północ. Słudzy przyszli oznajmić mu, że dworzanie gromadzą się w sali tronowej, gotowi do uczty. Pozwolił, by ubrali go w ceremonialne żół-

te szaty i nałożyli mu na głowę smoczą koronę. Tak przystrojony wrócił do sali tronowej, gdzie powitały go głośnie wiwaty, bardziej szczere i spontaniczne niż kiedykolwiek przedtem. Przyjął powitanie, po czym usiadł na Rubinowym Tronie, spoglądając ponad stołami ustawionymi w sali pod nim. Niewolnicy postawili przed nim niewielki stolik, przynieśli też dwa dodatkowe krzesła, gdyż Dyvim Tvar i Cymoril mieli zasiąść przy nim. Nie było ich jeszcze. Nie przyprowadzono też zdrajcy Valharika. A gdzie jest Yyrkoon? Właśnie teraz powinni stać tu pośrodku sali.

Doktor Jest już tam był. Podtrzymywał ogień w małym piecyku, na którym stały naczynia do gotowania, wypróbował i ostrzył swoje noże. Salę wypełniały podekscytowane głosy. Dwór czekał na zabawę. Przyniesiono już jadło i trunki, lecz nikt nie ośmieliłby się ich skosztować, dopóki nie uczynił tego cesarz.

Elryk skinął na dowódcę straży.

— Czy księżniczka Cymoril i Dyvim Tvar przybyli już do Wieży?

— Nie, panie.

Cymoril rzadko się spóźniała, a Dyvim Tvar nie spóźniał się nigdy. Czyżby nie odpowiadał im ten rodzaj zabawy?

— A co z więźniami?

— Posłano po nich, panie.

Doktor Jest spojrział wyczekująco, jego chude ciało zastygło w oczekiwaniu. Wówczas to Elryk usłyszał wybijający się ponad szmerem rozmów dźwięk. Dziwny, jęczący dźwięk, który zdawał się dobiegać ze wszystkich stron wieży. Pochylił głowę i wsłuchał się weń uważnie.

Teraz usłyszeli go i inni. Ucichły rozmowy, dworzanie zaczęli nasłuchiwać. W całej sali zapadła cisza i dźwięk stał się głośniejszy. Nagle drzwi do sali tronowej rozwarły się i na progu stanął Dyvim Tvar. Oddychał z trudem, jego ubranie było porwane, z głębokich ran na całym ciele sączyła się krew. Tuż za nim do sali dostała się mgła — kłębiąca się mgła o okropnej barwie ciemnej purpury i ostrego, nieprzyjemnego błękitu. I to mgła wydawała ów jęczący dźwięk.

Elryk zerwał się z tronu i odepchnął stół. Jęcząca mgła pełzła po posadzce, jakby chciała dosięgnąć Dyvima Tvara.

Elryk zbiegł po schodach i chwycił przyjaciela w ramiona.

— Dyvim Tvar! Co to za czary?

Na twarzy Dyvima Tvara malowało się przerażenie. Nie mógł mówić, strach zdawał się mrozić mu wargi.

To czary Yyrkoona — wykrztusił w końcu. — Przywołał jęczącą mgłę, by pomogła mu w ucieczce. Próbowałem ścigać go za miastem, ale otoczyła mnie i straciłem przytomność. Gdy poszedłem do wieży, by sprowadzić tutaj jego i Valharika, czar już działał.

— Cymoril? Gdzie ona jest?

— Zabrał ją, Elryku! Jest z nim. Jest z nim też Valharik oraz setka żołnierzy, którzy skrycie pozostali mu wierni.

— Trzeba więc ich ścigać! Powinniśmy go wkrótce schwytać.

— Nie przeciwstawisz się jęczącej mgłę. Och, zbliża się! Mgła zaczęła ich otaczać. Elryk próbował ją rozpędzić rękoma, ale gęstniała wokół niego coraz bardziej. Przygnębiający dźwięk wypełniał mu uszy, szkaradne barwy raziły oczy. Próbował przedrzeć się przez mgłę, ale nie mógł tego uczynić; podążała za nim uparcie. Naraz zdało mu się, że wśród jęków rozróżnia słowa:

— Elryk jest słaby... Elryk jest głupi... Elryk musi umrzeć...

— Przestań! — krzyknął. Zderzył się z kimś i padł na kolana. Zaczął się czołgać, rozpaczliwie usiłując coś zobaczyć. Teraz mgła zaczęła przybierać kształty twarzy. Były straszliwe, nie oglądali podobnych nawet w najbardziej koszmarnych snach.

— Cymoril! — krzyknął. — Cymoril!

I natychmiast jedna z twarzy stała się twarzą Cymoril; rzucała mu chytre spojrzenie i drwiła z niego. Jej twarz starzała się powoli, aż zobaczył przed sobą odrażającą staruchę, a w końcu czaszkę z rozkładającymi się resztkami ciała. Zacisnął powieki, ale obraz pozostał pod nimi.

— Cymoril... — szeptały głosy. — Cymoril...

Elryk walczył rozpaczliwie, ale słabł coraz bardziej, I Wołał Dyvima Tvara, lecz dobiegło go tylko echo. Powtarzało drwiąco jego słowa, jak wtedy, gdy wołał Cymoril. Zacisnął usta i zamknął oczy. Zaczął się czołgać. Sunął przed siebie, próbując wyzwolić się spod woli jęczącej | mgły. Zdawało mu się, że minęły godziny, zanim jęki przeszły w cichy skowyt i wreszcie ucichły zupełnie. Otworzył oczy i dźwignął się na nogi. Ujrzał, że mgła blednie i rozplywa się, ruszył więc chwiejnym krokiem ku schodom. Tu jednak słabość ogarnęła go znowu i upadł na stopnie wiodące do Rubinowego Tronu. Jeszcze raz zignorował radę Cymoril, która ostrzegała go przed bratem, i Cymoril znowu była w niebezpieczeństwie. Nie jestem wart życia — przemknęła mu przez głowę ostatnia myśl.

Rozdział 4

PAN CHAOSU PRZYBYWA NA WEZWANIE

Gdy tylko ocknął się po szoku, który na długo pozbawił go przytomności, posłał po Dyvima Tvara. Stracił dużo czasu i niecierpliwie oczekiwał wiadomości. Tymczasem Dyvim Tvar nie potrafił niczego powiedzieć. Wiadomo było tylko, że Yyrkoon przywołał czarnoksiężskie moce, by go uwolniły i pomogły mu w ucieczce.

— Musiał opuścić wyspę jakimś czarodziejskim sposobem. Nie mógł odplynąć statkiem — stwierdził Dyvim Tvar.

— Wyślij ludzi na poszukiwania — powiedział Elryk. — Jeśli trzeba, wyślij tysiąc oddziałów. Poślij wszystkich mężczyzn z Melniboné. Spróbuj obudzić smoki, niech pomogą w poszukiwaniach. Przygotuj barki wojenne. Zalej świat swoimi ludźmi, ale odszukaj Cymoril!

— Wszystko to już uczyniłem — odrzekł Dyvim Tvar. — Nie znalazłem jednak Cymoril.

Minął miesiąc, a imrryriańscy żołnierze wciąż wędrowali po krainach Młodych Królestw, szukając wieści o swych podstępnych rodakach.

Bardziej troszczyłem się o siebie niż o Cymoril i nazywałem to „moralnością” — myślał albinos. — Poddawałem próbie swoją wrażliwość zamiast sumienia.

Minął drugi miesiąc. Imrryriańskie smoki wciąż przemierzały niebo na Południu i Wschodzie, na Zachodzie i Północy. Krążyły ponad górami i morzami, nad lasami i równinami, wzbudzając trwogę w wielu miastach. Nigdzie jednak nie natrafiły na ślad Yyrkoona i jego bandy.

W końcu człowiek może się oceniać tylko wedle swoich dokonań — myślał dalej Elryk. — Nieważne, co zamierzałem czy pragnąlbym zrobić. Trzeba przyrzec się temu, czego dokonałem. Niemal wszystko było głupie, zgubne i pozbawione sensu. Yyrkoon ma rację, że mną gardzi — dlatego właśnie tak go niena-

widzę.

Nadszedł czwarty miesiąc. Imrriańskie okręty zatrzymywały się w dalekich portach i żeglarze wypytywali obcych podróżników i wędrowców o Yyrkooną. Jego czary były jednak potężne i nikt go nie widział, nikt też nie pamiętał, by go spotkał.

Pierwsi zmęczeni żołnierze zaczęli powracać do Melniboné, ale wieści, jakie przynosili, nie zdały się na nic. Lecz w miarę jak Elryk tracił wiarę i upadała w nim nadzieja, rosła jego determinacja. Coraz silniejszy, gromadził coraz więcej wiedzy. Wypróbowywał nowe narkotyki, które miały podwajać jego siły. Spędzał wiele czasu w bibliotece, ale teraz czytał tylko niektóre księgi magiczne; czytał je wielokrotnie. Zostały one niegdyś spisane w Szlachetnej Mowie Melniboné, starym języku magii. Przodkowie Elryka potrafili porozumiewać się nim z nadprzyrodzonymi istotami, które przywoływali na swoją płaszczyznę.

Przyszła chwila, gdy wiedział już, że dobrze zrozumiał zapiski. Prawda że studiowanie tych tekstów odrywało go od działania, ale niebezpieczeństwa płynące z niezrozumienia ukrytych znaczeń wszystkiego, co opisano w owych księgach, były zgubne w skutkach, toteż musiał mieć pewność, że pojął je właściwie. Dopiero wówczas na trzy noce pograżył się w narkotycznym śnie.

Potem był gotów. Usunął ze swych pokoi wszystkich niewolników i służących, przy drzwiach ustawił strażników i rozkazał, by nie wpuszczali nikogo. Nic na ten czas nie było ważne. Z jednej z komnat nakazał wynieść wszystkie meble. Dokładnie pośrodku pokoju umieścił jedyną magiczną księgę, po czym usiadł obok niej i pograżył się w myślach.

Po trwających ponad pięć godzin medytacjach wziął pędzelek i naczynie z tuszem i zaczął pokrywać skomplikowanymi symbolami ściany i podłogę komnaty. Niektóre z nich były tak zawile, że zdawały się wnikać w powierzchnię, którą zdobiły. Skończył malować znaki i położył się na środku potężnych runów. Zwrócony twarzą do dołu, leżał z jedną dłonią opartą na magicznej księdze, drugą zaś, na której lśnił Actorios, rozpostarł na posadzce. Za oknem błyszczał ogromny, okrągły księżyc. Promień jego światła padł wprost na głowę Elryka i posrebrzył mu włosy. I wówczas rozpoczęło się przywoływanie.

Elryk słał swe myśli krętymi drogami logiki, poprzez bezkresne płaszczyzny wyobrażeń, przez góry symboliki i nieskończone światy alternatywnych prawd. Słał je coraz dalej i dalej, a w ślad za nimi szły słowa, które dobywały się z jego wykrzywionych ust. Niewielu mu współczesnych mogłoby je zrozumieć; samo ich brzmienie przejęłoby strachem każdego, kto by je usłyszał. Ciało Elryka drgało niespokojnie, gdy usiłował utrzymać je w odpowiedniej pozycji. Przez cały czas powtarzał raz po raz kilka słów, f] przerywanych niekiedy jękiem.

Jednym z tych słów było imię Ariocha, opiekuńczego demona przodków Elryka. Jednego z najpotężniejszych Książąt Piekieł, nazywanego Rycerzem Mieczy, Panem Siedmiu Zmierzchów, Władcą Wyższego Piekieł i wieloma innymi imio-

nami.

— Ariochu!

To właśnie jego wołał Yyrkoon, prosząc tego Władcę Chaosu, by obłożył klątwą Elryka. To Ariocha pragnął przywołać, by przy jego pomocy zdobyć Rubinowy Tron. To Arioch znany był jako Strażnik Dwóch Czarnych Mieczów, którymi niegdyś władali cesarze Melniboné; mieczy wykutych w niezwykłym warsztacie, mieczy o bezgranicznej mocy.

— Ariochu! Wzywam cię!

Elryk śpiewał runy, rytmiczne i urywane zarazem. Jego umysł osiągnął już płaszczyznę, na której przebywał Arioch. Teraz szukał samego Ariocha.

— Ariochu! To ja, Elryk z Melniboné, wzywam cię!

Dostrzegł spoglądające na niego oko. Unosiło się swobodnie w powietrzu; po chwili dołączyło do niego drugie. Teraz przyglądało mu się dwoje oczu.

— Ariochu, Władco Chaosu! Pomóż mi! Oczy zamrugały i zniknęły.

— O Ariochu! Przybądź do mnie! Przybądź! Pomóż mi, a będę ci służył!

Powoli zaczęła formować się przed nim sylwetka o niesamowitych kształtach. Czarna, pozbawiona twarzy głowa zwróciła się w stronę Elryka. Tuż za nią lśniła aureola czerwonego światła. Potem i to zniknęło.

Zupełnie wyczerpany Elryk pozwolił, by wizja zbladła. Jego umysł cofał się teraz szybko z płaszczyzny na płaszczyznę. Jego usta nie śpiewały już dłużej runów i imion. Leżał na podłodze komnaty w całkowitej ciszy. Był tak osłabiony, że nie mógł się poruszyć. Miał wrażenie, jakby dopiero teraz odzyskał przytomność.

Nagle dobiegł go jakiś nikły dźwięk. Uniósł zmęczoną głowę, choć ten ruch sprawił mu ból. Do komnaty wpadła mucha. Bzyczała kapryśnie, polatując niemal dokładnie po liniach runów wymalowanych niedawno przez Elryka. Przysiadła najpierw na jednym, potem na drugim znaku. „Musiała wlecieć przez okno” — pomyślał Elryk. Gniewało go to, bo przeszkadzało mu w koncentracji, zarazem jednak owad nieodparcie przyciągał jego uwagę.

Mucha przysiadła na czole Elryka. Była duża, czarna; bzyczała wręcz nieprzyzwyczajenie głośno. Raz i drugi potarła nogą o nogę, po czym rozpoczęła wędrówkę po jego twarzy, jakby znajdowała w tym szczególne upodobanie.

Elryk drgnął, ale zabrakło mu sił, by ją odgonić. Obserwował, jak przelatywała przed jego oczyma. Gdy zniknęła z pola jego widzenia, czuł jak jej łapki badają każdy milimetr jego twarzy.

Nagle poderwała się i wciąż głośno bzycząc, zawisła tuż przed jego nosem. Mógł teraz przyjrzeć się dokładnie oczom owada. Dostrzegł w nich coś znajomego. Były podobne a zarazem niepodobne do oczu, które widział na tamtej płaszczyźnie. Zaczął pojmować, że ta mucha nie jest zwyczajnym stworzeniem. W jej kształtach było coś nieledwie ludzkiego.

Mucha uśmiechnęła się do niego.

Elryk poruszył spieczonymi wargami i z zachrypniętego gardła dobył tylko jedno słowo:

— Ariocho?

W miejscu, gdzie przed chwilą wisiła mucha, stał teraz urodziwy młodzieniec. Spowijający go płaszcz zdawał się być utkany z przejrzystych klejnotów. Nie oślepił jednak Elryka, bowiem jego blask był w jakiś sposób przytłumiony. Młodzieniec miał u pasa wąski miecz, a na głowie diadem z czerwonych płomieni zamiast hełmu. Jego oczy były mądre i bardzo stare, i gdy patrzyły tak uporczywie, można było dojrzeć w nich odwieczne, pewne siebie zło.

— Elryku!

To było wszystko, co powiedział, ale już to jedno słowo przywróciło albinosowi siły. Dźwignął się na kolana.

— Elryku!

Teraz Elryk mógł już wstać. Odzyskał pełnię sił.

Młodzieniec był od niego wyższy. Spoglądał z góry na cesarza Melniboné i uśmiechał się. Przedtem tak samo uśmiechała się mucha.

— Tylko ty jesteś zdolny służyć Ariochowi. Dawno już nie zapraszano mnie na tę płaszczyznę. Ponieważ jednak teraz tu jestem, pomogę ci. Zostanę twoim opiekunem. Będę cię chronił, dam ci siłę i źródło tej siły. Ale panem będę ja, ty zaś niewolnikiem.

— Jak mam ci służyć, książę Ariochu? — zapytał Elryk, czyniąc ogromny wysiłek, by opanować uczucie strachu, jakim napawały go słowa Ariocha.

— Będziesz mi służył, służąc na razie sobie. Przyjdzie czas, a ja wezwę cię, byś robił to dla mnie w inny sposób. Teraz nie żądam wiele. Musisz tylko przysiąc, że będziesz mi służył.

Elryk zawahał się.

— Musisz przysiąc — rzekł Ariocho — w przeciwnym bowiem razie nie będę mógł ci pomóc w poszukiwaniach twojego kuzyna Yyrkoona i jego siostry Cy-moril.

— Przysięgam ci służyć — powiedział Elryk. Ogarnęło go uniesienie. Zadrzał z radości i upadł na kolana.

— A zatem wiedz, że wolno ci niekiedy wzywać mnie na pomoc. Jeśli rzeczywiście będę ci potrzebny, przybędę. Zjawię się w takiej postaci, która będzie w danej sytuacji najodpowiedniejsza, albo też, jeśli okoliczności będą tego wymagały, nie przybiorę żadnej formy. Teraz, zanim odejdę, możesz mi zadać jedno pytanie.

— Potrzebuję odpowiedzi na dwa pytania.

— Nie mogę odpowiedzieć na twoje pierwsze pytanie. Nie odpowiem. Musisz pamiętać, że przysiągłeś mi służyć. Nie powiem ci, co przyniesie przyszłość. Jeśli będziesz służył mi wiernie, nie musisz jednak się jej bać.

— A zatem moje drugie pytanie brzmi: gdzie jest Yyrkoon?

— Książę Yyrkoon jest na południu, w kraju barbarzyńców. Posługując się magią, dysponując lepszą bronią i korzystając z pomocy szpiegów, zdołał podbić dwa mało znaczące państwa. Jedno z nich nazywa się Oin, a drugie Yu. Teraz ćwiczy ich mieszkańców, by wykorzystać ich potem w marszu na Melniboné. Wie, że szukają go twoi ludzie.

— Jakim sposobem zdołał się ukryć?

— Nie ukrywał się. Zdobył jednak władzę nad Zwierciadłem Pamięci. Za pomocą swoich czarów znalazł miejsce, gdzie było ukryte. Odbiera ono pamięć wszystkim, którzy w nie zajrzą; przechowuje w sobie miliony tych pamięci. W ten sposób każdy, kto odważy się iść do Oin i Yu, czy też popłynie morzem do ich stolicy, natyka się na lustro i zapomina, że widział tam księcia Yyrkoona i jego Imrriariańczyków. To najlepszy sposób, by pozostać w ukryciu.

— Tak. — Elryk ściągnął brwi. — A zatem należy rozważyć, czy nie byłoby rozsądną rzeczą zniszczyć zwierciadło. Ale co stanie się potem?

Arioch uniósł swą piękną dłoń.

— Odpowiedziałem na dalsze pytania, bo stanowiły część pierwszego, choć ktoś mógłby się z tym nie zgodzić. Nie odpowiem już jednak na żadne inne. W twoim interesie byłoby zniszczenie zwierciadła, ale może lepiej poszukać innych sposobów przezwyciężenia jego mocy. Przypominam ci, że zawiera wiele pamięci, a niektóre z nich są uwięzione w nim od tysięcy lat. Muszę teraz odejść. Ty także musisz iść — do krain Oin i Yu, które leżą kilka miesięcy drogi stąd, za Lormyrem. Najlepiej dotrzeć tam Okretem, Który Żegluję Ponad Lądem i Morzem. Żegnaj, Elryku.

Mucha bzycała jeszcze chwilę pod sufitem, po czym zniknęła.

Elryk wybiegł z komnaty, przywołując niewolników.

Rozdział 5

OKRĘT. KTÓRY ŻEGLUJE PONAD ŁĄDEM I MORZEM

Ile smoków śpi jeszcze w jaskiniach? — Elryk przemierzał miarowym krokiem galerię wznoszącą się nad ulicami miasta.

Był ranek, lecz ani jeden promień słońca nie przenikał przez posępne chmury, wiszące nisko nad wieżami Śniącego Miasta. W dole, na ulicach Imrryru, życie toczyło się jak dawniej, może tylko mniej niż zwykle było tu żołnierzy. Wielu z nich nie powróciło jeszcze i z pewnością przez wiele najbliższych miesięcy nie wróci z bezowocnych poszukiwań.

Dyvim Tvar, oparty o balustradę galerii, spoglądał pustym wzrokiem na ulice. Na jego twarzy znać było zmęczenie. Ręce splótł na piersiach, jakby w ten sposób chciał zatrzymać resztki sił, jakie mu jeszcze zostały.

— Może dwa. Trzeba niemało trudu, by je zbudzić, a wątpię, czy i wtedy byłyby nam przydatne. Co to za okręt, o którym mówił Arioch?

— Czytałem o nim kiedyś w Srebrnej Księdze Magii i w innych dziełach. To statek magiczny. Jeden z melnibonéańskich bohaterów używał go, zanim jeszcze powstało Melniboné i cesarstwo. Ale gdzie jest teraz i czy w ogóle istnieje — tego nie wiem.

— A kto mógłby wiedzieć? — Dyvim Tvar wyprostował się i odwrócił do Elryka.

— Może Arioch? — Elryk wzruszył ramionami. — Ale on nie powie mi tego.

— A co z przyjaznymi ci Wodnymi Żywiółami? Czyż nie przyrzekły ci pomocy? One powinny wiedzieć wszystko o okrętach.

Elryk zmarszczył brwi. Bruzdy, jakie znaczyły teraz jego twarz, stały się nagle wyraźniejsze.

— Tak... Straasha mógłby coś wiedzieć. Nie chciałbym jednak wzywać go ponownie. Żywioly Wody nie są tak potężnymi istotami jak Władcy Chaosu. Ich moc jest ograniczona, a poza tym bywają kapryśne — jak żywioly. A poza tym

zastanawiam się, czy wolno mi posługiwać się magią, jeśli nie jest to absolutnie konieczne.

— Jesteś czarnoksiężnikiem, Elryku. Dopiero co dowiodłeś swej wielkości, przywołując Władcę Chaosu, a wciąż się wahasz. Radziłbym ci to przemyśleć, panie. Zdecydowałeś się posłużyć magią w pościgu za Yyrkoonem. Nie ma już odwrotu. Powinieneś wykorzystać swą moc i teraz.

— Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak ogromnego wysiłku to wymaga.

— Potrafię sobie wyobrazić, panie. Jestem twoim przyjacielem. Nie chcę, byś cierpiał, a jednak. . .

— Zapominasz o mojej słabości, Dyvim Tvar — zwrócił mu uwagę Elryk. — Jak długo jeszcze będę mógł przyjmować tak potężne dawki narkotyków? Dodają mi sił, to prawda, ale jednocześnie wyczerpują te niewielkie zasoby energii, które posiadam. Umrę, zanim odnajdę Cymoril.

— Zasłużyłem na to upomnienie.

Elryk zbliżył się i położył swą białą dłoń na kremowym płaszczu Dyvima Tvara.

— Cóż jednak mam do stracenia? Nic. Masz słuszość. Jestem tchórzem, że się waham, gdy idzie o życie Cymoril. Powtarzam te bzdury, a przecież to one właśnie sprowadziły nieszczęście na nas wszystkich. Uczynię to. Czy pojedziesz ze mną nad ocean?

— Tak.

Dyvim Tvar po raz pierwszy pojął, jaka odpowiedzialność spoczywa na Elryku. Dla Melnibonéanina było to szczególne uczucie. Wcale mu się nie podobało.

Kiedy po raz ostatni tędy przejeżdżał, on i Cymoril byli szczęśliwi. Od tego czasu minęły chyba wieki. Był głupcem, że wierzył w to szczęście

Zwrócił swego białego rumaka ku skałom, za którymi szumiało morze. Padał drobny deszcz. Zima nadciągała szybko nad Melniboné.

Zostawili konie na skałach, by nie zaszkoziły im czary Elryka i zeszli na brzeg. Deszcz zaciął o powierzchnię morza. Nad wodą, nieco dalej niż o pięć długości okrętu od brzegu, wisiała mgła. Wokół panowała cisza. Wszystko to — cisza, ciemne skały, które wznosiły się za nimi i ściana unoszącej się nad morzem mgły — wywoływało u Dyvima Tvara dziwne uczucie. Wydawało mu się, że znaleźli się w zaświatach, gdzie napotkają ponure dusze tych wszystkich, którzy wedle legendy zadali sobie śmierć przez powolne samookaleczenie.

Odgłos kroków obu mężczyzn, zrazu głośny, szybko został stłumiony przez mgłę, która zdawała się wsysać dźwięk i pochłaniać go tak chciwie, jakby się nim żywiła.

— Teraz — mruknął Elryk. Sprawiał wrażenie, jakby nie dostrzegał ponurego, przynębiającego otoczenia. — Teraz muszę przypomnieć sobie zaklęcie, które

kilka miesięcy temu zjawilo się, nie przywoływane, w moich myślach.

Zostawił Dyvima Tvara na uboczu i szedł niżej, aż do miejsca, gdzie chłodne fale obmywały brzeg. Tam usiadł ostrożnie, krzyżując nogi, i utkwiał niewidzące spojrzenie we mgle nad wodą.

Dyvimowi Tvarowi wydało się, że wysoki albinos zmalął gwałtownie, gdy usiadł na piasku. Wyglądał teraz jak delikatne, słabe dziecko i Tvar współczuł mu jak dzielnemu, niespokojnemu chłopcu. Chciał podejść do Elryka i powiedzieć mu, by dał spokój magii i poszukał ziem Oin i Yu zwyczajnym sposobem.

Ale Elryk unosił właśnie głowę, tak jak wilk podnosi łeb do księżyca. Z jego ust zaczęły padać dziwne, budzące grozę słowa i Pan Smoczych Jaskiń zrozumiał, że nawet gdyby zaczął teraz mówić, Elryk nie usłyszałby go.

Szlachetna Mowa nie była obca Dyvimowi Tvarowi — uczono go tego języka jak każdego melnibonéańskiego pana — ale te słowa brzmiały dziwnie w jego uszach. Elryk szczególnie modulował głos i rozkładał akcenty. Nadawał słowom specjalną, sekretną wagę i recytował je śpiewnym głosem, sięgającym od basowych pomruków do wysokiego, przenikliwego krzyku. Wysłuchiwanie takich dźwięków, dobywających się z gardła śmiertelnika, było przykre i Dyvim Tvar zaczynał rozumieć, dlaczego Elryk niechętnie posługiwał się magią. Pan Smoczych Jaskiń, choć Melnibonéanin, chciał odsunąć się o krok czy dwa, a nawet wycofać na wierzchołek skały i stamtąd obserwować Elryka. Zmusił się jednak do pozostania na miejscu, gdy tymczasem przywoływanie trwało dalej.

Śpiewna recytacja runów przedłużała się. Mokre kamyki nad brzegiem morza połyskiwały, splukiwane coraz gęściejszym deszczem. Strugi wody uderzały wściekle o powierzchnię spokojnego, posępnego morza, smagały delikatną głowę śpiewającego białowłosego młodzieńca. Dyvim Tvar drżał i coraz mocniej owijał się płaszczem.

— Straasha... Straasha... Straasha...

Słowa mieszały się z odgłosem padającego deszczu. Nie były to już właściwie słowa; zmienione w odgłos szumiącego wiatru, były jak język, którym mówiło morze.

— Straasha...

I znów Dyvim Tvar poruszył się niespokojnie. Znów zapragnął podejść do Elryka i powiedzieć mu, by rozważył inne sposoby dotarcia do krain Oin i Yu.

— Straasha! Straasha...

Ileż tajnego cierpienia kryło się w tym krzyku.

Dyvim Tvar chciał zawołać imię Elryka, ale nie mógł poruszać wargami.

Siedzący z podkurczonymi nogami młodzieniec kołysał się wolno. To jedno słowo było jak wołanie wiatru w Jaskiniach Czasu.

— Straasha...

Dyvim Tvar zrozumiał, że runy z jakiegoś powodu nie działają; Elryk poświęcał na nie wszystkie swoje siły bez widocznego efektu. On sam nadal nie mógł niczego zrobić. Nie mógł wypowiedzieć ani jednego słowa. Nie mógł się poruszyć. Jego stopy wrosły w ziemię. Spojrzał na mgłę. Czy wydawało mu się, czy rzeczywiście podpełzła bliżej do brzegu i przybrała jakiś dziwny świetlisty, zielony odcień? Przyjrzał się jej uważnie.

Woda wzburzyła się silnie, morze wdarło się na plażę. Zagrzechotały kamyki. Mgła cofnęła się, w powietrzu rozbłysły niewyraźne światełka. Dyvim Tvar ujrzał świecące zarysy ogromnej postaci, wyłaniającej się z morza. Zdał sobie sprawę, że nie słyszy już śpiewu Elryka.

— Królu Straasha — Elryk mówił głosem, który odzyskał już częściowo dawne brzmienie. — Przyszędłeś. Dziękuję ci.

Postać przemówiła, a jej głos przypominał Dyvimowi Tvarowi ogromne, ciężkie fale, przetaczające się leniwie pod przyjaznym słońcem.

— Żywioty są zaniepokojone, Elryku. Rozeszły się pogłoski, że sprowadziłeś znów na swoją płaszczyznę Władców Chaosu, a Żywioty nigdy nie darzyły ich sympatią. Wiem jednak, że skoro to uczyniłeś, postąpiłeś tak z woli przeznaczenia i dlatego nie żywimy do ciebie urazy.

— Byłem do tego zmuszony, królu Straasha. Nie mogłem podjąć innej decyzji. Jeżeli więc nie będziesz chciał mi pomóc, zrozumieć to i nie wezwę cię więcej.

— Pomogę ci, choć teraz będzie to trudniejsze. I nie z uwagi na to, co stanie się w najbliższym czasie, ale ze względu na skutki tego działania w przyszłości. Musisz szybko powiedzieć mi, jak możemy pomóc ci my — Wodne Żywioty.

— Czy wiesz coś o Okręcie, Który Żegluje Ponad Lądem i Morzem? Muszę znaleźć ten statek, jeśli mam wypełnić to, co ślubowałem, i odszukać moją ukochaną Cymoril.

— Wiem o nim bardzo wiele, bo to mój okręt. Grome także rości sobie do niego prawo. Ale okręt należy do mnie. Uczciwie ci mówię, on jest mój.

— Grome, Władca Ziemi?

— Grome z Krainy Pod Korzeniami. Grome, Władca Powierzchni Ziemi i wszystkiego, co pod nią żyje. Mój brat. Dawno temu, nawet jeśli liczyć wedle naszej rachuby czasu, Grome i ja zbudowaliśmy ten statek, by móc podróżować nim między królestwami Ziemi i Wody, ilekroć tego pragnęliśmy. Pokłóciliśmy się jednak — obyśmy byli przeklęci za taką głupotę! Długo walczyliśmy. Nastąpiły trzęsienia ziemi i powodzie, wybuchały wulkany i szalały tajfuny. Toczyliśmy bitwy, w których brały udział wszystkie żywioty. W wyniku naszych starć wyrzwały się z morza nowe kontynenty, a stare pogrążały się w falach. Walczyliśmy ze sobą nie po raz pierwszy, ale ten raz był na pewno ostatnim. W końcu zawarliśmy pokój, by nie unicestwić się nawzajem. Oddałem Grome'owi część mego i królestwa, a on dał mi Okręt, Który Żegluje Ponad Lądem i Morzem. Uczynił to jednak niezbyt chętnie i dlatego porusza się on lepiej po morzach niż po lądzie.

Grome płacze jego drogi, kiedy tylko może. Niemniej jednak, jeśli Okręt będzie ci potrzebny — otrzymasz go.

— Dziękuję ci, królu Straasha. Gdzie go znajdę?

— Przybędzie do ciebie sam. Muszę już odejść. Jestem coraz słabszy, bo im bardziej oddalam się od mego' królestwa, tym trudniej jest mi utrzymać tę postać. Żegnaj, Elryku, i bądź ostrożny. Nie zdajesz sobie sprawy, jak wielką rozporządzasz potęgą. Wielu wykorzystałoby ją dla swoich celów.

— Czy powinienem czekać tu na Okręt, Który Żegluję Ponad Lądem i Morzem?

— Nie... — głos Władcy Morza cichł wraz z tym, jak bladła jego postać. Szara mgła cofnęła się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą w kręgu zielonego światła stał Straasha. Morze znów było spokojne. — Czekaj. Czekaj w swej Wieży. Okręt przybędzie...

Fale uderzały o brzeg i wydawało się, że Króla Wodnych Żywiołów nigdy tu nie było. Dyvim Tvar przetarł oczy. Powoli podszedł do miejsca, gdzie Elryk wciąż siedział nieruchomo. Pochylił się nad nim łagodnie i wyciągnął do niego rękę. Młodzieniec spojrział na niego ze zdumieniem.

— Ach, Dyvim Tvar... Ile czasu minęło?

— Kilka godzin, Elryku. Nadciąga już zmierzch, wkrótce zapadnie noc. Lepiej wracajmy do Imrryru.

Z pomocą Dyvima Tvara Elryk podniósł się sztywno na nogi.

— Tak... — szepnął nieprzytomnym głosem. — Król Morza powiedział...

— Słyszałem, co mówił Straasha, Elryku. Wiem, co radził i przed czym ostrzegał. Musisz o wszystkim pamiętać. Nie podoba mi się to, co usłyszałem o owej magicznej łodzi. Jak większość rzeczy biorących swój początek w magii, zdaje się mieć tak zalety, jak i wady. Jest jak nóż o podwójnym ostrzu, który unosisz, by ugodzić nim swego wroga i który zamiast tego godzi w ciebie.

— Tego trzeba się spodziewać, gdy w grę wchodzi magia. To ty mnie do niej namawiałeś, przyjacielu.

— Tak — przyznał Dyvim Tvar, wspinając się skalistą ścieżką w stronę miejsca, gdzie stały konie. — Tak. Pamiętam o tym, królu.

Elryk uśmiechnął się blade i dotknął ramienia Dyvima Tvara.

— Nie martw się. Skończyło się przyzywanie i mamy okręt, który doprowadzi nas szybko do krain Oin i Yu, gdzie znajdziemy księcia Yyrkoono. A tego właśnie nam potrzeba.

— Miejmy nadzieję. — Dyvim Tvar z nieufnością odnosił się do dobrodziejstw, jakie miał im ofiarować Okręt, Który Żegluję Ponad Lądem i Morzem.

Zbliżyli się do koni.

— Żałuję, że dopuściliśmy znów, by smoki weszły do bezowocnych poszukiwań — powiedział, ocierając wodę z boków swego deresza. — Ze szwadronem moich zwierząt moglibyśmy wiele zdziałać przeciwko Yyrkoonowi. To byłoby

wspaniałe i porywające, przyjacielu, znów przemierzać niebo ramię w ramię jak niegdyś.

— Zrobimy to, gdy wykonamy swoje zadanie i sprowadzimy księżniczkę Cymoril do domu — rzekł Elryk, wspinając się z wysiłkiem na grzbiet swego białego rumaka. — Zadmiesz w Smoczy Róg, a nasi bracia smoki postyszą jego dźwięk. Zaśpiewamy „Pieśń Władców Smoków” i nasze ościenie zabłyszczą, gdy dosiędziemy Płomiennego Kła i jego przyjaciółki. Och, będzie tak jak w czasach dawnego Melniboné! Nie będziemy już dłużej zrównywać wolności siłą, lecz pozwolimy Młodym Królestwom iść ich własną drogą, a one pozwolą nam żyć po swojemu.

Dyvim Tvar ściągnął wodze konia. Zasepił się.

— Módlmy się, by taki dzień nadszedł, panie. Nie mogę jednak pozbyć się natrętnej myśli, że chwile Imrryru są policzone, a moje życie zbliża się ku końcowi.

— Nonsens, Dyvim Tvar. Przeżyjesz mnie. Choć jesteś starszy ode mnie, nie ma co do tego wątpliwości.

Nad wyspą zapadł już zmierzch, gdy wracali galopem do Imrryru. Po chwili milczenia Dyvim Tvar odezwał się znowu:

— Czy wiesz, Elryku, że mam dwóch synów?

— Nigdy o nich nie wspomniałeś.

— Ich matkami są moje dawne nałożnice.

— Cieszę się ze względu na ciebie.

— Są wspaniałymi Melnibonéanami.

— Dlaczego o tym mówisz, Dyvim Tvar? — Elryk J odwrócił się w siodle, próbując wyczytać coś z twarzy przyjaciela.

— Ponieważ ich kochani i chciałbym, by zaznali wszelkich radości, jakie może im dać Smocza Wyspa.

— A dlaczego miałby ich nie zaznać?

— Nie wiem. — Dyvim Tvar popatrzył ciężko na Elryka. — Sądzę, że los moich synów spoczywa w twoich rękach.

— W moich rękach?

— O ile dobrze zrozumiałem słowa Straashy, twoje działania zadecydują o losie Smoczej Wyspy. Proszę cię, byś pamiętał o moich synach, Elryku.

— Nie zapomnę o nich, Dyvim Tvar. Jestem pewien, że wyrosną na znakomitych Mistrzów Smoków i że jeden z nich zastąpi cię jako Pan Smoczych Jaskiń.

— Boję się, że mnie nie rozumiałeś, cesarzu.

Elryk popatrzył poważnie na przyjaciela i potrząsnął głową.

— Zrozumiałem cię dobrze, stary przyjacielu. Myślę jednak, że sądzisz mnie zbyt surowo, jeśli obawiasz się, że stanowią groźbę dla Melniboné i tego, co ono reprezentuje.

— Wybacz mi. — Dyvim Tvar pochylił głowę, ale jego oczy nie utraciły po-

nurego wyrazu.

W Imrryrze przebrali się, potem wypili grzane wino i posilili się pikantnymi potrawami. Mimo zmęczenia Elryk był w lepszym nastroju niż w ciągu ostatnich miesięcy. Jednak wciąż widać było w jego zachowaniu coś, co kazało podejrzewać, że zmusza się do radosnego tonu i energicznych, pełnych życia gestów.

Widoki na przyszłość bezsprzecznie się poprawiły. Elryk wkrótce zmierzy się z Yyrkoonem — myślał Dyvim Tvar. Ale przyszłość kryła w sobie nieznane niebezpieczeństwa i groźne pułapki. Dyvim Tvar współczuł Elrykowi i nie chciał psuć mu dobrego nastroju. Długo rozmawiali o ekwipunku, jaki trzeba zabrać na wyprawę do tajemniczych krain Oin i Yu; snuli domysły, jak duży jest Okręt, Który Żegluję Ponad Lądem i Morzem, ilu ludzi zabierze, jakie zapasy powinni załadować na pokład. Omawiali jeszcze mnę, równie ważne sprawy.

Udając się na spoczynek, Elryk nie przejawiał już tego znużenia, jakie zawsze towarzyszyło jego krokom. Dyvim Tvar, który życzył mu dobrej nocy, doznał tego samego uczucia, jakie ogarnęło go na plaży, gdy obserwował Elryka rozpoczynającego zawołanie psalmów. Być może nie bez przyczyny powiedział mu o swoich synach. Coś go bowiem ostrzegało, że Elryk przypomina chłopca oczekującego na zabawę, która mogła nie przynieść mu spodziewanej radości.

Dyvim Tvar szedł do swoich komnat, usiłując pozbyć się tych myśli. Elryk mógł winić się za wszystko, co stało się z Yyrkoonem i Cymoril, ale Dyvim Tvar zastanawiał się, czy on także nie ma w tym swego udziału. Może należało z większą siłą i przekonaniem starać się o zdobycie wpływu na młodego cesarza. Zaraz jednak w typowy dla Melnibonéanina sposób uznał owe wątpliwości i pytania za bezsensowne. W tym kraju naczelnym prawem było poszukiwanie przyjemności wszędzie, gdzie to możliwe. Ale czy zawsze Melnibonéanie postępowali w ten sposób? Dyvim Tvar pomyślał nagle, że słaba krew Elryka mogła być raczej wynikiem powolnego chylenia się ku upadkowi Melniboné, niż rzeczywistej słabości albinosa. Czy cesarz był kolejnym wcieleniem któregoś z ich najodleglejszych przodków? Czy egoizm i dążenie do samozadowolenia zawsze leżały w charakterze Melnibonéan?

I znów odpędził od siebie te pytania. Jakiż pożytek płynie z takich pytań? Świat zawsze był światem, człowiek zawsze był człowiekiem.

Przed udaniem się na spoczynek poszedł jeszcze odwiedzić obie swe dawne nałożnice. Obudził je nalegając, by pokazano mu synów — Dyvima Slorma i Dyvima Mava. Gdy przyprowadzono zaspanych, z klejącymi się oczami chłopców, przyglądał się im długo, nim odesłał ich z powrotem. Nie odezwał się do nich jednym słowem, tylko ze zmarszczonymi brwiami pocierał twarz i potrząsał głową. Kiedy odeszli, zwrócił się do swych nałożnic — Niopal i Saramal, równie zaintrygowanych jak ich dzieci:

— Niechaj odejdą jutro do Smoczyc Jaskiń i rozpoczną naukę.
— Tak wcześniej, Dyvim Tvar? — zapytała Niopal.
— Tak. Obawiam się, że zostało już niewiele czasu. Nie chciał powiedzieć nic więcej, bo też i nie mógł. Było to jedynie przeczucie. Ale owo przeczucie powoli stawało się jego obsesją.

Rankiem Dyvim Tvar powrócił do wieży Elryka. Cesarz szybkim krokiem przemierzał galerię, pytając niecierpliwie, czy nie widziano u brzegów wyspy jakiegoś okrętu. Nikt jednak nic nie widział. Służący odpowiadali gorliwie, że gdyby cesarz mógł im opisać ten statek, lepiej wiedzieliby, czego mają wypatrywać. Elryk nie umiał tego zrobić. Dał im tylko wskazówkę, by zwracali uwagę zarówno na morze, jak i na ląd. Jego purpurowe oczy błyszczały podnieceniem, mowa była szybka, a białe ręce poruszały się z nienaturalną szybkością przy najlżejszym nawet geście. Dyvim Tvar zrozumiał, że Elryk jest pod działaniem większej niż zwykle dawki narkotyków, wzmacniających jego krew.

— Czy czujesz się dobrze, panie? — zapytał Mistrz Smoków.

— Dziękuję, Dyvim Tvar, jestem we wspaniałym nastroju. — Elryk uśmiechnął się szeroko. — Czułbym się jednak o wiele lepiej, gdyby Okręt, Który Żegluję Ponad Lądem i Morzem był już tutaj.

Podszedł do balustrady i opierając się o nią, spoglądał bacznie ponad wieżami i murami najpierw na morze, potem na ląd.

— Gdzie on może być? Wolałbym, aby król Straasha wypowiedał się dokładniej.

— Zgadza się z tobą, panie. — Dyvim Tvar, który nie jadł śniadania, obsłużył się sam, wybierając potrawy spośród soczystych dań ustawionych na stole. Widać było, że Elryk nie kosztował niczego.

Dyvim Tvar zaczął się zastanawiać, czy wielka ilość narkotyków nie poraziła umysłu jego przyjaciela; być może Elryka ogarnia szaleństwo wywołane pogrążaniem się w skomplikowanych praktykach magicznych, niepokojem o Cymoril i nienawiścią do Yyrkoona.

— Czy nie lepiej byłoby odpocząć i poczekać, aż straż dostrzeże okręt? — zaproponował cicho, ocierając usta.

— Tak, to rozsądne — zgodził się Elryk. — Nie mogę jednak. Chcę już wyruszyć, Dyvim Tvar. Stanąc twarzą w twarz z Yyrkoonem. Zemścić się na nim i połączyć się wreszcie z Cymoril.

— Rozumiem to. A jednak wciąż. . .

Śmiech Elryka był głośny i chrapliwy.

— Niepokoisz się o moje dobre samopoczucie jak Tanglebones. Nie potrzebuję dwóch piastunek, Panie Smoczyc Jaskiń.

Dyvim Tvar uśmiechnął się z wysiłkiem.

— Masz rację. Cóż, modłę się, by ten czarodziejski statek. . . Co to jest? — Wskazał palcem przed siebie. — Coś poruszyło się w tamtym lesie. Zupełnie jakby drzewa pochylały się pod uderzeniami wiatru, a przecież pogoda była bezwietrzna.

Elryk spojrział we wskazanym kierunku.

— Dobrze widzisz. Ciekawe czy. . .

I wówczas zobaczyli, że ziemia w dole zaczyna falować i coś wyłania się z lasu. Migotało z dala bielą, błękitem i czernią. Zbliżało się.

— Żagiel — powiedział Dyvim Tvar. — Sądzę, że to twój okręt, panie.

— Tak — szepnął Elryk, wychylając się z galerii. — Przygotuj się, Dyvim Tvar. Do popołudnia powinniśmy wyruszyć z Imrryru.

Rozdział 6

ŻYCZENIE WŁADCY ZIEMI

Okręt był wysoki, smukły i kruchy. Wspaniale rzeźbiony ornament pokrywał jego burty, maszty i poręcze. Na pierwszy rzut oka widać było, że tej roboty nie potrafiłby wykonać żaden rzemieślnik spośród śmiertelnych. Zbudowany był z drewna, które — choć nie malowane — połyskiwało naturalnym błękitem i czernią, zielenią i trudnym do określenia odcieniem głębokiej czerwieni. Jego olinowanie miało barwę wodorostów, a przez deski wypolerowanego pokładu przechodziły delikatne żyły, jak korzenie drzew. Żagle na trzech zwężających się ku górze masztach były białe i świetliste niczym chmury w pogodny letni dzień. Okręt przedstawiał sobą całe piękno natury. Patrząc nań, każdy niemal musiał czuć zachwyt, jakiego doznawałby przy oglądaniu jakiegoś niezrównanego widoku. Promieniał cały harmonią i Elryk nie mógł marzyć o niczym wspanialszym na wyprawę przeciwko Yyrkoonowi oraz niebezpieczeństwom krain Oin i Yu.

Statek sunął po powierzchni ziemi łagodnie i tak lekko jak po rzece. Ziemia pod kilem unosiła się i opadała, na mgnienie oka zdając się zamieniać w wodę. Płynął dalej i ziemia wracała do swego poprzedniego stanu. Kiedy okręt mijał las w drodze do Imrryru i drzewa pochylały się pod kilem, wyglądało to tak, jakby kołysał je wiatr.

Okręt, Który Żeglował Ponad Lądem i Morzem nie odznaczał się wielkością. Z pewnością był znacznie mniejszy od Melnibonéańskiej barki wojennej i tylko nieco większy od galery z południa. Żaden jednak statek nie dorównywał mu smukłością sylwetki, harmonią linii, wdziękiem i dumą, z jaką się poruszał.

Elryk stał, z rękoma wspartymi na szczupłych biodrach, patrząc na dar króla Straashy. Pomosty były już spuszczone i trwały przygotowania do rejsu. Z bram miasta niewolnicy wynosili zapasy i broń, po czym dźwigali je po trapach na pokład. Tymczasem Dyvim Tvar zwoływał imrryriańskich wojowników, wyznaczał im miejsca na okręcie i obowiązki na czas wyprawy. Żołnierzy nie było wielu. Jedynie połowa garnizonu mogła wyruszyć z Elrykiem; reszta musiała pozostać w Imrryrze, by pod dowództwem admirała Maguma Colima bronić miasta. Nie-

wielkie wprawdzie było prawdopodobieństwo, by po rozgromieniu floty barbarzyńców ktoś odważył się zaatakować Melniboné, ale rozsądek nakazywał stosować wszelkie środki ostrożności; zwłaszcza teraz, gdy księżę Yyrkoon poprzysiął zdobyć Imrryr.

Dyvim Tvar zwołał też ochotników spośród weteranów dawnych wojen i sformował z nich specjalny oddział. Nikt nie rozumiał, dlaczego to robi. Przyglądający się załadunkowi uważali, że wojownicy ci nie przydadzą się na nic w czasie wyprawy. Ponieważ jednak byli równie bezużyteczni, gdyby przyszło bronić miasta, mogli wyruszyć bez szkody dla Imrryru. Ich też pierwszych wprowadzono na pokład. Ostatni wspiął się na statek sam Elryk. W czarnej lśniącej zbroi odwrócił się, pozdrowił dumnym gestem miasto i rozkazał, by wciągnięto trap.

Dyvim Tvar czekał na niego na tylnym pokładzie. Zdjął rękawicę i przesunął gołą ręką po drewnianej poręczy o osobliwej barwie.

— Przeznaczeniem tego okrętu nie jest wojna — powiedział. — Nie chciałbym, by stała mu się krzywda.

— Jak może mu się coś stać? — zapytał spokojnie Elryk, gdy Imrryrianie wspięli się na reje i zaczęli stawiać żagle. — Czyż Straasha pozwoliłby na to? Albo Grome? Nie lękaj się o Okręt, Który Żegluje Ponad Lądem i Morzem, Dyvim Tvar. Troszcz się tylko o swoje bezpieczeństwo i powodzenie naszej wyprawy. A teraz poradzmy się map. Ponieważ Straasha przestrzegał nas przed swoim bratem, proponuję, byśmy płynęli morzem najdalej, jak to możliwe. Powiedzmy do tego miejsca. — Wskazał port na zachodnim wybrzeżu Lormyru. — Tu określimy bliżej nasze położenie i spróbujemy dowiedzieć się czegoś o krainach Oin i Yu, a także kto i w jaki sposób ich broni.

— Niewielu wędrowców odważało się zapuszczać poza Lormyr. Wieść niesie, że za najbardziej wysuniętymi na południe granicami tego kraju znajduje się kraniec świata. — Dyvim Tvar zmarszczył brwi. — Zastanawiam się, czy cała ta misja nie jest przypadkiem pułapką... Pułapką Ariocha. A jeśli jest w zмовie z księciem Yyrkoonem i wplątał nas w wyprawę, która przyniesie nam zgubę?

— Myślałem o tym — odparł Elryk. — Nie mamy jednak wyboru. Musimy zaufać Ariochowi.

— Tak, nie mamy innego wyjścia. — Dyvim Tvar uśmiechnął się drwiąco. — W tej chwili przyszła mi do głowy zupełnie inna myśl. — W jaki sposób porusza się statek? Nie widziałem żadnych kotwic, które moglibyśmy podnieść. Na lądzie zaś, o ile mi wiadomo, nie ma żadnych prądów, które by nas poniosły. Ale spójrz — podniósł dłoń — wiatr dmie w żagle!

I rzeczywiście — żagle załopotały i napięły się, aż zaskrzypiały lekko maszty. Elryk wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

— Może musimy powiedzieć: „Okręcie, jesteście gotowi do drogi” — rzekł.

Sprawiło mu przyjemność zdumienie, jakie odmalowało się na twarzy Dyvima Tvara. Statek ruszył z miejsca, pochylając się gwałtownie na bok. Zaraz

jednak powrócił do poprzedniego położenia i dalej sunął już równo jak po spokojnym morzu. Ujrawszy dokąd zmierzają, Dyvim Tvar odruchowo chwycił się balustrady.

— Płyniemy prosto na mury miasta!

Elryk przeszedł szybko na środek rufy, gdzie znajdowała się dźwignia przy-mocowana poziomo do zapadki, połączonej z trzpieniem obrotowym. Był prawie pewien, że to urządzenie sterownicze. Ujął dźwignię jak wiosło i pchnął ją o jeden, może dwa nacięcia na kole. Okręt zareagował natychmiast i skierował się ku innej części muru. Elryk pociągnął dźwignię z powrotem i statek pochylił się na burtę z lekkim oporem, zawrócił i popłynął ponad wyspą.

Elryk roześmiał się, zachwycony.

— Widzisz, Dyvim Tvar, jakie to proste? Wystarczy pomyśleć!

— Wolałbym jednak, byśmy dosiadali smoków — odparł Dyvim Tvar, wciąż pełen nieufności. — Ostatecznie to tylko zwierzęta i można je zrozumieć, podczas gdy cała ta magia niepokoi mnie.

— Tego nie powinien mówić pan z Melniboné! — zawołał Elryk, przekrzykując świszczący na wantach wiatr, skrzypienie wręg statku i łopot wielkich białych żagli.

— Może i nie — zgodził się Dyvim Tvar. — Może to tłumaczy, dlaczego stoję teraz obok ciebie, panie.

Elryk rzucił przyjacielowi zdziwione spojrzenie, po czym zbiegł na dolny pokład. Chciał znaleźć sternika, którego mógłby nauczyć, jak kierować statkiem.

Okręt mknął ponad skalistymi zboczami i pędził w górę porośniętych jałowcem wzgórz, skracał drogę przez lasy i płynął dostojnie nad trawiastymi równinami. Poruszał się jak nisko lecący sokół, który szukając zdobyczy, trzyma się blisko ziemi, ale posuwa się naprzód z niewiarygodną szybkością, jednym niedostrzegalnym ruchem skrzydła zmieniając kierunek lotu.

Żołnierze z Imrryru tłoczyli się na pokładach, zdumieni lotem ponad ziemią. Trzeba było mocnych szturchańców, aby doprowadzić wielu z nich na wyznaczone im stanowiska na masztach i pokładach. Jedynym, który zdawał się nie dostrzegać w okęcie nic nadzwyczajnego, był żołnierz pełniący funkcję bosmana. Ten mężczyzna o imponującej sylwetce i wzroście olbrzyma zachowywał się tak, jak zwykł zachowywać się na pokładzie złocistej barki wojennej. Wykonywał rzetelnie swe obowiązki i pilnował, by wszystko, co niezbędne dla żeglugi, zrobione było właściwie.

Zupełnie inaczej reagował wybrany przez Elryka sternik. Z otwartych szeroko ze zdumienia oczu wycierał lęk o statek, którym kierował. Najwyraźniej czuł, iż w każdej chwili mogą uderzyć o skałę czy też roztrzaskać okręt w gąszczu potężnych sosen. Choć powietrze było tak ostre, że oddech zamieniał się w parę, wciąż zwilżał językiem wargi i ocierał pot z czoła. Był jednak dobrym sternikiem i stopniowo oswajał się z prowadzeniem statku, choć jego ruchy były z konieczno-

ści szybkie i nerwowe; niewiele miał czasu na podejmowanie decyzji, tak szybko statek niósł się ponad ziemią.

Szalony pęd zapierał dech w piersiach. Mknęli szybciej niż koń, byli szybsi nawet od ukochanych smoków Dyvima Tvara. Ruch sprawiał radość i mówiły o tym twarze wszystkich Imrryrian. Głośny śmiech zachwyconego Elryka rozbrzmiewał po całym statku. Jego radosny nastrój dzieliło wielu z załogi.

— Jeśli Władca Korzeni powstrzyma nasz lot, to boję się nawet myśleć, jak szybko będziemy podróżować, gdy dotrzemy do wody! — zawołał do Dyvima Tvara.

Pan Smoczych Jaskiń powoli odzyskiwał dobry humor. Wiatr rozwiewał długie, piękne włosy wokół jego twarzy, a on uśmiechał się do przyjaciela.

— Tak, wszystkich nas zmiecie z pokładu do morza!

I wówczas, jakby w odpowiedzi na ich słowa, statek zaczął nagle przyśpieszać. Jednocześnie kołysał się mocno na boki, jakby pochwyciły go potężne wiry. Sternik zbladł i naparł na dźwignię, usiłując odzyskać panowanie nad statkiem. Rozległ się krótki, straszliwy krzyk i jeden z żeglarzy runął z najwyższej rei głównego masztu, uderzając ciężko ciałem o pokład. Usłyszeli trzask łamanych kości. Okręt zakołysał się jeszcze raz czy dwa, po czym niepokoje ustały i popłynęli dalej.

Elryk popatrzył na leżącego u jego stóp żeglarza. Radosny nastrój uleciał nagle. Zacisnął dłonie w czarnych rękawicach na poręczy burty. Zwarł mocne zęby, purpurowe oczy rozbłysły ponuro, a wargi wykrzywiły się, jakby drwił sam z siebie.

— Jakim jestem głupcem! Jakim głupcem jestem, że tak prowokuję bogów!

Choć okręt poruszał się prawie tak szybko jak poprzednio, ciągle wydawało się, że coś go powstrzymuje. Zupełnie jakby studzy Grome'a niczym skorupiaki w morzu uczepili się jego dna. Wokół siebie — w powietrzu i w szumie drzew, między którymi przepływali — Elryk wyczuwał coś szczególnego. Czuł coś w falowaniu traw, zarośli i kwiatów. Coś czaiło się w ciężarze skał i w nachyleniu wzgórz. „I wiedział, że czuje obecność Grome'a Władcy Powierzchni Ziemi, Grome'a z Krainy Pod Korzeniami; Grome'a, który pragnął posiadać to, co niegdyś dzielił ze swym bratem, co mieli uczynić symbolem swojej jedności i o co potem walczyli. Gronie pragnął gorąco, by Okręt, Który Żegluguje Ponad Lądem i Morzem wrócił do niego.

I Elryk, spoglądając na przesuwającą się w dole czarną ziemię, poczuł nagle strach.

Rozdział 7

KRÓL GROME

Dotarli wreszcie do morza. Statek zsunął się do wody. Z każdą chwilą nabierał szybkości, aż Melniboné znikło w tyle. Przed nimi ukazały się gęste kłęby pary, jaka zawsze unosiła się nad Wrzącym Morzem i Elryk uznał, że nawet czarodziejskim statkiem niebezpiecznie byłoby zapuszczać się nad te osobliwe wody. Zawrócili więc i skierowali się ku brzegom Lormyru, by zatrzymać się na jego zachodnim wybrzeżu, w porcie Ramasaz. Lormyr było najspokojniejszym państwem wśród Młodych Królestw i Elryk wybrał ten właśnie port, wiedząc, że barbarzyńcy, z którymi niedawno walczył, niemal na pewno nie pochodzili stąd. Tamci przyплыли prawdopodobnie z południowego wschodu, z kraju położonego na krańcach kontynentu za Pikaraydem. Lormyrianie pod rządami swego tłustego, ostrożnego króla Fadana nie ryzykowaliby nigdy udziału w wyprawie, która mogła zakończyć się klęską.

Kiedy wplynęli do Ramasazu, Elryk polecił, by zacumowano okręt i traktowano go tak samo, jak każdy inny. Przyciągał jednak powszechną uwagę swoją urodą, a mieszkańcy portu byli zdumieni, że to Melnibonéanie stanowią jego załogę. Melnibonéanie, jak Młode Królestwa długie i szerokie, nie byli lubiani. Jednakże ponieważ niechęci zawsze towarzyszył strach, Elryk i jego ludzie byli traktowani z respektem. W gospodach, do których wchodzili, obsługiwano ich godziwie, podając najlepsze jedło i wino.

W jednej z największych tawern, noszącej nazwę Daleka Podróż i Bezpieczny Powrót do Domu, Elryk natrafił na gadatliwego gospodarza, który był dawniej rybakiem. Dobrze mu się wówczas powodziło, mógł więc kupić sobie tę gospodę. Znał niezłe najbardziej wysunięte na południe wybrzeże. Z pewnością bywał na ziemiach Oin i Yu, choć nie miał o nich dobrego zdania.

— Zastanawiasz się, panie, czy mogliby zwoływać się na wojnę. — Uniósł brwi, zerkając na Elryka, po czym na dłuższą chwilę ukrył twarz w kubku z winem. Potrząsnął rudą głową, ocierając usta. — Muszą zatem szykować wyprawę przeciw wróblom! Oin i Yu trudno nawet nazwać państwami. Ich jedyne w mia-

rę przyzwoite miasto to Dhoz-Kam. Dziela je między siebie, bo w połowie leży na jednym brzegu granicznej rzeki Ar, w połowie na drugim. Resztę ziem Oin i Yu zamieszkują wieśniacy, równie pozbawieni dobrych manier i zabobonni, jak ubodzy. Nie ma wśród nich materiału na żołnierzy.

— Czy słyszałeś coś o Melnibonéańskim zdrajcy, który zawojował Oin i Yu i zaczął uczyć tych wieśniaków, jak prowadzić wojnę? — Dyvim Tvar oparł się o szynkwas obok Elryka i pociągnął niewielki łyk wina z grubego kubka. — Ma na imię Yyrkoon. Książę Yyrkoon.

— Czy to jego szukacie? — zainteresował się właściciel tawerny. — Sprzeczka między Książętami Smoków, co?

— To nasza sprawa — odparł wyniośle Elryk.

— Oczywiście, panowie.

— Czy wiesz coś o wielkim zwierciadle, które kradnie ludzką pamięć? — zapytał po chwili Dyvim Tvar.

— Magiczne zwierciadło. — Właściciel gospody odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się szczerze. — Wątpię, czy w całym Oin i Yu znalazłoby się jedno porządne lustro! Nie, panowie, myślę, że ktoś wprowadził was w błąd, jeśli obawiacie się, że może wam stamtąd grozić jakieś niebezpieczeństwo.

— Bez wątpienia masz słuszność — powiedział Elryk, patrząc w swój kubek z nietkniętym winem. — Nie zaszkodzi jednak, jeśli sprawdzimy to sami; także dla dobra Lormyru. Ostrzeglibyśmy was, gdybyśmy znaleźli to, czego szukamy.

— Lormyr nie musi się bać. Poradzimy sobie doskonale z każdą nierozważną próbą ataku stamtąd. Gdybyście jednak chcieli zobaczyć te kraje na własne oczy, musicie przez trzy dni płynąć wzdłuż wybrzeża, aż dotrzecie do wielkiej zatoki. Wpada do niej rzeka Ar, a po obu brzegach tej rzeki leży Dhoz-Kam. To podłe miasto, zwłaszcza jak na stolicę dwóch państw. Jej mieszkańcy są sprzedajni, brudni, i toczą ich rozliczne choroby. Na szczęście są też leniwi i nie przysparzają kłopotów, jeśli tylko trzyma się miecz przy sobie. Już po godzinie spędzonej w Dhoz-Kam zrozumiecie, że ci ludzie nie mogą stanowić groźby dla nikogo. O ile nie podejną na tyle blisko, by zarazić was jakąś chorobą! — gospodarz znów roześmiał się głośno ze swego dowcipu. Gdy się uspokoił, dodał: — Może przerazić was jeszcze ich flota. Składa się mniej więcej z tuzina zaniedbanych łodzi rybackich, z których większość jest tak niezdatna do żeglugi, że ci barbarzyńcy odważają się łowić jedynie na płycznach przy ujściu rzeki.

Elryk odstawił kubek.

— Dziękujemy ci, gospodarzu. — Położył na szynkwasie srebrną Melnibonéańską monetę.

— Trudno będzie to rozmienić — zauważył chytrze właściciel gospody.

— Ze względu na nas nie potrzebujesz tego rozmieniac — powiedział Elryk.

— Dziękuję wam, panowie. Czy zechcielibyście spędzić tę noc w mojej gospodzie? Mogę ofiarować wam najwygodniejsze łóżka w Ramasazie.

— Raczej nie — odparł Elryk. — Będziemy spać na pokładzie naszego okrętu, byśmy o świcie byli gotowi do drogi.

Gospodarz patrzył bez słowa za wychodzącymi Melnibonéanami. Z przyzwyczajenia spróbował zgnać monetę w zębach, oceniając jej wartość. Zaraz jednak wyjął ją z ust, wydało mu się bowiem, że poczuł na języku jakiś dziwny smak. Przyglądał się monecie, obracając ją na obie strony. Czy Melnibonéańskie srebro może być trucizną dla zwykłego śmiertelnika? Lepiej nie ryzykować. Wetknął pieniądz do sakiewki i podniósł kubki, które mężczyźni zostawili na szynkwasio. Nie znosił, by cokolwiek marnowało się w gospodzie, ale tym razem uznał, że rozsądniej będzie je wyrzucić.

Okręt, Który Żegluję Ponad Lądem i Morzem dotarł do zatoki w południe następnego dnia i stał teraz przy brzegu, za krótkim przesmykiem, porośniętym gęstą, niemal tropikalną roślinnością, ukryty przed wzrokiem mieszkańców odległego miasta. Elryk i Dyvim Tvar, brodząc w czystej, płytkiej wodzie wyszli na plażę i zanurzyli się w zielony chłód lasu. Postanowili zachować ostrożność i nie ujawniać swej obecności, póki nie zorientują się, ile prawdy o Dhoz-Kam przekazał im w swej opowieści właściciel tawerny.

Na skraju przesmyka wznosiło się wysokie wzgórze, na którym rośło kilka potężnych drzew. Mężczyźni posuwali się mozolnie ku górze, wycinając sobie mieczami ścieżkę wśród zarośli. Wreszcie stanęli pod drzewami i wybór Elryka padł na drzewo, którego pień rósł niemal równolegle do ziemi, by potem znów wzniesć się prosto. Cesarz schował miecz do pochwy, położył ręce na pniu i poczołgał się po nim ku górze, aż dotarł do grubych gałęzi, które mogły już utrzymać ciężar jego ciała. To samo zrobił Dyvim Tvar, a gdy znalazł się na sąsiednim drzewie, obaj mogli bez przeszkód przyjrzeć się zatoce i dobrze widocznemu stąd miastu Dhoz-Kam. Miasto z pewnością zasługiwało na pogardę właściciela gospody. Na obu brzegach rzeki przycupnęły niskie, brudne domostwa, z których wprost kłuła w oczy nędza miasta. Wiedzieli już, dlaczego Yyrkoon je wybrał. Ziemie Oin i Yu łatwo było zdobyć, zwłaszcza jeśli dysponowało się grupą dobrze wyszkolonych Imrrian oraz pomocą czarnoksiężskich sprzymierzeńców Yyrkoona. Poza tym nikt nie zawracałby sobie głowy walką o biedne kraje, które ze względu na swoje położenie geograficzne nie miały też żadnego znaczenia strategicznego. Yyrkoon wybrał dobrze, jeśli chciał, by jego działalność pozostała niezauważona; o ile nie miał w tym jeszcze jakiegoś innego celu. Właściciel tawerny mylił się jednak co do floty Dhoz-Kam. Nawet z tej odległości Elryk i Dyvim Tvar naliczyli w porcie dobre trzydzieści świetnie wyposażonych okrętów wojennych, a wyglądało na to, że jest ich jeszcze więcej, zakotwiczonych w górze rzeki. Nie obudziły w nich wszakże takiego zainteresowania jak obiekt, który błyszczał i migotał nad miastem. Ogromne kolumny podtrzymywały tu oś z osadzonym na niej wielkim,

okrągłym, oprawionym w ramę lustrem. Wystarczyło na nią spojrzeć, by przekonać się, że podobnie jak okręt, który przywiózł tu Melnibonéan, nie jest dziełem śmiertelników. Nie mieli wątpliwości, że spoglądają na Zwierciadło Pamięci. Zrozumieli też, że ktokolwiek wpływał do portu i napotykał podniesione lustro, nie pamiętał potem niczego. Zwierciadło natychmiast kradło mu pamięć.

— Wygląda na to, panie, że głupotą z naszej strony byłoby płynąć prosto do portu w Dhoz-Kam — odezwał się ze swego stanowiska Dyvim Tvar. Gdybyśmy wpłynęli do zatoki, znaleźlibyśmy się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Myślę, że możemy patrzeć na lustro tylko dlatego, że nie jest skierowane wprost na nas. Zwróć jednak uwagę na mechanizm, służący do obracania nim w różnych kierunkach. Ten, kto go używa, może kierować je we wszystkie strony — oprócz jednej. Nie może odwrócić lustra w głąb lądu, poza miasto. Nie ma zresztą takiej potrzeby, bo i któż zbliżyłby się do Oin i Yu od strony tamtych pustkowi? Kto, oprócz mieszkańców obu państw wybrałby tę drogę do ich stolicy?

— Sądzę, że cię rozumiem, Dyvim Tvar. Sugerujesz, że rozsądnie byłoby wykorzystać specjalne właściwości naszego okrętu i...

— ...i podążyć lądem do Dhoz-Kam, uderzając zniemacka i wykorzystując weteranów, których wzięliśmy ze sobą. Możemy poruszać się szybko, ignorując nowych sprzymierzeńców księcia Yyrkoona. Znajdziemy jego samego i wszystkich zdrajców, którzy przy nim zostali. Czy nie moglibyśmy tak właśnie zrobić, Elryku? Uderzyć na miasto, pochwyć Yyrkoona, uratować Cymoril, a potem umknąć stąd tą samą drogą?

— To niebezpieczne, ale skoro mamy zbyt mało ludzi, by podjąć otwarty atak, nic innego nie możemy uczynić. Co prawda tracimy w ten sposób przewagę, jaką daje nam atak przez zaskoczenie. Jeśli nie powiedzie nam się przy pierwszej próbie, o wiele trudniej będzie zaatakować po raz drugi. Istnieje jeszcze inna możliwość. Zakraść się do miasta nocą i spróbować odszukać Yyrkoona i Cymoril. Prawdopodobnie będą sami. Wówczas jednak nie moglibyśmy użyć naszej istotnej broni — Okrętu, Który Żegluje Ponad Lądem i Morzem. Sądzę, że twój plan jest najlepszy, Dyvim Tvar. Skierujmy teraz okręt w głąb lądu i ufajmy, że Grome potrzebuje czasu, by nas odnaleźć. Ciągłe boje się, że naprawę spróbuje odebrać nam okręt. Elryk zaczął zsuwać się po pniu na ziemię.

Gdy wrócili na pokład cudownego statku, Elryk rozkazał sternikowi, by raz jeszcze skierował go na ląd. Żeglarze ustawili połowę żagli i wpłynął majestatycznie na brzeg zatoki. Okryte kwiatami leśne krzewy rozsuwały się przed jego dziobem, gdy sunęli przez zielony mrok dżungli. Spłoszone ptaki krzyczały ostro, a małe zwierzęta stawały w osłupieniu i przyglądały się z drzew Okrętowi, Który Żegluje Ponad Lądem i Morzem. Piękna łódź przemykała cicho ponad poszyciem lasu, skręcając tylko przed najpotężniejszymi drzewami.

W ten sposób podążali w głąb krainy zwanej Oin, leżącej na północ od granicznej rzeki Ar, za którą rozciągał się kraj Yu. Większą część obszaru Oin pokrywała nieprzebyta dżungla i jałowe równiny. Tu właśnie osiedlili się mieszkańcy tego kraju, bali się bowiem lasu i nie weszliby doń pod żadnym pozorem, nawet gdyby skupiało się w nim całe bogactwo Oin.

Płynący szybko okręt minął las i pomknął nad rozległą równiną. Wkrótce zobaczyli przed sobą wielkie, mieniące się w słońcu jezioro. Dyvim Tvar spoglądając na prymitywną mapę, w którą zaopatrzyli się w Ramasazie, zaproponował, by zawrócić na południe i zbliżyć się do Dhoz-Kam, okrążając je szerokim półkolem. Elryk zgodził się i okręt zaczął manewrować.

Ziemia zadrgała znowu. Wysokie fale porośniętego trawą gruntu toczyły się wokół statku, zasłaniając widok. Okręt zapadał i unosił się gwałtownie, zataczał i kołysał z burty na burtę. Jeszcze dwóch Imrryrian spadło z masztów i rozbiło się na pokładzie. Głośny krzyk bosmana dodawał wszystkim otuchy. Wokół panowała dziwna cisza, która czyniła sytuację jeszcze groźniejszą i bardziej niesamowitą.

Naraz bosman wrzasnął na swych ludzi, by przywiązali się mocno, każąc jednocześnie tym, którzy nie mają nic do roboty, zejść na dół.

Elryk owinął wokół poręczy szal, a drugim jego końcem owiązał sobie przegub. Dyvim Tvar użył w tym samym celu długiego pasa. Mimo to zataczali się we wszystkie strony, tracąc pokład pod nogami, gdy statek szarpał i dygotał. Elrykowi wydawało się, że połamie sobie wszystkie kości i na jego ciele nie będzie miejsca bez sińców. Okręt skrzypiał i jęczał; straszna, szaleńcza jazda przez falujący ląd groziła przełamaniem na pół.

— Czy to robota Grome'a, Elryku? — Dyvim Tvar z trudem chwycił powietrze. — A może czary Yyrkoona?

Elryk potrząsnął głową.

— To nie Yyrkoon. To Grome. I nie znam żadnego sposobu, by go ułagodzić. To bardzo trudne w przypadku Grome'a. Spośród wszystkich Władców Żywiółów najmniej potrafi myśleć, choć być może jest zarazem najpotężniejszy.

— Jednakże postępując tak z nami, łamie z pewnością układ, jaki zawarł niegdyś ze swym bratem.

— Nie, nie sądzę. Król Straasha ostrzegał nas, że to może się wydarzyć. Ufajmy tylko, że Grome wyczerpie wszystkie swe siły, a okręt przetrwa, jak przetrwałby zwykły sztorm na morzu.

— To o wiele gorsze niż sztorm, Elryku!

Elryk skinął głową, przyznając mu rację. Nie zdążył jednak odpowiedzieć, gdyż pokład przechylił się gwałtownie i musiał chwycić się mocno obiema rękami poręczy, by utrzymać się na nogach. Panującą wokół ciszę przerwało głośne dudnienie i podobny do śmiechu ryk.

— Królu Grome! — krzyknął Elryk. — Królu Grome! Pozwól nam żyć! Nie czynimy ci żadnej krzywdy!

Śmiech stał się jeszcze głośniejszy; cały statek zadygotał. Ziemia wokół niego uniosła się i opadła; drzewa, wzgórza i skały runęły w jego stronę, po czym odsunęły się, nie wyrządzając mu żadnej szkody. Grome z pewnością chciał odzyskać swój statek nietknięty.

— Grome! Nie masz powodu do zatargu ze śmiertelnikami! — krzyknął znów Elryk. — Pozwól nam żyć! Żądaj od nas przysługi, jeśli musisz, lecz nagródź nas tym samym!

Elryk wykrzykiwał niemal wszystko, co przychodziło mu do głowy. Nie miał wielkich nadziei, że bóg Ziemi go usłyszyci, nie oczekiwał też, by król Grome zechciał go wysłuchać, nawet jeśli usłyszyci go żywioł. Musiał jednak coś zrobić, a nie można było uczynić nic więcej.

— Grome! Grome! Grome! Posłuchaj mnie!

Jedyną odpowiedzią był jeszcze głośniejszy wybuch śmiechu, który poruszał w Elryku każdy nerw. A ziemia unosiła się coraz wyżej i zapadała się coraz głębiej. Okręt kręcił się w kółko i Elryk poczuł, że za chwilę straci przytomność.

— Królu Grome! Królu Grome! Czy chcesz zabić tych, którzy nigdy nie wyrządzili ci krzywdy?! — wykrzyknął rozpaczliwie.

I wtedy kołysanie ziemi ustało, a okręt znieruchomiał. Przed nimi stała ogromna brunatna postać i spoglądała z góry na statek. Olbrzym wyglądał jak rozłożysty stary dąb. Jego włosy i broda miały barwę liści, a oczy kolor żyły złota; zęby przypominały granit, a stopy były niczym korzenie. Jego skóra zdawała się być pokryta zamiast owłosienia drobnymi zielonymi pędami. Król Grome, Władca Żywiołów Ziemi pachniał butwiejącą roślinnością i dobrem.

Wciągnął nosem powietrze, zmarszczył brwi i miękkim, potężnym głosem, w którym wciąż jeszcze pobrzmiwał gniew, powiedział:

— Chcę mego okrętu!

— To nie jest nasz okręt, byśmy mogli ci go oddać, królu Grome — odparł Elryk.

Rozdrażnienie olbrzyma wzrosło.

— Chcę mego okrętu — powtórzył wolno. — Chcę go. Jest mój.

— Czy czerpiesz z niego jakiś pożytek, królu Grome?

— Pożytek? On jest mój, mój.

Grome tupnął i ziemia zakółysała się.

— To okręt twego brata, królu Grome! — krzyknął Elryk z rozpaczą w głosie. — To okręt króla Straashy. Dał ci część swego królestwa, a ty pozwoliłeś mu zatrzymać okręt. Taki był układ.

— Nic nie wiem o żadnym układzie. Okręt jest mój.

— Wiesz dobrze, że jeśli zabierzesz statek, król Straasha będzie musiał odebrać ci ziemię, jaką ci niegdyś ofiarował.

— Chcę mego okrętu! — Olbrzym poruszył się i z jego ciała oderwały się grudy ziemi, padając z głuchym odgłosem na pokład.

— Musisz więc nas zabić, jeśli chcesz go dostać — powiedział Elryk.
— Zabić? Grome nie zabija śmiertelnych. Nie zabija nikogo. Grome buduje. Grome daje życie!
Władca Ziemi ściągnął brwi i z głośnym szumem podrapał się w wielką głowę.
— Grome nie zabija — powtórzył.
— Król Grome zabił — przypomniał mu Elryk. — Zginęło trzech ludzi. Grome chrząknął.
— Ale ja chcę mego okrętu.
— Ten okręt pożyczył nam twój brat. Nie możemy ci go dać. Zresztą płyniemy nim, by osiągnąć pewien cel. Szlachetny cel, jak sądzę. My...
— Nie wiem nic o „celach” i nie obchodzi mnie wasze sprawy. Chcę mego statku. Mój brat nie powinien wam go pożyczać. Już niemal o nim zapomniałem, ale teraz znów pamiętam i chcę go.
— A może przyjmiesz coś w darze w zamian za ten okręt, królu Grome? — spytał nagle Dyvim Tvar.
— Cóż może mi ofiarować śmiertelnik? — Grome potrząsnął olbrzymią głową. — To oni ciągle coś ze mnie biorą. Kradną moje kości, moją krew i moje ciało. Czy możesz zwrócić mi wszystko, co mi zabraliście?
— Czyż nie ma takiej rzeczy, którą byś od nas przyjął? — zapytał Elryk.
Grome przymknął oczy.
— Cenne kruszce, może klejnoty — kusił Dyvim Tvar. — Mamy ich wiele w Melniboné.
— Posiadam ich mnóstwo — odparł król Grome.
Elryk wzruszył ramionami w rozpaczy.
— Jak układać się z bogiem, Dyvim Tvar? — uśmiechnął się gorzko. — Czego może pragnąć Władca Gleby? Więcej słońca, więcej deszczu? Tego dać przecież nie możemy.
— Jestem prostym bogiem, jeśli rzeczywiście nim jestem — powiedział Grome. — Nie zamierzałem jednak zabijać waszych towarzyszy. Już wiem! Dajcie mi ciała zabitych. Zakopcie je w mojej ziemi.
Serce Elryka zabiło nadzieją.
— Tylko tyle od nas żadasz?
— Dla mnie to wiele.
— I pozwolisz nam płynąć dalej?
— Po wodzie, owszem — warknął Grome. — Nie widzę jednak powodu, dlaczego miałbym pozwolić wam płynąć nad ziemią. Zbyt dużo ode mnie wymagacie. Możecie dopłynąć do tamtego jeziora. Od tej wszakże chwili okręt będzie miał tylko te cechy, którymi obdarzył go mój brat Straasha. Nie będzie już poruszał się po moim królestwie.
— Ależ królu Grome, potrzebujemy tego okrętu! Kierują nami ważne powody. Musimy dostać się do tamtego miasta. — Elryk wskazał w stronę Dhoz-Kam.

— Możecie płynąć do jeziora, ale potem okręt będzie się poruszał tylko po wodzie. Teraz dajcie mi to, czego chcę.

Elryk odwrócił się do bosmana, który po raz pierwszy zdawał się być zdumiony tym, co widzi.

— Przynieście z dołu ciała zabitych.

Grome wyciągnął wielką rękę i podniósł z pokładu trzech martwych żeglarzy.

— Dziękuję wam — mruknął. — Żegnajcie.

Powoli jego sylwetka zaczęła znikać. Olbrzymi Władca Żywiołów cał po calu pogrązał się w ziemi i po chwili nie pozostało po nim śladu. Okręt ruszył powoli w stronę jeziora w swój ostatni krótki rejs nad lądem.

— I w ten sposób nasze plany znów zastały pokrzyżowane — rzekł Elryk.

Dyvim Tvar spoglądał z żalem w stronę lśniącego jeziora.

— Tak. Tak wiele w nie włożyliśmy. Waham się proponować ci to, Elryku, ale obawiam się, że musimy znów uciec się do magii, jeśli mamy w ogóle osiągnąć nasz cel.

Elryk westchnął.

— Boję się, że to jedyne nasze wyjście — powiedział.

Rozdział 8

MIASTO I ZWIERCIADŁO

Książę Yyrkoon był zadowolony. Jego plany się powiodły. Ponad wysoką balustradą opasującą płaski dach jego domu spoglądał w stronę portu, na swoją wspaniałą, zdobyczną flotę. Każdy statek, jaki przybywał do Dhoz-Kam, jeśli tylko na jego pokładzie nie powiewała bandera potężnego państwa, był zgarniany bez skrupułów. Wystarczyło, by załoga spojrzała w wielkie zwierciadło, spoczywające na kolumnach ponad miastem. Kolumny zostały wzniesione przez demony, a książę Yyrkoon zapłacił im za pracę duszami tych mieszkańców Oin i Yu, którzy stawiali mu opór. Teraz pozostało mu jeszcze zaspokoić swoje ostatnie pragnienie, a potem on i jego nowi sprzymierzeńcy będą już w drodze do Melniboné.

Odwrócił się i spojrzął na swą siostrę. Cymoril leżała na drewnianej ławie, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w niebo. Była odziana w brudną, postrzępioną suknię — tę samą, którą miała na sobie w dniu, gdy Yyrkoon porwał ją z imrriańskiej wieży.

— Spójrz na naszą flotę, Cymoril — odezwał się Yyrkoon. — Teraz, gdy złociste barki rozproszyły się po moczarach, popłyniemy bez przeszkód do Imrriuru i zajmiemy miasto. Elryk nie może bronić się przed nami. Tak łatwo wpadł w moją pułapkę. To głupiec! I ty byłaś głupia, że go pokochałaś.

Cymoril nie odpowiedziała. Przez wszystkie te miesiące Yyrkoon dodawał narkotyków do jej pożywienia i czuła się po nich tak zmęczona, jak Elryk bez swojej codziennej porcji leków.

Praktyki czarnoksiężskie Yyrkoona zmieniły i jego. Wychudł, a jego oczy przybrały ponury, szalony wyraz. Przestał troszczyć się o swój wygląd. Inaczej było z Cymoril. Choć wycieńczona i zaszczuta, zachowała swą piękność. Zupełnie jakby pożałowania godny stan Dhoz-Kamu zatruł ich oboje w różny sposób.

— Nie lękaj się o swoją przyszłość, sestro — ciągnął Yyrkoon. Zachichotał. — Nic się nie zmieniło! Nadal jesteś cesarzową i zasiądziesz obok cesarza na Rubinowym Tronie. Tylko tym cesarzem będę ja, a Elryk będzie umierał długo, w sposób znacznie bardziej pomysłowy niż ten, który mnie przeznaczył.

Głos Cymoril był niski i obojętny. Nie odwróciła głowy, gdy do niego mówiła.
— Jesteś szalony.

— Szalony? Ejże, siostrze, czy prawdziwy Melnibonéanin powinien używać tego słowa? My, Melnibonéanie, nie oceniamy niczego w kategoriach obłąkania czy zdrowych zmysłów. Człowiek jest taki, jaki jest. Robi to, co robi. Przebywałeś zbyt długo w Młodych Królestwach i zdaje się, że przyjąłeś ich sposób myślenia. Już wkrótce to naprawimy. Powrócimy triumfalnie na Smoczą Wyspę i zapomnisz o wszystkim, jakbyś sama spoglądała w Zwierciadło Pamięci. — Rzucił nerwowe spojrzenie ku górze, jakby obawiał się, że lustro zwrócone jest ku niemu.

Cymoril zamknęła oczy. Jej oddech był ciężki i powolny. Dzielnie znosiła ten koszmar wierząc, że Elryk musi w końcu ją z niego wyzwolić. Nadzieja była wszystkim, co powstrzymywało ją od samobójstwa. Gdyby straciła ją całkowicie — zabiłaby się i w ten sposób uwolniła od Yyrkoona i całej jego grozy.

— Czy mówiłem ci, że ostatniej nocy znów odniosłem sukces? Wywołałem demony, Cymoril. Potężne, mroczne demony. Pobrałem od nich ostatnie nauki i otworzyłem wreszcie Wrota Cienia. Wkrótce je przekroczę i znajdę to, czego szukam. Stanę się najpotężniejszym ze śmiertelnych na Ziemi. Czy mówiłem ci o tym, Cymoril?

Prawdę powiedziawszy, powtarzał to tego ranka kilkakrotnie, ale Cymoril ani przedtem, ani teraz nie zwracała większej uwagi na jego słowa. Czuła się bardzo zmęczona; próbowała zasnąć. Nagle, jakby chcąc sobie samej o czymś przypomnieć, powiedziała wolno:

— Nienawidzę cię, Yyrkoon.

— Och, wkrótce będziesz mnie kochała, Cymoril. Już wkrótce.

— Elryk przybędzie. . .

— Elryk! Ha! Siedzi w swej wieży, kręcąc palcami młynka i czeka na wieści, które nigdy nie nadejdą. Chyba że sam mu je prześlę!

— Elryk przybędzie — powtórzyła.

Yyrkoon zachnął się. Oinińska dziewczyna o tępym wyrazie twarzy przyniosła mu jego poranne wino. Chwycił kubek, opróżnił go, a w chwilę potem wypluł wszystko na drżącą dziewczynę. Zdażyła uchylić głowę. Yyrkoon podniósł dzban i wylał jego zawartość na przysypany białym pyłem dach.

— Oto słaba krew Elryka. W ten właśnie sposób spłynie z jego żył!

Cymoril jednak już nie słuchała. Próbowała przypomnieć sobie ukochanego i tych kilka cudownych dni, jakie spędzili razem, gdy przestali już być dziećmi.

Yyrkoon cisnął pustym dzbanem w głowę dziewczyny, ale ta odsunęła się zręcznie przed ciosem. Odskokczywszy, wymruczała swą zwykłą odpowiedź na wszystkie jego ataki i obelgi.

— Dziękuję ci, Władco Demonów. Dziękuję ci.

Yyrkoon roześmiał się.

— Tak! Władca Demonów. Twój lud słusznie mnie tak nazywa, bowiem panuję nad większą liczbą demonów niż ludzi. Moja potęga rośnie z dnia na dzień!

Oinińska dziewczyna pośpieszyła, by przynieść jeszcze wina. Wiedziała, że jej pan za chwilę go zażąda. Yyrkoon zbliżył się do balustrady po przeciwnej stronie dachu, by raz jeszcze popatrzeć na dowód swej potęgi. Przyglądał się właśnie swoim okrętom, gdy nagle usłyszał dobiegające z drugiego końca miasta odgłosy zamieszania. Czyżby Ynanie i Oinianie walczyli ze sobą? Gdzie są ich imrririańscy setnicy? Gdzie jest kapitan Valharik?

Prawie biegnąc minął śpiącą Cymoril i spojrzał w dół, na ulicę.

— Ogień? — mruknął ze zdziwieniem. — Ogień? Rzeczywiście, ulice stały w płomieniach. Nie był to jednak zwykły pożar. W powietrzu unosiły się kule ognia i podpałyły domy. Kryte sitowiem dachy, drewniane drzwi natychmiast zajmowały się płomieniem. Widok, roztaczający się przed oczami Yyrkoona, przypominał wioskę, puszczaną z dymem przez najeźdźców. Nachmurzył się. Pomyślał, że był nieostrożny i jego własne czary zwróciły się przeciw niemu. Gdy jednak spojrzał uważniej ponad płonącymi dachami na rzekę, ujrzał dziwny okręt, płynący po niej z majestatycznym wdziękiem. Był bardzo piękny i w pewien sposób wydawał się być bardziej dziełem natury niż człowieka. Teraz wiedział już, że zostali zaatakowani. Ale któż chciałby atakować Dhoz-Kam? Nie było tu nadziei na łupy, które wynagrodziłyby taki wysiłek. Nie mogą to być przecież Imrririańskie...

To nie może być Elryk.

— Niemożliwe, żeby to był Elryk! — ryknął. — Zwierciadło! Trzeba je skierować na napastników!

— I na samego siebie, bracie. — Cymoril podniosła się chwiejnie, wsparta o stół. Uśmiechała się. — Byłeś zbyt pewny siebie, Yyrkoonie. To Elryk nadchodzi.

— Elryk! Nonsens! To ledwie kilku nędznych barbarzyńców z głębi kraju. Jak tylko znajdę się w mieście, będziemy mogli użyć przeciw nim Zwierciadła Pamięci. — Podbiegł do klapy, która kryła wejście na schody, wiodące do dolnych pokoi. — Kapitanie Valharik! Valharik, gdzie jesteś?

Valharik pojawił się u stóp schodów. Po twarzy spływały mu strużki potu. W okrytej rękawicą dłoni trzymał obnażony miecz, choć wydawało się, że do tej pory nie brał udziału w walce.

— Przygotuj lustro, Valharik! Skieruj je na napastników!

— Ależ panie, moglibyśmy...

— Pośpiesz się! Rób, co ci każę! Wkrótce dołączymy tych barbarzyńców do naszych sił, ich okręty także.

— Barbarzyńców, panie? Czy barbarzyńcy potrafią rozkazywać żywiołom ognia? Walczymy z jakimiś ognistymi zjawami! Nie można ich zabić, tak jak nie można zabić ognia.

— Ogień można zabić wodą — przypomniał oficerowi Yyrkoon. — Wodą, kapitanie Valharik. Czyżbyś o tym zapomniał?

— Ależ książę Yyrkoonie! Próbowaliśmy ugasić je wodą i woda nie wylewała się z naszych wiader. Napastnikami dowodzi jakiś potężny czarnoksiężnik. Pomagają mu duchy i ognia, i wody!

— Jesteś szalony, kapitanie Valharik — rzekł twardo Yyrkoon. — Przygotuj lustro i nie każ nam wysłuchiwać więcej tych bzdur.

Valharik oblizał suche wargi.

— Tak, panie. — Skłonił głowę i odszedł, by wypełnić rozkazy Yyrkoona.

Yyrkoon znów podszedł do balustrady i spojrział w dół. Na ulicach ktoś walczył z jego żołnierzami, ale dym zasłaniał mu widok i nie mógł rozpoznać żadnego z napastników.

— Radujcie się swoim marnym zwycięstwem póki możecie, bo wkrótce zwierciadło odbierze wam rozum i staniecie się moimi niewolnikami — zachichotał.

— To Elryk — powtórzyła cicho Cymoril. Uśmiechała się. — Przybywa, by zemścić się na tobie, bracie.

Yyrkoon zachichotał znowu.

— Tak myślisz? Jeśli nawet, wciąż mam swoje sposoby, by mu się wymknąć. Ciebie zaś, siostrze, odnajdzie tutaj w takim stanie, że wcale się nie ucieszy! Przeciwnie, sprawi mu to niemały ból... Ale to przecież nie Elryk. To jakiś prymitywny szaman z krainy stepów na wschód od Dhoz-Kam. Już wkrótce znajdzie się pod moją władzą. Cymoril spoglądała teraz ponad balustradą.

— To Elryk — rzekła. — Poznaję jego hełm.

— Co? — Yyrkoon odepchnął ją brutalnie.

Na ulicach Imrryrianie walczyli z Imrryrianami. Nie było już żadnych wątpliwości. Napastnicy parli do przodu i coraz bardziej spychali wspomaganych przez posiłki z Oin i Yu ludzi Yyrkoona z zajmowanych pozycji. Na czele atakujących Imrryrian kroczył wysoki mężczyzna w czarnym smoczym hełmie. Tylko jeden Melnibonéanin mógł nosić taki hełm. To był hełm Elryka, i to Elryk wznosił teraz nad głową miecz, który niegdyś należał do hrabiego Aubeca z Maladoru. Ostrze miecza błyszczało w porannym słońcu czerwienią krwi.

Na krótką chwilę Yyrkoona ogarnęła rozpacz.

— To Elryk — jęknął. — Elryk... Och, jakże wciąż nie doceniamy się wzajemnie! Jakież przekleństwo na nas ciąży?

Cymoril uniosła dumnie głowę, jej twarz ożywiła się.

— Mówiłam, że on przybędzie, bracie!

Yyrkoon odwrócił się do niej gwałtownie.

— Tak, przybył, ale zwierciadło pozbawi go rozumu. Stanie się moim niewolnikiem i będzie wierzył we wszystko, co mu powiem. To nawet lepiej niż planowałam, siostrze! — Podniósł wzrok, ale natychmiast zasłonił ramieniem oczy,

uprzytomniwszy sobie, co robi. — Szybko na dół, do domu! Lustro zaczyna się obracać!

Krażki i łańcuchy mechanizmu zaskrzypiały głośno, gdy straszliwe Zwierciadło Pamięci zaczęło ogniskować się na ulicach w dole.

— Już za chwilę Elryk i jego ludzie będą należeć do mnie. Cóż za ironia losu! — Yyrkoon pchnął siostrę w dół schodów i zatrzasnął za sobą kłapę. — Sam Elryk będzie pomagał w ataku na Imrryr. Zgubi tych, którzy pozostali mu wierni. Sam usunie się z Rubinowego Tronu!

— Czy nie sądzisz, bracie, że Elryk przewidział, jaką groźbę stanowi Zwierciadło Pamięci? — Cymoril zadała to pytanie z prawdziwą rozkoszą.

— Mógł przewidzieć, ale nie potrafi się mu oprzeć. Musi patrzeć, żeby walczyć. Albo otworzy oczy, albo zostanie zabity. Ale moc Zwierciadła zagraża każdemu, który patrzy. Gdzie jest Valharik? — Rozejrzał się po prymitywnie urządzonej pomieszczeniu. — Gdzie ten kundel?

W tej samej chwili Valharik wpadł do pokoju.

— Panie, Zwierciadło się odwraca, ale teraz będzie oddziaływać także na naszych ludzi. Boje się, że...

— Przestań się bać! Cóż z tego, że nasi ludzie dostaną się pod jego wpływ? Wkrótce przywrócimy im pamięć; będą robić to samo co teraz. Tak też zrobimy z tymi, których pokonamy. Jesteś zbyt bojaźliwy, kapitanie Valharik.

— Ale prowadzi ich Elryk...

— A oczy Elryka są tylko oczami, choć wyglądają jak purpurowe kamienie. Znajdzie się w takim samym położeniu jak jego ludzie.

Na ulicach wokół domu księcia Yyrkoona Elryk, Dyvim Tvar i ich Imrryriańskie nacierali, zmuszając do odwrotu swych zniechęconych, zdemoralizowanych przeciwników. Podczas gdy ulice zasłane były trupami tubylców i ich immryriańskich dowódców, atakujący stracili zaledwie jednego człowieka. Ogniste kule, które z wielkim wysiłkiem przywołał Elryk, zaczynały już się rozpraszać, bo zbyt drogo kosztował je tak długi pobyt w jednej płaszczyźnie. Wojska Elryka zdobyły jednak potrzebną im przewagę i nie było już wątpliwości, kto w tej walce zwycięży. Ponad setka domów stała w płomieniach. Jak miasto długie i szerokie ogień przenosił się na inne budynki. Obrońcy dokonywali wielkich wysiłków, by całe to nędzne miejsce nie spłonęło doszczętnie na ich oczach. W porcie płonęły również okręty.

Dyvim Tvar jako pierwszy spostrzegł, że Zwierciadło zaczyna, obracać się w stronę ulic. Uniósł ostrzegawczo dłoń i wskazał palcem lustro. Potem odwrócił się i zadał w swój róg bojowy rozkazując, by naprzód wysunęły się oddziały, które dotąd nie uczestniczyły w walce.

— Teraz wy musicie nas prowadzić! — zawołał i opuścił przyłbicę hełmu. Szczeliny na wysokości oczu, które umożliwiały obserwację, miał dokładnie zasłonięte. Nie mógł więc nic widzieć.

Powoli i Elryk opuścił swoją przyłbicę. Ogarnęła go ciemność. Zewsząd dobiegały odgłosy walki. To weterani, którzy płynęli z nimi z Melniboné, przystąpili do bitwy. Prowadzący ich Imrryrianie nie przesłonili otworów w swych hełmach.

Elryk błagał bogów, by jego plan się powiódł.

Yyrkoon, zerkając ostrożnie przez szparę w ciężkiej kotarze, zwrócił się z niezadowoleniem do kapitana.

— Valharik, oni wciąż walczą! Dlaczego? Czy zwierciadło jeszcze się nie obróciło?

— Powinno już być we właściwej pozycji, panie.

— Zatem sam zobacz! Imrryrianie wciąż przedzierają się przez szeregi naszych obrońców, a nasi ludzie zaczynają ulegać wpływow zwierciadła. Coś jest nie w porządku, Valharik. Ale co?

Valharik spojrział na walczących Imrryrian i głośno wciągnął powietrze. Na jego twarzy pojawił się wyraz podziwu.

— Oni są ślepi — oznajmił. — Kierują się słuchem, dotykiem i zapachem. Są ślepi, cesarzu, i to właśnie oni prowadzą Elryka i jego ludzi. Oni zaś nie widzą niczego, bo ich hełmy mają opuszczone przyłbice.

— Są ślepi? — Yyrkoon powtórzył niemal z żalem, jakby nie mógł zrozumieć. — Ślepi?

— Tak, to ślepi wojownicy. To ludzie, którzy zostali ranieni w poprzednich wojnach, niemniej wciąż są dobrymi wojownikami. W ten sposób Elryk pokona nasze zwierciadło, panie.

— Precz! Nie! Nie! — Yyrkoon uderzył mocno w plecy kapitana i ten cofnął się skulony. — Elryk nie jest przebiegły! Nie jest sprytny! To jakieś potężne demony podsuwają mu te pomysły.

— Być może, panie. Czy istnieją jednak demony potężniejsze niż te, które pomagały tobie?

— Nie — odparł Yyrkoon. — Nie ma takich. Och, gdybym mógł przywołać teraz niektóre z tych, co mi służą! Swoją moc wyczerpałem jednak otwierając Wrota Cienia. Powinienem być przewidzieć... Och, Elryku! Zniszczę cię, gdy runiczne miecze będą już należeć do mnie!

Nagle Yyrkoon zmarszczył brwi.

— Ale w jaki sposób Elryk mógł się przygotować? Który z demonów? Chyba że przywołał samego Ariocha. Ale przecież on nie ma takiej mocy, by wezwać Ariocha! Ja tego nie potrafiłem...

Wówczas, jakby w odpowiedzi na swoje słowa, usłyszał pieśń wojenną Elryka, dobiegającą z pobliskich ulic. Usłyszał zawartą w niej odpowiedź na jego pytanie.

— Ariocho! Ariocho! Krew i dusze dla mego pana Ariocho!

— Muszę zdobyć runiczne miecze. Muszę przejść przez Wrota Cienia. Tam wciąż mam sprzymierzeńców — nadprzyrodzonych sprzymierzeńców! Jeśli będzie trzeba, rozprawią się z Elrykiem. Potrzebuję jednak czasu... — mamrotał Yyrkoon, krążąc po pokoju.

Valharik nadal obserwował walkę.

— Podchodzą coraz bliżej — powiedział.

Cymoril uśmiechnęła się:

— Słyszysz, Yyrkoonie? I któż jest teraz głupcem? Elryk czy ty?

— Bądź cicho! Myślę, myślę... — Yyrkoon dotknął palcem warg.

Nagle oczy mu rozbłysły. Rzucił na Cymoril chytre spojrzenie, zanim zwrócił się do kapitana Valharika.

— Valharik, musisz zniszczyć Zwierciadło Pamięci.

— Zniszczyć? To nasza jedyna broń, panie!

— Właśnie... ale czy nie jest teraz nieprzydatna?

— Tak.

— Zniszcz je, a posłuży nam znowu. — Yyrkoon strzelił długimi palcami w stronę drzwi. — Idź, zniszcz lustro.

— Książę... chciałem powiedzieć — cesarzu, przecież w ten sposób stracimy naszą jedyną broń!

— Rób, co każę, Valharik! Inaczej zginiesz!

— W jaki sposób mam je zniszczyć, panie?

— Swoim mieczem. Musisz wspiąć się po kolumnie z tyłu lustra. Potem, nie patrząc w nie, uderzysz mieczem i rozbijesz je. Pęknie łatwo. Pamiętaj, jakie środki ostrożności musiałem zastosować, by się upewnić, że nie zostało uszkodzone?

— Czy to wszystko, co mam zrobić?

— Tak. Potem będziesz zwolniony z mej służby. Możesz uciekać albo robić to, na co tylko masz ochotę.

— Nie popłyniemy przeciwko Melniboné?

— Oczywiście, że nie. Obmyśliłem inny sposób opanowania Smoczej Wyspy.

Valharik wzruszył ramionami. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że nigdy nie wierzył w zapewnienia Yyrkoona. Musiał jednak podążyć za nim. Z rąk Elryka czekały go przecież straszliwe tortury. Skuliwszy ramiona, kapitan wysunął się z pokoju, by wykonać ostatnie polecenie swego księcia.

— A teraz, Cymoril. — Yyrkoon uśmiechnął się złośliwie, chwytając miękkie ramiona swej siostry. — Teraz przygotuję cię na powitanie twego ukochanego

Elryka.

Jeden ze ślepych wojowników krzyknął:

— Oni już nie stawiają nam oporu, panie! Są zupełnie bezwolni i dają się zabijać tam, gdzie stoją. Dlaczego?

— Zwierciadło skradło im pamięć! — zawołał Elryk, odwracając zasłoniętą twarz w stronę, skąd dobiegał głos żołnierza. — Teraz możecie prowadzić nas do jakiegoś domu. Tam nie dosięgnie nas wpływ lustra.

Gdy znaleźli się wreszcie wewnątrz budynku, Elryk zdjął hełm. Rozejrzał się i uznał, że są w jakimś składzie. Na szczęście dom był dość duży, by pomieścić cały ich oddział. Gdy wszyscy byli już w środku, Elryk kazał dokładnie zamknąć drzwi. Zaczęli naradzać się, co robić dalej.

— Powinniśmy odszukać Yyrkooną — powiedział Dyvim Tvar. — Wypytajmy jednego z tych wojowników. . .

— Nie będzie to łatwe, przyjacielu — przypomniał mu Elryk — stracili pamięć. Nie będą niczego pamiętać. W tej chwili nie wiedzą nawet, co tu robią, nie wiedzą, kim są. Podejdz do tamtych okiennic — tam nie sięga wpływ zwierciadła — i zobacz, czy nie ma w pobliżu domu, który mógł zająć mój kuzyn.

Dyvim Tvar podszedł szybko do okiennicy i wyjrzał ostrożnie.

— Tak. . . Jest tu dom większy od innych. Widzę w nim jakieś poruszenie. . . jakby przegrupowywano tam ocalałych wojowników. Należy sądzić, że to twierdza Yyrkooną. Powinniśmy łatwo ją zdobyć.

Elryk zbliżył się do niego.

— Tak, masz rację. Znajdziemy tam Yyrkooną. Musimy się jednak śpieszyć, by nie przyszło mu do głowy zabić Cymoril. Trzeba się zastanowić, jaką drogę obrać. Nasi niewidomi żołnierze muszą wiedzieć, ile ulic i domów mają minąć, by dotrzeć do tego miejsca.

— Co to za dziwny dźwięk? — Ślepy niewolnik podniósł głowę. — Brzmi jak dalekie dzwonięcie.

— I ja go słyszę — powiedział inny ślepiec. Usłyszał je teraz i Elryk. To był złowieszczy dźwięk.

Dochodził jakby z góry. Wibrowało od niego powietrze.

— Zwierciadło! — Dyvim Tvar podniósł wzrok. — Czyżby miało właściwości, których nie przewidzieliśmy?

— To możliwe. — Elryk próbował przypomnieć sobie, co mówił mu Arioch. Arioch był jednak bardzo tajemniczy. Nie powiedział niczego o tym przeraźliwym, potężnym dźwięku. Uparte brzęczenie szarpało nerwy, brzmiało jakby. . .

— On rozbija Zwierciadło! — zawołał. — Ale dlaczego?

Naraz doznał zupełnie nowego uczucia. Coś dotknęło jego mózgu. Sam dźwięk zdawał się być czymś namacalnym. — Może Yyrkoon nie żyje, a jego

magia umiera razem z nim — zaczął Dyvim Tvar i nagle przerwał z jękiem.

Dźwięk przybrał teraz na sile; coraz bardziej przenikliwy niósł uszom ostry ból. I nagle Elryk zrozumiał. Zasłonił j uszy dłońmi. Wspomnienia w Zwierciadle! To one zalewały i jego umysł. Rozbite lustro uwalniało wszystkie wspomnienia, kradzione przez stulecia, a może i przez wieczność. Wiele z nich w ogóle nie należało do śmiertelnych. Były własnością stworzeń i istot rozumnych, które żyły jeszcze przed powstaniem Melniboné. Wszystkie walczyły teraz o miejsce pod czaszką Elryka i pozostałych Imrryrian. Atakowały biedne, udręczone czaszki ludzi w Dhoz-Kam. Z każdej ulicy dobiegały budzące litość krzyki. Nie wytrzymał naporu obcych myśli również kapitan Valharik. Schodząc z wysokiej kolumny, stracił równowagę i razem z okruciami lustra runął w dół.

Elryk nie usłyszał już krzyku Valharika i głuchego odgłosu, z jakim ciało kapitana uderzyło najpierw o dach, a potem o bruk ulicy, by tam znieruchomieć pod szczątkami zwierciadła. Leżał na kamiennej podłodze składu i wił się z bólu. Tak jak i jego towarzysze, próbował wyrzucić z głowy wszystkie te obce wspomnienia. Wspomnienia miłości i nienawiści, osobliwych i codziennych przeżyć, wojen i podróży. Twarze krewnych, którzy nie byli jego krewnymi; wspomnienia mężczyzn i kobiet, dzieci i zwierząt, okrętów i miast, bitew, pieszczot, obaw i pragnień. Wszystkie one usiłowały wziąć w posiadanie jego umysł. Groziły usunięciem jego własnej pamięci, a więc i jego osobowości. Wijąc się w udreće na posadzce, zaciskając dłonie na uszach, by utrzymać własną świadomość, powtarzał uparcie jedno słowo.

— Elryk... Elryk... Elryk...

Stopniowo, z ogromnym wysiłkiem, na jaki zdobył się tylko raz, gdy przywoływał Ariocha na płaszczyznę Ziemi, zdołał wygasić obce wspomnienia. Zatrzymawszy własną pamięć, drżący i słaby, mógł wreszcie odstąpić uszy. A potem dźwignął się i rozejrzał wokoło.

Ponad dwie trzecie jego ludzi zginęło. Nie żył ogromny bosman. Leżał z wytrzeszczonymi oczami i ustami wykrzywionymi w grymasie rozpaczliwego krzyku. Jego prawy oczodół był otwartą, krwawiącą raną, gdyż próbował wyrwać sobie oko. Ciała martwych zastygły w nienaturalnych pozycjach. Wszyscy mieli oczy szeroko otwarte — o ile w ogóle je mieli, wielu nosiło ślady samookaleczeń. Niektórzy przed śmiercią wymiotowali, inni roztrzaskiwali głowy o ścianę. Dyvim Tvar żył, ale skulony w kącie mamrotał coś do siebie. Elryk pomyślał, że jego przyjaciel oszalał. Niektórzy z ocalałych rzeczywiście stracili rozum, ci jednak byli spokojni i dla nikogo nie stanowili żadnego zagrożenia.

Wydawało się, że tylko pięciu Imrryrianom, wliczając w to Elryka, udało się stłumić obce wspomnienia i pozostać przy zdrowych zmysłach. Potykając się, Elryk chodził od ciała do ciała. Przypuszczał, że serca większości mężczyzn nie wytrzymały tej próby.

— Dyvim Tvar? — Położył rękę na ramieniu przyjaciela. — Dyvim Tvar?

Dyvim Tvar odsłonił twarz i spojrzał na Elryka. W jego oczach nie wygasty jeszcze doznania tysiącleci, choć na ich dnie kryła się też gorzka ironia.

— Żyję, Elryku.

— Niewielu z nas pozostało przy życiu. . .

W chwilę później opuścili skład. Nie musieli już obawiać się lustra. Ujrzeni ulice pełne trupów tych, którzy nie obronili się przed atakiem wspomnień. Sztywne ciała wyciągały do nich ręce. Martwe usta milcząco, błagały o pomoc. Przeciśkając się między nimi, Elryk starał się odwracać od nich wzrok, ale żądza zemsty rosła w nim z każdą chwilą.

Dotarli wreszcie do właściwego budynku. Drzwi były otwarte, na podłodze leżały sztywniejące ciała. Nie było tu śladu księcia Yyrkoona. Elryk i Dyvim Tvar prowadzili kilku pozostałych przy życiu Imrryrian. Wspinali się po schodach, mijając po drodze coraz więcej ciał zastygłych w błagalnym geście.

Na ostatnim piętrze domu znaleźli Cymoril.

Leżała naga na sofie. Na jej ciele wymalowane były sprośne runy. Powieki opadały ciężko na jej oczy. W pierwszej chwili nie rozpoznała nikogo. Elryk podbiegł i objął ją. Tulił w ramionach jej dziwnie chłodne ciało.

— On. . . mnie uśpił — powiedziała Cymoril. — Czarodziejski sen. . . z którego. . . tylko on. . . może mnie obudzić. . .

Ziewnęła szeroko.

— Czuwałam. . . tak długo. . . całą siłą woli. . . bo Elryk przybędzie. . .

— Elryk jest tutaj — odparł miękko jej ukochany. — To ja jestem Elrykiem, Cymoril.

— Elryk? — Uspokoila się w jego ramionach. — Musisz. . . odnaleźć Yyrkoona. . . tylko on może. . . mnie obudzić.

— Dokąd uciekł? — Twarz Elryka przybrała twardy wyraz. Jego oczy gorzały. — Dokąd?

— Ma odnaleźć. . . dwa. . . czarne miecze. . . runiczne miecze naszych. . . przodków. . . Żałobne Ostrze. . .

— I Zwiastun Burzy — dokończył Elryk. — Te miecze są przeklęte. . . Ale dokąd on poszedł, Cymoril? Jakim sposobem nam uciekł?

— Przez. . . przez. . . Wrota Cienia. . . On je wyczarował. . . Zawarł z demonami. . . przerażające. . . układy. . . by przejść przez nie. . . Ten. . . drugi. . . pokój. . .

Z tymi słowami Cymoril zasnęła. Na jej twarzy malował się spokój.

Elryk patrzył na Dyvima Tvara, który z mieczem w dłoni przeszedł przez pokój i otworzył drzwi. Ze spowitej mrokiem komnaty doleciał ich okropny odór. W głębi coś połykiwało.

— Tak, to z pewnością magia — powiedział Elryk. — Yyrkoon znów pomieszał mi szyki. Otworzył Wrota Cienia i przeszedł przez nie do jakiegoś innego

świata. Ale którego? Nigdy się tego nie dowiem, bo jest ich nieskończenie wiele. Och, Ariochu! Dałbym wiele, by móc podążyć za kuzynem!

— A zatem pójdziesz za nim — zaszeptał w jego myślach łagodnie kpiący głos.

Z początku pomyślał, że to jakiś okruch wspomnień wciąż próbuje dostać się do jego umysłu, już po chwili jednak wiedział, że to Arioch.

— Odpraw swych strażników, abym mógł z tobą mówić — polecił mu Władca Chaosu.

Elryk zawahał się. Chciał zostać sam, ale nie z Ariochem. Pragnął być z Cymoril. To ona jedna sprawiła, że płakał. To dzięki niej z jego purpurowych oczu płynęły łzy.

— To, co powiem, może ci pomóc w uratowaniu Cymoril — mówił głos. — Co więcej, pomoże ci pokonać Yyrkooną i zemścić się. Zaiste, mógłbyś stać się najpotężniejszym ze wszystkich śmiertelników.

Elryk spojrzał na Dyvima Tvara.

— Czy ty i twoi ludzie możecie zostawić mnie samego na kilka chwil?

— Oczywiście. — Dyvim Tvar wyprowadził swój mały oddział i zamknął za sobą drzwi.

Wsparty o nie stał przed Elrykiem Arioch. Znowu przybrał rysy i sylwetkę urodziwego młodzieńca. Uśmiechał się przyjaźnie i otwarcie, tylko stare jak świat oczy nie pasowały do jego wyglądu.

— Czas już, byś sam poszukał czarnych mieczy, Elryku — powiedział Arioch. — Yyrkoon nie może znaleźć ich pierwszy. Przed tym cię ostrzegam. Mając runiczne miecze, Yyrkoon posiada taką moc, że nawet o tym nie myśląc, będzie w stanie zniszczyć połowę świata. Dlatego właśnie twój kuzyn naraża się na niebezpieczeństwa świata poza Wrotami Cienia. Jeśli zdobędzie miecze przed tobą, będzie to koniec twój, Cymoril, Młodych Królestw i prawdopodobnie także samego Melniboné. Pomogę ci dostać się do tamtego świata. Odszukaj runiczne miecze!

— Ostrzegano mnie często przed niebezpieczeństwami — zamyślony Elryk — jakie czekają na tego, kto będzie tych mieczy. Jeszcze większe niebezpieczeństwa staną się udziałem tego, który je zdobędzie. Sądzę, że muszę rozważyć inny plan, panie.

— Nie istnieje inny planu. Yyrkoon pragnie tych mieczy, . nawet jeśli ty ich nie chcesz. Dzierżąc w jednym ręku Żalobne Ostrze, a Zwiastuna Burzy w drugim, będzie niepokonany. Te miecze dają potęgę każdemu, kto ich używa. Ogromną potęgę — Arioch przerwał. — Musisz robić, co każę, to da ci przewagę.

— I tobie także, panie?

— Tak, i mnie również. Nie jestem zupełnie bezinteresowny.

Elryk potrzęsnał głową.

— Nie wiem, co robić. Zbyt wiele w tej sprawie rzeczy nadprzyrodzonych. Podejrzewam, że bogowie wykorzystują nas. . .

— Bogowie służą jedynie tym, którzy są gotowi im służyć. Bogowie służą również przeznaczeniu.

— Nie podoba mi się to. Co innego powstrzymać Yyrkooną, a co innego przejąć jego ambicje i zabrać dla siebie miecze.

— To twoje przeznaczenie.

— Czy nie mogę go zmienić?

Arioch pokręcił głową.

— Nie bardziej niż ja.

Elryk pogładził włosy śpiącej Cymoril.

— Kocham ją. Ona jest wszystkim, czego pragnę.

— Nie obudzisz jej, jeśli Yyrkoon znajdzie miecze przed tobą.

— A w jaki sposób je odnajdę?

— Wejźdź we Wrota Cienia. Utrzymuję je otwarte, choć Yyrkoon jest przekonany, że są zamknięte. Potem musisz odszukać Tunel Pod Moczarami, który wiedzie do Pulsującej Jaskini. Tam przechowywane są runiczne miecze, odkąd wyrzekli się ich twoi przodkowie.

— Dlaczego to zrobili?

— Twoim przodkom brakło odwagi.

— Odwagi, by stawić czoło czemu?

— Sobie samym.

— Mówisz zagadkami, panie.

— Tak jak wszyscy Władcy Wyższych Światów. Śpiesz się. Nawet ja nie mogę długo utrzymać otwartych Wrót Cienia.

— Dobrze, pójdę.

Gdy Elryk wypowiadał te słowa, Arioch zniknął. Elryk przywołał Dyvim Tvara chrapliwym, ostrym głosem. Przyjaciel natychmiast zjawił się przed nim.

— Elryku, co tu się dzieje? Czy to Cymoril? Wyglądasz. . .

— Idę za Yyrkoonem, Dyvim Tvar. Sam. Musisz wracać do Melniboné z tymi, którzy pozostali przy życiu. Zabierz ze sobą Cymoril. Jeśli nie wrócę w rozsądnym terminie, musisz ogłosić ją cesarzową. Gdyby wciąż spała, będziesz rządził jako regent, póki się nie obudzi.

— Czy wiesz, co robisz, Elryku? — zapytał miękko Dyvim Tvar.

Elryk potrząsnął głową.

— Nie, Dyvim Tvar. Nie wiem.

Wstał i chwiejnym krokiem ruszył w stronę komnaty, gdzie czekały na niego Wrota Cienia.

CZEŚĆ III

Nie ma już odwrotu. Przeznaczenie Elryka zostało wykute i ustalone tak pewnie, jak przed wiekami zostały wykute i zahartowane piekielne miecze. Czy istnieje gdzieś punkt, w którym mógłby zawrócić z tej wiodącej ku rozpacz, potępieniu i zniszczeniu drogi?

Czy został skazany, zanim się narodził? Skazany na to, by przez tysiące wieleń nie zaznać nic prócz smutku i walki, samotności i żalu; być wiecznie obrońcą jakiejś nieznannej sprawy?

Rozdział 1

PRZEZ WROTA CIENIA

Elryk wkroczył w mrok za progiem Wrót i znalazł się w świecie cieni. Odwrócił się, ale w tej samej chwili cienie zbladły i rozproszyły się.

Miał jedynie miecz starego Aubeca w dłoni, na sobie czarny hełm i zbroję, i tylko one mu sprzyjały w mrocznej, ponurej krainie, do której trafił. Miał uczucie, że znajduje się w ogromnej jaskini. Czuł niemal ciężar jej niewidzialnych ścian. Żałował, że uległ emocjom i zmęczonemu umysłowi, które nakazały mu usłuchać jego opiekuńczego demona Ariocha i przekroczyć Wrota Cienia. Teraz było już za późno na żal, nie myślał więc o tym dłużej.

Nigdzie nie było widać Yyrkoona. Albo dosiadł czekającego nań gdzieś rumaka i odjechał, albo — co bardziej prawdopodobne — uszedł w ten świat w nieco innym punkcie. Mówiono wszak, że wszystkie płaszczyzny obracają się wokół siebie. W ten sposób mógł teraz znajdować się zarówno bliżej, jak i dalej od ich wspólnego celu.

Powietrze było tu bogate w solankę jak morską bryza i Elrykowi wydawało się, że jego nozdrza są pełne soli. Zupełnie jakby szedł pod powierzchnią morza i oddychał wodą. Być może to tłumaczyło, dlaczego widoczność wokoło była tak ograniczona, dlaczego tak wiele było tu cieni, a niebo skrywało zasłoną strop „jaskini”. Elryk wsunął miecz do pochwy; nie widział w pobliżu żadnego niebezpieczeństwa. Odwrócił się powoli, próbując określić swe położenie.

Przypuszczalnie po stronie, którą uznał za wschód wznosiło się postrzępione pasmo gór, a na zachodzie rósł las. Bez słońca, gwiazd czy księżyca trudno było oszacować odległość czy kierunek.

Elryk stał na skalistej równinie, nad którą gwizdał zimny wiatr, szarpiąc połamami jego płaszcz, jakby chciał mu go odebrać. Około stu kroków od niego rosło kilka zbitych w kępę, skarłowaciałych i bezlistnych drzew. Jedynie one i wznosząca się za nimi wysoka skała o trudnych do określenia kształtach ożywiały krajobraz ponurej równiny. Ten świat zdawał się być pozbawiony wszelkich oznak życia, jakby walczyły tu niegdyś Prawo i Chaos i zmagając się, zniszczyły wszyst-

ko. Czy wiele jest płaszczyzn takich jak ta? — zastanawiał się Elryk. Na chwilę o władnęły nim straszliwe przecucia losów jego bogatego świata. Zaraz jednak odsunął od siebie te myśli i ruszył szybkim krokiem w stronę samotnej skały.

Minął kępę drzew. Przechodząc obok jednego z nich, dotknął brzegiem płaszcza kruchej gałęzi i złamał ją. Natychmiast rozsypała się w proch, który wiatr poniosł dalej.

Zbliżył się do skały. Naraz usłyszał jakiś dźwięk. Zdawał się dochodzić właśnie z niej. Zwolnił kroku i położył dłoń na rękojeści miecza. Cichy, rytmiczny odgłos nie milkł. Wpatrzył się w skałę poprzez mrok, próbując zlokalizować źródło tych odgłosów. Nagle dźwięk się urwał i po chwili zastąpił go inny, przypominający odgłos szamotania się, po którym rozległy się miękkie stapania. Potem nastąpiła cisza. Elryk cofnął się o krok i wyciągnął z pochwy miecz Aubeca. Pierwszy dźwięk brzmiał jak oddech śpiącego człowieka, drugi — jakby ktoś przebudził się i gotował do ataku bądź obrony.

— Nazywam się Elryk z Melniboné! Jestem tu obcy — odezwał się Elryk.

Zaśpiewała cięciwa łuku i obok jego hełmu śmignęła strzała. Elryk rzucił się w bok, szukając osłony, ale jedynym miejscem, gdzie mógł się ukryć, była skała, za którą czaił się łucznik. Teraz dobiegły go stamtąd słowa wypowiedziane mocnym, ponurym głosem.

— Nie uczyniłem tego, by cię skrzywdzić, ale po to, by zademonstrować moją zręczność, gdybyś chciał skrzywdzić mnie. Pełno w tym świecie demonów, a ty, białołicy, wyglądasz jak najgroźniejszy z nich.

— Jestem śmiertelnikiem — powiedział Elryk. Wyprostował się. Pomyślał, że jeśli już musi umrzeć, to lepiej zrobić to z godnością.

— Mówiłeś o Melniboné. Słyszałem o tym miejscu. To wyspa demonów.

— Niewiele więc wiesz o Melniboné. Jestem śmiertelny, tak jak cały mój lud. Jedynie głupiec może myśleć, że jesteśmy demonami.

— Nie jestem głupcem, przyjacielu. Jestem Wojownikiem Kapłanem z Phum. Pochodzę z tej kasty i dziedziczę całą jej wiedzę. Aż do tej pory moimi opiekunami byli sami Władcy Chaosu. Nie chciałem jednak im służyć i wypędzili mnie na tę płaszczyznę. Może ten sam los przypadł i tobie, białołicy? Wszak lud Melniboné służy Władcom Chaosu?

— Tak. Znam też Phum. Leży daleko na Wschodzie, na terenach nie oznaczonych na mapach. Gdzieś za Pustynią Płaczu, dalej niż Pustynia Westchnień, nawet za Elvherem. To jedno z najstarszych Młodych Królestw.

— Wszystko to prawda, choć nie mogę potwierdzić tego, że Wschód nie jest zaznaczony na mapach. Jeżeli już, to chyba tylko przez dzikusów z Zachodu... Zdaje mi się, że dzielisz ze mną wygnanie.

— Mnie nie wypędzono. Prowadzę poszukiwania. Kiedy je skończę, wrócę do mego świata.

— Wrócisz, powiadasz? To interesujące, mój bladolicy przyjacielu. Sądziłem, że powrót stąd jest niemożliwy.

— Może i tak jest, a ja zostałem oszukany. Jeśli twoje moce nie znalazły ci drogi na inną płaszczyznę, zapewne i moje mnie nie ocala.

— Moce? Odkąd wyrzekłem się służby dla Chaosu, nie mam żadnych. I cóż, przyjacielu, czy zamierzasz ze mną walczyć?

— Na tej płaszczyźnie jest tylko jedna osoba, z którą chcę walczyć i to nie jesteś ty, Wojowniku Kapłanie z Phum.

Elryk schował miecz do pochwy i w tej samej chwili zza skały wyłonił się jego rozmówca, wkładając strzałę o szkarłatnym drzewcu do szkarłatnego kołczanu.

— Nazywam się Rackhir — powiedział. — Zwą mnie Czerwonym Łucznikiem, gdyż, jak widzisz, noszę czerwone ubranie. Wojownicy Kapłani z Phum mają zwyczaj wybierać jeden kolor dla swych strojów. W tym tylko pozostałem wierny tradycji.

Nosił szkarłatną kamizelę i spodnie, szkarłatne buty i tej samej barwy czapkę ze szkarłatnym piórem, Szkarłatny był też jego łuk, a rękojeść miecza lśniła czerwienią rubinu. Wychudła twarz o ostro rzeźbionych rysach miała ciemną, jakby wysmaganą wiatrem skórę. Był wysoki i chudy, choć na ramionach i piersiach rysowały się mocne węzły mięśni. W jego oczach kryła się kpina, na ustach czał się cień uśmiechu. Twarz ta nosiła jednak ślady przeżyć, z których większość nie należała zapewne do przyjemnych.

— Szczegółne miejsce wybrałeś na poszukiwania — zauważył Czerwony Łucznik. Stał z rękoma wspartymi na biodrach i mierzył spojrzeniem Elryka. — Dobiję z tobą targu, jeśli jesteś tym zainteresowany.

— Zgodzę się, jeśli warunki będą mi odpowiadały, Łuczniku. Zdajesz się wiedzieć o tym świecie więcej niż ja.

— Cóż, ty musisz tu coś znaleźć, a potem opuścić to miejsce, podczas gdy ja nie mam tu nic do roboty i pragnę się stąd wydostać. Czy jeśli pomogę ci w poszukiwaniach, zabierzesz mnie ze sobą, wracając na naszą płaszczyznę?

— To wygląda na uczciwy układ, ale nie mogę obiecywać czegoś, na co nie mam wpływu. Mogę ci tylko przyrzec, że jeśli będę mógł zabrać cię ze sobą przed końcem moich poszukiwań czy też po ich zakończeniu — zrobię to.

— To brzmi rozsądnie — powiedział Rackhir Czerwony Łucznik. — A teraz powiedz mi, czego szukasz.

— Szukam dwóch mieczy wykutych przed tysiącami lat przez nieśmiertelnych. Posługiwali się nimi moi przodkowie, zanim się ich wyrzekli. Ukryto je na tej płaszczyźnie. Są duże, ciężkie i czarne. Na ostrzach mają wyryte tajemnicze runy. Powiedziano mi, że znajdę je w Pulsującej Jaskini, do której wiedzie Tunel Pod Moczarami. Czy słyszałeś o którymś z tych miejsc?

— Nie. Nie słyszałem też o dwóch czarnych mieczach. — Rackhir potarł swój kościsty podbródek. — Przypominam sobie jednak, że przeczytałem coś w jednej

z Ksiąg Phum. To, co przeczytałem, zaniepokoiło mnie.

— Te miecze przeszły do legendy. W wielu książkach są o nich wzmianki; niemal zawsze tajemnicze. Mówią, że istnieje księga, która opowiada dzieje mieczy oraz wszystkich, którzy się nimi posługiwali, a także tych, którzy będą ich używali w przyszłości. . . Ponadczasowa księga, opisująca wszystkie czasy. Niektórzy nazywają ją Kroniką Czarnego Miecza i jak powiadają, wielu może poznać z niej swe przeznaczenie.

— I o tym nic nie wiem. Na pewno nie jest to żadna z Ksiąg Phum. Obawiam się, przyjacielu, że będziemy musieli zaryzykować podróż do miasta Ameeron i zadać twe pytania jego mieszkańcom.

— Jest tu jakieś miasto?

— Tak. . . miasto. Przebywałem tam krótko. Wolę od niego to pustkowie. Ale z przyjacielem można przebywać w nim nieco dłużej.

— Dlaczego nie odpowiada ci Ameeron?

— Jego mieszkańcy nie są szczęśliwi. Tworzą jedną z najbardziej zgnębionych i przygnębiających zbiorowości. Wszyscy oni to wygnańcy, uciekinierzy albo wędrowcy między światami, którzy zgubili kiedyś drogę i nigdy jej nie odnaleźli. Nikt nie żyje w Ameeron z wyboru.

— Istne Miasto Przeklętych — zauważył Elryk.

— Tak powiedziałby poeta. — Rackhir spojrział drwiąco na Elryka. — Czasami jednak myślę, że wszystkie miasta są takie.

— Co to za płaszczyzna? Jak dotąd nie zauważyłem tu gwiazd, księżycy ani słońca. Powietrze przypomina tu atmosferę ogromnej jaskini.

— Rzeczywiście, istnieje domniemanie, że to kula, zagrzebana w nieskończoności skał. Niektórzy mówią znów, że trzeba jej szukać w przyszłości naszej Ziemi. W tej przyszłości, gdy wszechświat już umarł. W czasie swojego krótkiego pobytu w mieście Ameeron poznałem tysiące koncepcji. Wydaje mi się, że wszystkie mogą być właściwe. Dlaczego nie? Są tacy, którzy wierzą, że wszystko jest kłamstwem. Równie dobrze więc wszystko może być prawdą.

— Jesteś więc nie tylko łucznikiem, ale i filozofem, przyjacielu Rackhirze z Phum — rzucił ironiczną uwagę Elryk.

Rackhir roześmiał się.

— Skoro tak uważasz! Właśnie tego typu myśli zachwiały moją lojalność wobec Chaosu i doprowadziły mnie tutaj. Słyszałem, że na zmiennych brzegach Pustyni Westchnień można czasem natknąć się na miasto Tanelorn. Jeśli kiedykolwiek wrócę do naszego świata, przyjacielu, poszukam tego miasta. Podobno można tam znaleźć spokój, a takie rozmowy, jak ta o naturze Prawdy, uważa się tam za bezsensowne. Tam ludziom wystarcza do szczęścia sam fakt, że żyją w Tanelorn.

— Zazdroszczę mieszkańcom Tanelorn — powiedział Elryk.

Rackhir prychnął.

— Oczywiście, mógłbyś się jednak rozczarować, gdybyś tam trafił. Lepiej niech legendy pozostaną legendami. Próby ich urzeczywistnienia rzadko kiedy kończą się sukcesem. Choć! Tam leży Ameeron i ono właśnie jest najbardziej typowe spośród większości miast, na jakie można się natknąć na wszystkich płaszczynach.

Obaj wysocy mężczyźni, z których każdy był na swój sposób banitą, ruszyli ciężkim krokiem w półmrok tego wyludnionego pustkowie.

Rozdział 2

W MIEŚCIE AMEERON

Przed nimi ukazało się miasto Ameeron. Elryk nigdy przedtem nie widział takiego miejsca. Jego widok sprawił, że Dhoz-Kam wydało mu się niezwykle czystą i najlepiej zagospodarowaną osadą, jaką w ogóle można było spotkać.

Miasto leżało u stóp skalistego wzniesienia w płytkiej kotlinie, nad którą bez przerwy snuł się dym, brudną poszarpaną zasłoną osłaniając to miejsce przed wzrokiem ludzi i bogów.

Większość zabudowań była zrujnowana, na miejscu tych, które uległy całkowitemu zniszczeniu, wznosiły się zwykle chałupy i szałas. Mieszanina stylów architektonicznych nie pozwalała znaleźć dwóch podobnych budowli. Niektórych projekty ukazywały znajome elementy, większość jednak była całkiem obca. Zamki i domki, chatki, wieże i forty, czworoboczne wille i drewniane chaty, ciężkie od rzeźbionych ornamentów. Były też takie, które przypominały sterczące skały, w których jeden otwór o nieregularnych krawędziach służył jako wejście. Nie było nawet jednego zabudowania wyglądającego przyzwoicie, nic nie mogło zresztą tak wyglądać w tym pejzażu, pod wiecznie ciemnym niebem.

Tu i ówdzie płonęły dymiące ogniska, a gdy Elryk i Rackhir dotarli do przedmieść, okazało się, że Ameeron po prostu cuchnie.

— Zasadniczą cechą większości mieszkańców Ameeron jest raczej pycha niż duma — powiedział Rackhir, marszcząc swój garbaty nos. — Myślę oczywiście o tych, którzy w ogóle przejawiają jakiś charakter.

Elryk z trudem brnął przez zaśmiecone, brudne ulice. Cienie obu mężczyzn ginęły w zaułkach między ciasno stłoczonymi zabudowaniami.

— Czy jest tu może jakaś gospoda, gdzie moglibyśmy się dowiedzieć czegoś o Tunelu Pod Moczarami?

— Nie ma żadnej gospody. Najogólniej rzecz ujmując, mieszkańcy Ameeron unikają spotkań towarzyskich.

— Może więc jest tu jakiś plac, gdzie spotykają się ludzie?

— To miasto nie ma głównego placu. Stali mieszkańcy budowali domy tam,

gdzie im się podobało, albo tam, gdzie było dość miejsca. Pochodzą z różnych płaszczyzn i czasów, stąd cały ten bałagan oraz ruiny, osobliwości wielu tych miejsc. Stąd brud, beznadziejność, upadek większości z nich.

— Z czego oni żyją?

— Żerują jedni na drugich. Okazjonalnie handlują z demonami, które odwiedzają Ameeron.

— Z demonami?

— Tak. A najodważniejsi polują na szczury, które żyją w jaskiniach pod miastem.

— Co to za demony?

— Takie sobie stwory, mało znaczący śludzy Chaosu. Czekają zwykle na to, czego mogą dostarczyć im Ameerianie. Jedna czy dwie dusze, jakieś dziecko, bo kilkoro się tu urodziło. . . Możesz wyobrazić sobie resztę, jeśli wiesz o demonach to, co zwykle wie o nich czarnoksiężnik.

— Tak, potrafię to sobie wyobrazić. A zatem Chaos może zjawiać się na tej płaszczyźnie i odchodzić z niej wedle woli?

— Nie jestem pewien, czy to takie proste. Na pewno jednak łatwiej demonom podróżować tam i z powrotem na tej płaszczyźnie niż na naszej.

— Czy widziałeś któregoś z nich?

— Tak. To zwyczajne bestie. Ordynarne, głupie i potężne. Wiele z nich było niegdyś ludźmi, zanim zdecydowało się wejść w układy z Chaosem. A potem zarówno psychicznie, jak i fizycznie upodobnili się do ohydnych demonów.

Słowa Rackhira nie spodobały się Elrykowi.

— Czy tych, którzy dobijają targu z Chaosem, zawsze spotyka taki los? — zapytał.

— Powinieneś to wiedzieć, jeśli pochodzisz z Melniboné. W Phum rzadko do tego dochodzi. Wydaje się jednak, że im wyższa stawka wchodzi w grę, tym subtelniejsze zmiany zachodzą w człowieku, z którym Chaos zgadza się prowadzić ten handel.

Elryk westchnął.

— Gdzie zasięgnęmy informacji o naszym Tunelu Pod Moczarami?

— Był taki starzec. . . — zaczął Rackhir, ale przerwał, bo z tyłu dobiegło ich chrząknięcie. I jeszcze jedno. Z cienia rzucanego przez zwaloną kamienną płytę wynurzył się pysk z parą sterczących kłów. Chrząknął ponownie.

— Kim jesteś? — spytał Elryk, trzymając w pogotowiu miecz.

— Świnia — odparła istota.

Elryk nie był pewien, czy to stworzenie go obraża, czy też wypowiada swoje imię. Jeszcze dwa podobne pyski wyłoniły się z plamy cienia.

— Świnia — powiedziała jedna z nich.

— Świnia — powtórzyła druga.

— Wąż — odezwał się głos za Elrykiem.

Elryk odwrócił się; Rackhir nadal przyglądał się świniom. Tuż przed albinosem stał młodzieniec. W miejscu, gdzie powinna się znajdować jego głowa, wyrastały cielska piętnastu dużych węży. Ich oczy utkwione były w Elryku. Długie, wąskie języki drgały szybko. Naraz w tym samym momencie wszystkie węże otworzyły paszcze i powtórzyły:

— Wąż.

— Rzecz — odezwał się nowy głos.

Elryk spojrział w tym kierunku, zaczerpnął głęboko powietrza i wyszarpnął z pochwy miecz. Poczuł, że ogarniają go mdłości.

Wówczas właśnie Świnie, Wąż i Rzecz rzuciły się na nich. Rackhir zabił jedną ze Świń, zanim zdążyła zrobić trzy kroki. W jednej sekundzie zerwał łuk z pleców, napiął go i wypuścił strzałę o czerwonym drzewcu. Starczyło mu czasu, by ustrzelić jeszcze jedno stworzenie. Potem rzucił łuk i dobył miecza. Wsparci o siebie plecami, obydwaj z Elrykiem gotowali się do obrony przed atakiem demonów. Sam Wąż, ze swymi piętnastoma rzucającymi się do przodu głowami i zębami, z których ściekał jad, był wystarczająco groźny. Rzecz wciąż zmieniała swą postać. Z bezkształtnego pulsującego ciała, które nieubłaganie sunęło ku nim, wynurzało się ramię, potem twarz.

— Rzecz! — zawołała istota i dwa miecze cięły w Elryka, który rozprawiał się właśnie z ostatnią Świnią. To sprawiło, że chybił i zamiast przebić jej serce, ugodził ją w brzuch. Świnia potoczyła się do tyłu i runęła w błoto. Czołgała się jeszcze przez chwilę, zanim znieruchomiła zupełnie. Coś cisnęło teraz włócznią i Elryk z łatwością odbił ten cios płazem miecza.

Wąż zaatakował Rackhira. Demony przysunęły się do mężczyzn, zdecydowane szybko skończyć z nimi. Już połowa głów węża leżała, wijąc się na ziemi, gdy Elrykowi udało się odrąbać rękę drugiemu demonowi.

Jednakże Rzecz wciąż jeszcze miała trzy inne. Wydawało się, że tego demona tworzy nie jedno, lecz kilka stworzeń. Elryk zastanawiał się, czy i jemu nie przypadnie w udziale taki los; czy i on nie przemieni się w jakieś bezkształtne monstrum. Układał się wszak z Ariochem. Czyż i teraz nie ma w sobie czegoś z demona? Przecież tak często dostrzegano w nim demoniczne cechy. Te myśli dodały mu sił.

— Elryk! — wrzasnął.

— Rzecz! — odpowiedział natychmiast jego przeciwnik, pragnąc zabrać to, co uważał za istotę swego istnienia.

Miecz Aubeca uderzył i na ziemię spadła jeszcze jedna ręka. Rzecz dźwignęła znów włócznię, ale i ten cios Elryk odbił. Jeszcze jeden miecz spadł z ogromną siłą na hełm Elryka. Oszołomiony młodzieniec zatoczył się na Rackhira, który chybił ciosu i cztery głowy Węża omal go nie ukąsiły. Elryk uderzył w ramię i mackę trzymającą miecz i wydawało mu się, że odrąbał je od ciała demona, ale już po chwili Rzecz wchłonęła swoją kończynę z powrotem. Powróciły mdłości.

Elryk pchnął mieczem w bezkształtną masę, a ona wrzasnęła ponownie:

— Rzecz! Rzecz! Rzecz!

Elryk pchnął raz jeszcze. Szczęknęły cztery miecze i dwie włócznie, próbujące odeprzeć miecz Aubeca.

— Rzecz!

— To robota Yyrkoona, nie ma co do tego wątpliwości — mruknął Elryk. — Dowiedział się, że go ścigam i korzystając z pomocy swych sprzymierzeńców demonów, próbuje mnie zatrzymać.

Zacisnął zęby i syknął:

— Chyba że jeden z nich to sam Yyrkoon! Czy jesteś moim kuzynem Yyrkonem, Rzecz?

— Rzecz... — zabrzmiał niemal żałośnie głos. Szczęknęła broń, ale nie godziła już w Elryka tak gwałtownie.

— A może jesteś jakimś innym starym, dobrym przyjacielem?

— Rzecz...

Elryk raz po raz kłuł mieczem bezkształtną masę. Trysnęła gęsta, cuchnąca krew i splamiła zbroję Elryka. Nie mógł zrozumieć, dlaczego demon pozwala się tak łatwo atakować.

— Teraz! — zawołał jakiś głos nad głową Elryka. — Szybko!

Elryk spojrział w górę i ujrzał rumianą twarz, białą brodę i machającą rękę.

— Nie patrz na mnie, głupcze! Uderzaj, teraz!

Elryk ujął rękojeść miecza w obie dłonie i wbił ostrze głęboko w ciało demona. Stworzenie jęknęło, zaszlochało i szepnęło tylko jedno słowo:

— Frank...

W tej samej chwili miecz Rackhira prześlizgnął się między ostatnimi głowami Węża, przebijając pierś i serce młodzieńca. I ten demon padł martwy.

Siwowłosa mężczyzna zląził powoli ze zrujnowanej bramy, nad którą przed chwilą siedział. Śmiał się.

— Czary Niuna ciągle jeszcze są coś warte! Działają nawet tutaj, prawda? Słyszałem, jak jeden taki wysoki zwoływał swych przyjaciół — demony i tłumaczył im, jak was zaatakować. Wydawało mi się, że to niesprawiedliwe, gdy pięciu walczy przeciwko dwóm. Usiadłem więc na szczycie tej bramy i odbierałem siły wielorękiemu demonowi. Wciąż jeszcze to potrafię! Teraz przejąłem jego siły, a przynajmniej dobrą ich część, i czuję się o wiele lepiej niż kilka księżyców temu... Jeśli w ogóle istnieje taka Rzecz jak księżyc.

— Rzecz powiedziała „Frank” — odezwał się Elryk, marszcząc brwi. — Czy to imię? Jej dawne imię?

— Być może — odparł stary Niun. — Być może. Biedne stworzenie. Teraz jednak już nie żyje. Nie jesteście z Ameerona, choć przypominam sobie, że ciebie, Czerwony, widziałem tu przedtem.

— I ja cię widziałem — powiedział z uśmiechem Rackhir. Podniósł z ziemi jedną z głów Węża i wytarł nią z krwi swój miecz. — Ty jesteś Niun, Który Wiedział Wszystko.

— Tak, Ten, Który Wiedział Wszystko, a który teraz wie bardzo mało. Wkrótce nie będę już pamiętał nic. Wówczas pozwolą mi wrócić z tego straszego wygnania. Taki układ zawarłem z Orlandem od Berła. Byłem głupcem, który pragnął wiedzieć wszystko. Ciekawość wplątała mnie w przygodę, która zaniepokoiła Orlanda. Wykazał mi błędność mojego postępowania i zesłał mnie tutaj, bym zapomniał. Niestety, jak zauważyliście, od czasu do czasu przypominam sobie niektóre swoje dawne umiejętności i okruchy wiedzy. Wiem, że szukacie Czarnych Mieczów. Wiem, że jesteś Elrykiem z Melniboné. Wiem też, co się z tobą stanie.

— Znasz moje przeznaczenie? — zapytał Elryk. — Opowiedz mi o nim, Niunie.

Niun otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale po chwili zacisnął je mocno.

— Nie. — Potrząsnął głową. — Zapomniałem.

— Nie! — Elryk uczynił ruch, jakby chciał pochwycić starego człowieka za ramiona i potrząsnąć nim mocno. — Nie! Ty pamiętasz! Widzę, że pamiętasz!

— Zapomniałem. — Niun opuścił głowę. Rackhir przytrzymał mocno rękę Elryka.

— On zapomniał, Elryku.

Elryk skinął głową. Milczał przez chwilę, zanim podjął dalej.

— Ale pamiętasz zapewne, gdzie znajduje się Tunel Pod Moczarami?

— Tak. Same Moczary leżą niedaleko Ameeron. Pójdziecie tamtą drogą. Potem poszukacie wyrzeźbionego w czarnym marmurze obelisku w kształcie orła. U jego stóp znajduje się wejście do Tunelu. — Niun powtarzał te słowa jak papuga, a gdy podniósł wzrok, jego twarz była spokojniejsza. — Co wam przed chwilą powiedziałem?

— Dałeś nam wskazówki, jak znaleźć wejście do Tunelu Pod Moczarami — powiedział Elryk.

— Naprawdę! — Niun klasnął w ręce. — Wspaniale. Teraz i o tym zapomniałem. Kim jesteście?

— O nas najlepiej zapomnieć — powiedział Rackhir z łagodnym uśmiechem. — Żegnaj, Niun. Dziękuję ci.

— Za co mi dziękujesz?

— Za to, że pamiętałeś i za to, że zapomniałeś. Ruszyli dalej przez żałosne Ameeron, zostawiając za sobą szczęśliwego starego czarnoksiężnika. Po drodze widzieli wiele dziwnych twarzy, przyglądających się im z drzwi i okien. Szli, starając się jak najmniej oddychać cuchnącym powietrzem.

— Sądzę, że tylko jednemu Niunowi w tym zapomnianym przez boga i ludzi mieście mógłbym zazdrościć — rzekł Rackhir.

— Żal mi go — odparł Elryk.

— Dlaczego?

— Przyszło mi na myśl, że kiedy już zapomni o wszystkim, może też nie pamiętać, że wolno mu opuścić Ameeron.

Rackhir roześmiał się i klepnął albinosa w okryte czarną zbroją plecy.

— Nie jesteś zbyt wesołym towarzyszem, przyjacielu Elryku. Czy wszystkie twoje myśli są równie pozbawione nadziei?

— Boję się, że ku temu zmierzają — odparł Elryk i na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

Rozdział 3

TUNEL POD MOCZARAMI

Wędrowali długo przez posępne i mroczne pustkowie, aż w końcu dotarli do moczarów. Wszystko miało tu czarną barwę. Bagno porastały tu i ówdzie kępy czarnych kolczastych roślin. Było zimno i wilgotno; tuż nad powierzchnią moczarów snuła się ciemna mgła, wśród której przemykały czasem niewielkie postacie. We mgle majaczył masywny czarny obiekt, zapewne opisany przez Niuna obelisk.

— Obelisk — powiedział Rackhir. Przystanął i oparł się na swym łuku. — Wznosi się dokładnie pośrodku bagna i nie widać, by wiodła tam jakaś ścieżka. To dla nas problem. Nie sądzisz, przyjacielu Elryku?

Elryk z trudem przedarł się na brzeg bagna. Poczuł, że zimny szlam oblepia mu stopy. Wiele wysiłku kosztowało go cofnięcie się.

— Musi być jakaś ścieżka — stwierdził Rackhir, pocierając palcem kościsty nos. — Jakże inaczej mógłby przejść tędy twój kuzyn?

Elryk obejrzał się na Czerwonego Łucznika i wzruszył ramionami.

— Kto wie? Może podróżuje w towarzystwie mocy czarnoksiężskich, którym przebycie bagna nie sprawia żadnych trudności?

Naraz pod Elrykiem ugięły się nogi. Przysiadł na wilgotnej skale. Przez chwilę wydawało się, że zaleje go słona bagienna woda. Poczuł ogarniającą go niemoc. Działanie narkotyków, które po raz ostatni przyjął, przechodząc przez Wrota Cienia, było coraz słabsze. Rackhir zbliżył się i stanął obok albinosa. Uśmiechnął się z żartobliwym współczuciem.

— I cóż, panie czarnoksiężniku, czyżbyś nie mógł uciec się do pomocy magii?

Elryk potrząsnął głową.

— Niewiele wiem o praktyce wzywania demonów niższej rangi. Yyrkoon ma ze sobą wszystkie swe magiczne księgi, wszystkie ulubione zaklęcia, które otwierają mu światy demonów. Jeśli chcemy dotrzeć do tego obelisku, musimy poszukać zwykłej ścieżki, Wojowniku Kapłanie z Phum.

Rackhir wyjął z fałdów swej tuniki czerwoną chustkę i przez dłuższą chwilę wycierał nos. Skończywszy, wyciągnął rękę, pomógł Elrykowi wstać. Ruszyli

obaj brzegiem moczaru, nie tracąc z oczu obelisku.

Znaleźli wreszcie ścieżkę. Nie była to zwyczajna droga, lecz ciągnąca się w głąb ponurych bagien płyta czarnego marmuru, śliska i powleczone warstewką szlamu.

— Jestem niemal pewien, że to zdradliwe przejście, że wabi nas, byśmy szli ku niechybnej śmierci — powiedział Rackhir, gdy przystanęli, patrząc na marmur. — Cóż jednak mamy do stracenia?

— Chodź — rzekł Elryk, wchodząc ostrożnie na płytę. W rękę trzymał wiązkę sypiących iskrami trzciny, które zastępowały im pochodnię. Dawały nieprzyjemne, żółte światło i mnóstwo zielonkawego dymu, było to jednak lepsze niż nic.

Rackhir szedł tuż za nim, badając drogę przed sobą końcem łuku. Posuwał się wolno naprzód, pogwizdując cicho skomplikowaną melodię. Ktoś pochodzący z jego kraju rozpoznałby w niej „Pieśń Syna Bohatera Wyższych Piekieł, który gotów jest poświęcić swoje życie”. Była to popularna w Phum pieśń, zwłaszcza w kręgach Wojowników Kapłanów.

Melodia irytowała Elryka i przeszkadzała mu. Nic jednak nie mówił, całą swoją uwagę poświęcając temu, by utrzymać równowagę na śliskiej powierzchni. Płyta zdawała się lekko kołysać, tak jakby pływała po powierzchni bagna.

Byli już w połowie drogi do obelisku. Teraz widać go było wyraźnie. Przed nimi wznosił się orzeł z rozpostartymi skrzydłami. Szeroko otwarty dziób i zakrzywione szpony wskazywały, że ptak gotuje się do zadania ciosu. Wykuty był z takiego samego czarnego marmuru jak ten, po którym teraz chwiejnie stąpali. Elrykowi przypominał grobowiec. Czyżby pochowano tu jakiegoś starożytnego bohatera? A może grobowiec został wybudowany specjalnie po to, by przechować tu Czarne Miecze? By uwięzić je, tak aby nigdy już nie wróciły do świata ludzi i nie kradły ludzkich dusz?

Płyta zakołysała się. Próbując utrzymać się na nogach, Elryk zaczął wymachiwać gwałtownie pochodnią. Zachwiał się jednak, poślizgnął i wpadł w bagno. Natychmiast ugrzązł po kolana. Zaczął tonąć. W świetle kurczowo trzymanej w rękę pochodni widział czerwono odzianego łucznika, który wypatrywał go przed sobą.

— Elryku, toniesz?

— Tak. Bagno zamierza mnie chyba pochłoniąć.

— Czy możesz położyć się na płask?

— Mogę położyć się na brzuchu, ale nogi mam uwięzione.

Elryk spróbował poruszyć się w gęstym błocie, cisnącym go ze wszystkich stron. Coś przemknęło przed jego twarzą, wydając podobny do stłumionego mamrotania odgłos. Elryk robił wszystko, by opanować ogarniający go strach.

— Myślę, że musisz pogodzić się z tym, że odchodzę, Rackhirze.

— Co? I stracić możliwość wydostania się z tego świata? Masz mnie chyba za bardziej bezinteresownego niż jestem, Elryku. Tutaj. — Rackhir pochylił się ostrożnie nad płytą i wyciągnął rękę do Elryka.

Obaj byli teraz oblepieni szlamem i drżeli z zimna. Rackhir wyciągał rękę coraz dalej, a Elryk pochylał się do przodu z całą swą siłą, by ją uchwycić, nie mógł jednak tak daleko sięgnąć. Z każdą sekundą zapadał się coraz głębiej w lepkie błoto bagna. Wówczas Rackhir podniósł łuk i pchnął go w stronę Elryka.

— Chwyć się łuku, Elryku!

Wyciągając się do przodu i naprężając każdy mięsień swego ciała, Elryk zdołał wreszcie zaczepić końcami palców o łuk.

— Teraz muszę... Aa!

Rackhir, ciągnąc ku sobie łuk spostrzegł, że sam traci oparcie pod stopami. Płyta zaczęła się kołysać jak szalona. Wysunął rękę, by uchwycić jej brzeg, drugą dłoń wciąż zaciskał na haku.

— Pośpiesz się, Elryku! Pośpiesz się! — wychrypiał. Elryk mozolnie wygrzebywał się z błota. Płyta kołysała się nadal i twarz Rackhira była niemal tak blada jak twarz Elryka. Czerwony Łucznik robił wszystko, by utrzymać łuk, a zarazem nie dopuścić, by brzeg płyty wysunął mu się z rąk. W chwilę później ociekający błotem Elryk zdołał się przesunąć i wczołgać na płytę. Nie wypuścił z ręki pochodni. Długą chwilę leżał nieruchomo i dyszał ciężko. I Rackhir z trudem chwycił otwartymi ustami powietrze, a mimo to roześmiał się.

— Ależ wielką rybę złowiłem — rzekł. — Mógłbym pójść o zakład, że jak dotąd największą!

— Dziękuję ci, Wojowniku Kapłanie z Phum. Ocaliłeś mi życie — odezwał się po chwili Elryk. — I przysięgam, że jeśli powiesz mi się w poszukiwaniach i zostaną mi po tym jeszcze siły, przeprowadzę cię przez Wrota Cienia z powrotem do naszego świata.

Rackhir wzruszył ramionami i uśmiechnął się szeroko.

— Proponuję teraz — rzekł — byśmy dalszą część drogi do obelisku odbyli na kolanach. Być może nasza godność nieco na tym ucierpi, ale ten sposób poruszania się jest tu na pewno bezpieczniejszy. Poza tym nie musimy czołgać się daleko.

Elryk skinął głową na znak zgody.

Droga w ciemności nie zabrała im wiele czasu. Dobrnęli do małej, porosłej mchem wysepki, na której stał Obelisk Orła. Ogromny i ciężki górował nad nimi, godząc w mroczne niebo czy może strop jaskini. U stóp cokołu ujrzeli niskie wejście. Było otwarte.

— Pułapka? — zastanawiał się Rackhir.

— A może Yyrkoon przypuszcza, że zginęliśmy w Ameeron? — odparł Elryk, próbując oczyścić się z błota. Westchnął. — Wejdzmy i niech się to już skończy.

Weszli i znaleźli się w małej salce. Elryk uniósł pochodnię i w jej mdłym świetle ujrzął jeszcze jedno wejście. W pozostałej części pomieszczenia nie zobaczyli niczego szczególnego. Wszystkie ściany wykute były z takiego samego, słabo połyskującego marmuru. Panowała tu całkowita cisza.

Żaden z nich nie odezwał się ani słowem. Zdecydowanym krokiem skierowali się ku następnemu wejściu. Znaleźli za nim opadające spiralnie stopnie. Schodzili coraz niżej i niżej, ku zupełnej ciemności.

Przez długi czas szli w milczeniu po kamiennych stopniach, aż w końcu stanęli u podnóża schodów. Ujrzeni nieregularne wejście do niskiego korytarza, który wyglądał bardziej na twór natury niż dzieło człowieka. Ze sklepienia z regularnością uderzeń serca kapała wilgoć, odbijając się pogłębionym dźwiękiem gdzieś daleko w tunelu i powracając stamtąd przytłumionym echem.

— Bez wątplenia jest to tunel — orzekł Czerwony Łucznik. — I nie ulega wątpliwości, że wiedzie pod moczarami.

Elryk wyczuł, że Rackhir równie niechętnie jak on patrzy w mrok tunelu. Stał trzymając wysoko dymiącą pochodnię i nasłuchiwał odgłosu spadających kropli, próbując rozpoznać drugi dźwięk, dochodzący słabo z głębi.

Wreszcie, przewyciężając opór, uczynił pierwszy krok, wbiegając niemal do korytarza. Uszy wypełniał mu szum i dźwięk ten równie dobrze mógł mieć źródło w jego głowie, jak i w dowolnym miejscu tunelu. Słyszał za sobą kroki Rackhira. Wyciągnął w biegu swój miecz, miecz dawnego bohatera Aubeca. Słyszał, jak jego głośny oddech odbija się echem od ścian, dołączając do wielu innych, rozbrzmiewających tam odgłosów. Elryk zadrżał, ale nie zwolnił kroku.

W tunelu było ciepło. Czuł pod stopami gąbczaste podłoże. W powietrzu utrzymywał się zapach solanki. Ściany były teraz gładkie; zdawały się drgać szybko i rytmicznie. Z tyłu doszło go westchnienie Rackhira. Łucznik również dostrzegł szczególną naturę przejścia.

— Wygląda jak żywe ciało — mruknął Wojownik Kapłan z Phum. — Zupełnie jak ciało.

Elryk nie zdobył się na odpowiedź. Całą siłą woli parł do przodu. Dygotał w ogarniającym go przerażeniu; pocił się, a nogi uginały się pod nim. Z trudem utrzymywał w dłoni miecz; bał się, że za chwilę go upuści. W jego myślach pojawiały się fragmenty wspomnień, blade i zatarte. Czy był tu już kiedyś? Trząśnięcie coraz mocniej i żołądek podchodził mu do gardła. Potykał się, ale szedł wciąż naprzód, oświetlając sobie drogę pochodnią. Nagle łagodny, miarowy szum przybrał na sile i w oddali ujrzał mały, niemal okrągły otwór. Przystanął niezdecydowany.

— Tunel się kończy — szepnął Rackhir. — Nie ma stąd wyjścia.

Szczelina pulsowała szybkimi, mocnymi uderzeniami.

— Pulsująca Jaskinia — szepnął Elryk. — To właśnie mieliśmy znaleźć na końcu Tunelu Pod Moczarami. To musi być wejście, Rackhirze.

— Jest zbyt małe, człowiek tędy nie przejdzie — zauważył Rackhir.

Elryk szedł wolno, krok za krokiem, aż stanął obok otworu. Wsunął miecz do pochwy. Wręczył pochodnię Rackhirowi i, nim ten zdążył go zatrzymać, wsunął głowę do otworu, po czym zaczął przeciskać przezeń resztę ciała. Brzegi szczeliny rozwarły się na moment, by znów się za nim zamknąć, odgradzając go od

Rackhira.

Powoli dźwignął się na nogi. Ściany emanowały słabą różowawą poświatą. Na wprost niego otwierało się drugie wejście, nieco tylko większe od tego, przez które przeszedł. Powietrze było tu ciepłe, gęste i słone. Oddychał z trudem. W głowie mu tętniło, bolało go całe ciało. Zarówno myśli, jak i ciało miał niemal sparaliżowane, posuwał się jednak wciąż naprzód. Na drżących nogach zbliżył się do kolejnego otworu. Potężne, głuche pulsowanie brzmiało w jego uszach coraz głośniejsze.

— Elryku!

Za nim stał blade i spocony Rackhir. Elryk oblizał suche wargi, próbując coś powiedzieć. Rackhir podszedł bliżej.

— Powiedziałem, że pomogę.

— Tak, ale...

— Powiniennem więc pomagać.

Elryk nie miał siły na sprzeczkę. Skinął tylko głową i rozchylił rękami brzegi drugiego otworu. Ujrzał, że wiedzie do kolistej jaskini, której ściany drgają rytmicznym pulsowaniem. W powietrzu, niczym nie podtrzymywane, wisiały dwa miecze. Dwa identyczne miecze — ogromne, czarne, wspaniałe.

Pod wiszącymi mieczami stał książę Yyrkoon z Melniboné. Wyciągał do nich ręce, pożerając je wzrokiem. Jego twarz pałała żądzą. Poruszał wargami, lecz nie padło z nich ani jedno słowo.

Elryk, który przedostał się właśnie do jaskini i stanął na drgającym podłożu, wy dobył z siebie tylko jedno.

— Nie — powiedział.

Yyrkoon usłyszał. Odwrócił się z przerażeniem na twarzy. Wrzasnął dziko, ujrawszy Elryka. W okrzyku, jaki padł z jego ust, była czysta wściekłość.

— Nie!

Elryk z trudem wyciągnął z pochwy miecz Aubeca. Wydawał mu się zbyt ciężki, by mógł trzymać go prosto. Ostrze ciążyło ku dnu jaskini i ramię Elryka zwiśło bezwładnie wzdłuż boku. Zacerpnął głęboko gęstego powietrza. Widział wszystko przez ciężką mgłę, w której Yyrkoon był jedynie cieniem. Wyraźnie widział tylko dwa czarne miecze. Nieruchome i chłodne wisiały pośrodku kolistej jaskini. Wyczuł, że Rackhir wszedł do jaskini i stanął obok niego.

— Yyrkoon — odezwał się po chwili Elryk. — Te miecze są moje.

Yyrkoon uśmiechnął się i wyciągnął rękę. Z mieczy wydobywał się osobliwy, jęczący dźwięk i sączyło z nich nikłe czarne światło. Elryk zobaczył wyryte na nich runy i poczuł przerażenie.

Rackhir nałożył strzałę na łuk i napiął cięciwę, mierząc w księcia Yyrkoona.

— Powiedz mi tylko Elryku, czy on ma umrzeć.

— Zabij go — skinął głową Elryk. I Rackhir zwolnił cięciwę.

Ale strzała płynęła bardzo wolno, po czym zawisła w powietrzu w połowie drogi między łucznikiem a jego niedoszłą ofiarą.

Yrkoon odwrócił się z upiornym grymasem na twarzy.

— Broń śmiertelnych jest tu bezużyteczna — powiedział.

Elryk odwrócił się do Rackhira.

— On z pewnością ma rację, a twoje życie jest w niebezpieczeństwie. Idź. . .

Rackhir rzucił mu zagadkowe spojrzenie.

— Nie! Muszę tu zostać i pomóc ci. Elryk potrząsnął głową.

— Nie możesz mi pomóc. Zginiesz, jeśli tu pozostaniesz. Idź. . .

Czerwony Łucznik z ociąganiem zdjął cięciwę z łuku. Obrzucił nieufnym spojrzeniem czarne miecze, po czym przecisnął się przez szczelinę i zniknął.

— A teraz, Yrkoonie, musimy to rozstrzygnąć. Ty i ja — powiedział Elryk, rzucając miecz Aubeca na ziemię.

Rozdział 4

CZARNE MIECZE

Zwiastun Burzy i Żałobne Ostrze, dwa runiczne miecze opuściły miejsce, w którym tak długo wisiały. Elryk trzymał w dłoni Zwiastuna Burzy, a Yyrkoon unosił przed sobą Żałobne Ostrze. Stali po przeciwnych stronach jaskini, obserwując najpierw siebie, a potem miecze, które trzymali w dłoniach.

Miecze śpiewały. Ich głosy były ciche, lecz mimo to słychać je było wyraźnie. Elryk bez trudu uniósł ogromne ostrze i obejrzał je uważnie, podziwiając jego nieziemskie piękno.

— Zwiastun Burzy — powiedział.

I naraz uczuł lęk. Doznał uczucia, jakby narodził się po raz drugi, a runiczny miecz urodził się razem z nim. Tak jakby zawsze byli ze sobą złączeni.

— Zwiastun Burzy. . .

Miecz zaśpiewał słodko i przylgnął mocniej do jego dłoni.

— Zwiastunie Burzy! — krzyknął Elryk i skoczył w stronę swego kuzyna.

— Zwiastunie Burzy!

Bał się. Strach niósł jednak ze sobą jakąś trudną do opisanego rozkosz, jakąś demoniczną potrzebę walki. Pragnął zabić Yyrkoona, zatopić ostrze głęboko w jego sercu. Zemścić się, przelać krew. Posłać jego duszę do piekieł.

Ponad śpiew mieczy, ponad huczenie pulsującej jaskini wybił się teraz krzyk Yyrkoona.

— Żałobne Ostrze!

I Żałobne Ostrze skoczył na spotkanie Zwiastuna Burzy. Yyrkoon sparował jego cios i uderzył w Elryka, który zachwiał się, ale poprowadził swój miecz dołem i zadał cios, odrzucając na chwilę Yyrkoona do tyłu. Ale już następny cios Zwiastuna Burzy spotkał się z odpowiedzią. I następny. Jeśli szermierze dorównywali sobie, to samo można było powiedzieć o ich mieczach. Zdawały się posługiwać swoją własną wolą, choć pozornie spełniały polecenia swych panów.

Uderzenia metalu o metal brzmiały jak szalona pieśń. Śpiewały ją miecze. To była radosna pieśń. Walka, nawet jeśli walczyły przeciwko sobie, sprawiała im

ogromną radość.

Elryk niemal zupełnie nie zwracał uwagi na Yyrkoona. Czasami tylko migała mu przed oczami jego mroczna, dzika twarz. Całą swą uwagę skupił na dwóch czarnych mieczach. Wydawało się, że niczym o nagrodę walczą o życie jednego, a może nawet obu szermierzy. Rywalizacja między Elrykiem a Yyrkoonem zdawała się nie mieć nic wspólnego z braterską rywalizacją mieczy, które po tysiącletnich beczynności czerpały radość z samej możliwości zmierzenia się.

Była to walka o życie i o zachowanie duszy, ale dzięki temu spostrzeżeniu Elryk zaczął się zastanawiać nad swą nienawiścią do Yyrkoona.

Zabić Yyrkoona — tak, jednak nie dla wypełnienia woli innej potęgi. Nie po to, by dostarczyć rozrywki owym cudzoziemskim mieczom.

Żałobne Ostrze próbował sztychem ugodzić Elryka i raz jeszcze Zwiastun Burzy uniósł się, by odeprzeć cios.

Elryk nie walczył już ze swoim kuzynem. Walczył teraz z wolą dwóch czarnych mieczy.

Zwiastun Burzy rzucił się na odsłonięte przez moment gardło Yyrkoona. Elryk przytrzymał go kurczowo i szarpnął do tyłu, ratując życie księcia. Miecz zajęczał rozdrażniony niczym pies, którego odciągnięto od natręta właśnie wtedy, gdy miał go ugryźć.

— Nie będę twoją marionetką, runiczny mieczu — mruknął Elryk przez zaciśnięte zęby. — Jeśli mamy działać wspólnie, nie będziesz narzucał mi warunków.

Miecz jakby się zawahał. Odsłonił Elryka, który ledwie zdołał się obronić przed atakiem Żałobnego Ostrza. Ten znów zdawał się wyczuwać swoją przewagę.

Elryk poczuł, jak nowe siły wypełniają jego ramię, a potem całe ciało. To właśnie sprawił ten miecz. Mając go przy sobie nie potrzebował narkotyków; nigdy już nie odczuwałby słabości. Zwyciężyłby w każdej walce. W czasie pokoju rządziłby z godnością. Mógłby wyruszać w drogę samotnie i nie odczuwałby strachu. Miecz zdawał się przypominać mu o tym nawet teraz, gdy atakował i odpowiadał na atak Żałobnego Ostrza. Czego żądał w zamian?

Elryk wiedział. Miecz odpowiedział mu na to milcząco. Zwiastun Burzy potrzebował walki, do tego bowiem został stworzony. Zwiastun Burzy musiał zabić, gdyż życie i dusze ludzi, demonów, a nawet bogów były źródłem jego siły.

Elryk przystanął niezdecydowany, choć jego kuzyn wrzasnął urągliwie i chichocząc głośno, uderzył na niego jak burza. Żałobne Ostrze ciął w jego hełm i ześlizgnął się po nim. Elryk zatoczył się i upadł. Ujrzał, jak Yyrkoon ujmuje w obie ręce swój czarny miecz, by zatopić pokryte runami ostrze w jego ciele. Wiedział, że musi coś uczynić, by odeprzeć ten atak. Jeśli nie, Żałobne Ostrze odbierze mu duszę, a siła, jaka mu jeszcze pozostała, stanie się pokarmem dla siły Yyrkoona.

Błyskawicznie przetoczył się na bok, przyklęknął na jednym kolanie i uniósł Zwiastuna Burzy, trzymając jedną ręką na jego ostrzu, a drugą na rękojeści. Przy-

jął potężny cios Yyrkoona. Dwa czarne miecze krzyknęły wysokimi głosami, jakby poczuły ból. Po ich ostrzach przebiegło drżenie. Trysnęła z nich czarna poświata, jak krew z ugodzonego wieloma strzałami człowieka. Elryk, wciąż na kolanach, odczołgał się jak najdalej od tego światła. Oddychając ciężko, rozglądał się i wypatrywał księcia Yyrkoona. Ten jednak znikł.

I znów Elryk uczuł, że Zwiastun Burzy mówi do niego. Jeśli Elryk nie chce, by Żałobne Ostrze go zabił, musi przyjąć warunki, jakie dyktuje mu Czarny Miecz.

— Nie wolno mu umrzeć! — powtórzył Elryk. — Nie zabiję go, by tobie dostarczyć zabawy.

Yyrkoon wyłonił się zza czarnej poświaty. Biegł ku niemu, z gniewnym pomrukiem na ustach wywijając mieczem. I znów Zwiastun Burzy runął na jego spotkanie, i znów Elryk powstrzymał ostrze, tak że musnęło tylko Yyrkoona. Zwiastun Burzy obrócił się w rękach Elryka.

— Nie będziesz moim panem — rzekł Elryk. Wydawało się, że Zwiastun Burzy zrozumiał. Uspokoił się, jakby godząc się z losem. Elryk zaśmiał się głośno. Pomyślał, że teraz panuje nad runicznym mieczem i odtąd będzie on wykonywał jego rozkazy.

— Musimy rozbroić Yyrkoona — powiedział. — Nie wolno nam go zabić.

Wstał.

Zwiastun Burzy uderzył z lekkością szpady. Stosował zwody, odpierał ciosy, zadawał pchnięcia. Yyrkoon, który do tej pory uśmiechał się triumfalnie, teraz warknął gniewnie i cofnął się. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

Zwiastun Burzy pracował teraz dla Elryka; stanowił przedłużenie jego ramienia. Ruchy miecza były niezwykle precyzyjne — takie właśnie, jakich chciał Elryk. Yyrkoonowi i Żałobnemu Ostrzu taki rozwój wypadków najwyraźniej pokrzyżował plany. Żałobne Ostrze krzyknął, zdumiony zachowaniem brata. Elryk uderzył mieczem w ramię Yyrkoona. Przeciął ubranie, ciało, ścięgnął, przebił kość. Z ręki Yyrkoona trysnęła krew i spłynęła na rękojeść miecza. Splamiona nią rękojeść stała się śliska. Yyrkoon z coraz większym trudem trzymał oręż. Ujął je w obie dłonie, — ale i tak nie mógł go unieść.

Teraz i Elryk wziął Zwiastuna Burzy w obie ręce. Czuł w sobie ogromną siłę. Potężnym ciosem uderzył w Żałobne Ostrze w miejscu, gdzie klinga łączy się z rękojeścią. Runiczny miecz wyleciał z dłoni Yyrkoona i pomknął przez Pulsującą Jaskinię.

Elryk uśmiechnął się. Złamał wolę swego miecza, a potem pokonał jego brata.

Żałobne Ostrze uderzył w ścianę Pulsującej Jaskini. Przez moment pozostawał nieruchomy. Zdawało się, że pokonany miecz śpiewa jękliwie. W chwilę potem Pulsującą Jaskinię wypełnił wysoki krzyk. Rozlała się czerń, przygasiła niesamowite różowe światło jaskini, pochłonęła je.

Gdy światło powróciło, Elryk ujrzał, że u jego stóp leży pochwa; czarna, wykonana z tym samym mistrzostwem co runiczny miecz. Elryk zobaczył też Yyr-

kooną. Powalony na kolana księżę łkał, rozglądając się po jaskini w poszukiwaniu Żałobnego Ostrza. Na Elryka patrzył z przerażeniem, czując nadchodzącą śmierć.

— Żałobne Ostrze — rzucił Yyrkoon z rozpaczą. Wiedział już, że musi umrzeć.

Żałobne Ostrze zniknęło z Pulsującej Jaskini.

— Twój miecz odszedł — powiedział spokojnie Elryk. Yyrkoon zaskowyczał. Poczłogał się w kierunku wejścia do jaskini, ale skurczone, miało teraz wielkość małej monety. Yyrkoon zapłakał. Zwiastun Burzy zadrżał, jakby paliło go pragnienie duszy Yyrkoona.

— Nie zabijaj mnie, Elryku. Nie tym mieczem — zaczął mówić gorączkowo Yyrkoon. — Uczynię wszystko, co zechcesz. Umrę w każdy inny sposób, jaki mi wyznaczysz.

— Jesteśmy ofiarami znowy, kuzynie — odpowiedział Elryk. — To gra, w którą grają bogowie, demony i obdarzone wolą miecze. Wszyscy oni pragną, by jeden z nas zginął. Podejrzewam, że wołają, abyś to był ty. I właśnie dlatego nie zabiję cię tutaj.

Podniósł czarną pochwę i wsunął do niej Zwiastuna Burzy. Miecz uspokoił się. Elryk wziął do ręki starą pochwę i rozejrzał się za mieczem Aubeca, ale i ten zniknął. Odrzucił ją więc, a nową przytroczył do pasa. Oparł lewą rękę na rękojęści Zwiastuna Burzy i spojrzał bez współczucia na swego kuzyna.

— Jesteś glistą, Yyrkoonie. Ale czy to twoja wina?

Yyrkoon spojrzał na niego zdumiony.

— Zastanawiam się, czy byłbyś taki, gdybyś miał wszystko, czego pragniesz.

Yyrkoon uniósł się na kolanach. W jego oczach zaświtała słaba nadzieja. Elryk uśmiechnął się i odetchnął głęboko.

— Zobaczmy — powiedział. — Musisz obudzić Cymoril z jej czarodziej-skiego snu.

— Upokorzyłeś mnie, Elryku — odparł Yyrkoon cichym, żalonym głosem. — Obudzę ją. Ale...

— Czy nie potrafisz zdjąć z niej swego zaklęcia?

— Nie możemy wydostać się z Pulsującej Jaskini. Jest już za późno.

— Co to znaczy?

— Nie sądziłem, że pójdziesz za mną. Potem myślałem, że łatwo sobie z tobą poradzę. A teraz jest już za późno. Można utrzymać wejście otwarte tylko przez krótką chwilę. Wpuści każdego, kto chciałby wejść do Pulsującej Jaskini, ale gdy przestanie działać siła zaklęcia, nikogo nie wypuści. Zapłaciłem wiele, by poznać to zaklęcie.

— Zbyt wiele zapłaciłeś za to wszystko — powiedział Elryk.

Podszedł do wejścia i wyjrzał. Rackhir czekał. Na twarzy Czerwonego Łucz-nika malował się niepokój.

— Wojownik Kapłanie z Phum — zwrócił się do niego Elryk. — Wydaje się, że ja i mój kuzyn jesteśmy tu uwięzieni. Wejście nie otworzy się dla nas. — Zbadała ciepłą, wilgotną ścianę, ale rozchyliła się tylko na szerokość szczeliny. — Możesz przyłączyć się do nas lub wracać. Jeśli dołączysz do nas, podzielisz nasz los.

— Niewiele zyskam, gdy pójdę z powrotem — odparł Rackhir. — Jakie masz szansę?

— Jedną — odrzekł Elryk. — Mogę przywołać mego opiekuna.

— Władcę Chaosu? — Rackhir skrzywił się.

— Tak — powiedział Elryk. — Mówię o Ariochu.

— Arioch? No cóż, on nie dba o zdrajców z Phum.

Rackhir przesunął się bliżej. W otworze pojawiła się najpierw głowa łuczника, potem jego ramiona, aż wreszcie przecisnął się cały do jaskini i wejście natychmiast zamknęło się za nim. Rackhir wstał i zdjął cięciwę ze swego łuku. Pogładził ją.

— Zgodziłem się dzielić twój los. Zaryzykuję wszystko, by uciec z tej płaszczyzny — oświadczył Czerwony Łucznik. — Twój wróg wciąż żyje? — zdumiał się na widok Yyrkoona.

— Tak.

— Zaiste, jesteś łaskawy.

— Może. A może tylko uparty. Nie zabiję go jedynie dlatego, że jakieś nadprzyrodzone siły posługiwały się nim jak pionkiem do zabicia, gdy ja miałem zwyciężyć. Władcy Wyższych Światów nie panują jeszcze całkowicie nade mną i jeśli starczy mi sił, by się im opierać, nie będą mną władać.

Rackhir uśmiechnął się szeroko.

— Podzielam twoje poglądy, choć nie jestem wielkim optymistą, jeśli chodzi o rzeczywistość. Widzę, że masz u pasa jeden z tych czarnych mieczy. Czy nie możesz wyrąbać nim drogi z tej jaskini?

— Nie — odezwał się Yyrkoon ze swego miejsca pod ścianą. — Nic nie może zniszczyć substancji, z jakiej zbudowana jest Pulsująca Jaskinia.

— Wierzę ci — rzekł Elryk — bo i tak nie zamierzam zbyt często używać mojego nowego miecza. Muszę się najpierw nauczyć panować nad nim.

— Więc trzeba wezwać Ariocha — westchnął Rackhir.

— Jeśli to jeszcze możliwe — powiedział Elryk.

— On mnie zabije — dodał Rackhir. Patrzył na Elryka, mając nadzieję, że ten zaprzeczy.

Elryk spojrzał poważnie.

— Być może będę mógł dobić z nim targu. Chciałbym coś wypróbować.

Odwrócił się od Rackhira i Yyrkoona. Przygotował swój umysł. Słał go poprzez rozległe przestrzenie i zawiłe labirynty.

— Ariochu! Ariochu! Pomóż mi, Ariochu! — wołał.

Doznał uczucia, jakby coś go słuchało.

— Ariochu...

I Arioch usłyszał go. Elryk wiedział, że to był Arioch.

Przerażony Rackhir krzyknął coś wysokim głosem. Yyrkoon wrzasnął. Elryk odwrócił się. Obok drugiej ściany pojawiła się straszliwa postać. Czarna i cuchnąca, ociekała śliną. Jej kształty były obce, przerażająco obce.

Czy to Arioch? Niemożliwe! Arioch był piękny... A może taka właśnie jest prawdziwa postać Ariocha — myślał Elryk. Może na tej płaszczyźnie, w tej dziwnej jaskini Arioch nie może oszukiwać tych, którzy na niego patrzyli.

Jednak w chwilę później ohydna postać zniknęła. Przed trzema śmiertelnikami stał piękny młodzieniec o starych jak świat oczach.

— Zdobyłeś miecz, Elryku — powiedział, nie zwracając uwagi na pozostałych. — Gratuluję ci. Ale oszczędziłeś życie swego kuzyna. Dlaczego?

— Niejeden był tego powód — odparł Elryk. — Powiedzmy jednak, że Yyrkoon musi pozostać żywy, by obudzić Cymoril.

Na twarzy Ariocha pojawił się przez moment nikły, tajemniczy uśmiech i Elryk zrozumiał, że uniknął pułapki. Gdyby zabił Yyrkoona, Cymoril nigdy by się nie obudziła.

— A co robisz tu ten marny zdrajca? — Arioch spojrzał chłodno na Rackhira, który usiłował uniknąć wzroku Władcy Chaosu.

— To mój przyjaciel — wyjaśnił Elryk. — Zawarłem z nim umowę. Miał pomóc mi znaleźć Czarny Miecz, w zamian za to ja zabiorę go na naszą płaszczyznę.

— To niemożliwe. Rackhir jest tu wygnańcem. To jego kara.

— On wróci ze mną — stwierdził Elryk. Odczepił od pasa pochwę kryjącą Zwiastuna Burzy i wyciągnął przed sobą miecz. — Inaczej nie wezmę ze sobą tego miecza. Jeśli nam się nie uda, wszyscy pozostaniemy tu na wieczność.

— To nie ma sensu, Elryku. Pomyśl o swoich obowiązkach.

— Już o nich pomyślałem. Taka jest moja decyzja.

Na gładkiej twarzy Ariocha pojawił się cień gniewu.

— Musisz wziąć miecz. To twoje przeznaczenie.

— To ty tak mówisz. Teraz już wiem, że tylko ja mogę nosić ten miecz. Ty, Ariochu, nie możesz, chociaż tego chcesz. Jedynie ja lub podobny do mnie śmiertelnik może zabrać go z Pulsującej Jaskini. Czyż tak nie jest?

— Jesteś mądry, Elryku z Melniboné — mówił Arioch z lekkim podziwem. — Lepszego sługi Chaos nie mógł sobie wymarzyć. Dobrze, ten zdrajca może iść z tobą. Niech jednak przyjmie ostrzeżenie, niech będzie ostrożny. Władcy Chaosu znani są ze swej złośliwości...

— Słyszałem o tym, Ariochu — odezwał się Rackhir.

Arioch nie zwracał uwagi na łucznika.

— Ten człowiek z Phum nie jest w końcu ważny. Chcesz ocalić życie swego kuzyna — niechaj i tak będzie. I to niewiele znaczy. Przeznaczenie może zawierać

w sobie kilka dodatkowych nurtów, a mimo to osiągnąć swój główny cel.

— Skoro tak — rzucił Elryk — zabierz nas z tego miejsca.

— Dokąd?

— Do Melniboné oczywiście, jeśli jesteś tak dobry.

Arioch spojrział z góry na Elryka. Uśmiechnął się niemal czule, jego srebrzysta dłoń musnęła policzek młodzieńca. Arioch był teraz niemal dwa razy wyższy niż zwykle.

— Och, jesteś jednak najwspanialszym z mych niewolników — rzekł Władca Chaosu.

Wtem wszystko wokół nich zawirowało. Rozległ się dźwięk przypominający ryk fal. Powróciło straszne uczucie mdłości. I trzech zmęczeni mężczyźni stali w wielkiej sali tronowej w Imrryrze. Nie było tu nikogo prócz nich i tylko w jednym z kątów snuł się jak dym jakiś czarny kształt, by po chwili zniknąć.

Rackhir przeszedł przez salę i usadowił się ostrożnie na pierwszym schodku u stóp Rubinowego Tronu. Yyrkoon i Elryk pozostali na swoich miejscach, patrząc sobie w oczy. Po chwili Elryk roześmiał się i klepnął miecz wiszący mu u pasa.

— Teraz musisz dotrzymać swych przysiąg, kuzynie. A potem mam dla ciebie pewną propozycję.

— To zupełnie jak rynek — zauważył Rackhir, opierając się na łokciu i oglądając pióro swego czerwonego kapelusza. — Tak wiele tu transakcji!

Rozdział 5

MIŁOSIERDZIE BIAŁOLICEGO

Wyczerpany Yyrkoon odstąpił od łoża swej siostry. Jego twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu, a głos brzmiał obojętnie, gdy oświadczył:

— Skończone.

Odwrócił się i spojrział przez okno na wieże Imrryru, na port, gdzie stały na powrót zakotwiczone złociste barki wojenne. Między nimi stał okręt, który król Straasha podarował Elrykowi.

— Obudzi się za chwilę — dodał pustym głosem.

Dyvim Tvar i Czerwony Łucznik spojrzeli badawczo na Elryka, który klęczał obok łoża, wpatrując się w Cymoril. Jej twarz stawała się coraz spokojniejsza i przez jedną okropną chwilę podejrzewał, że księżę Yyrkoon oszukał go i zabił Cymoril. Ale wkrótce jej powieki poruszyły się. Otworzyła oczy, zobaczyła go i uśmiechnęła się.

— Elryk? To sen... Czy jesteś bezpieczny?

— Jestem bezpieczny, Cymoril. I ty także.

— Yyrkoon?

— To on cię obudził.

— Ale przysięgałeś, że go zabijesz...

— Pozostawałem pod wpływem czarów, podobnie jak ty. Płatały mi się myśli. Wciąż mi się płaczą w niektórych sprawach. Yyrkoon zmienił się. Pokonałem go. Nie wątpi już w moją potęgę. Nie pragnie uzurpować sobie władzy.

— Jesteś pełen miłosierdzia, Elryku — odgarnęła z twarzy swe krucze włosy.

Elryk i Rackhir wymienili spojrzenia.

— Może to wcale nie litość mną kieruje — rzekł Elryk. — Może to poczucie więzi z Yyrkoonem.

— Więzi? Ależ nie możesz odczuwać...

— Obaj jesteśmy śmiertelni. Obaj byliśmy ofiarami gry, jaką rozgrywali między sobą Władcy Wyższych Światów. Muszę wszak pozostać wierny swemu gatunkowi. Właśnie dlatego przestałem nienawidzić Yyrkoona.

— To właśnie jest miłosierdzie — powiedziała Cymoril.

Yyrkoon podszedł do drzwi.

— Czy mogę odejść, cesarzu?

Elrykowi wydało się, że dostrzegł dziwny błysk w oczach kuzyna. Może była to pokora, a może rozpacz. Skinął głową. Yyrkoon wyszedł z komnaty, zamykając cicho drzwi.

— Nie ufaj Yyrkoonowi, Elryku — odezwał się Dyvim Tvar. — On znów cię zdradzi. — Pan Smoczycy Jaskiń był zaniepokojony.

— Nie — odparł Elryk. — Nawet jeśli nie boi się mnie, lęka się miecza, który teraz noszę.

— I ty powinieneś się go obawiać — zauważył Dyvim Tvar.

— Nie — powtórzył Elryk. — Jestem panem tego miecza.

Dyvim Tvar otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale potrząsnął głową niemal z żalem i skłonił się. Obaj z Rackhirem zostawili Elryka i Cymoril samych.

Cymoril objęła Elryka. Pocałowali się. Zapłakali.

Przez tydzień trwały w Melniboné uroczystości. Prawie wszystkie okręty, ludzie i smoki powróciły już. Wrócił też Elryk, dowodząc swych praw do tronu w taki sposób, że wszystkie dziwaczne cechy jego charakteru, z których najbardziej zdumiewające było miłosierdzie, zostały zaakceptowane przez lud.

W sali tronowej znów odbywał się bal. Najwspanialszy spośród tych, jakie pamiętali dworzanie. Elryk tańczył z Cymoril. Bawił się doskonale. Jeden tylko Yyrkoon nie brał udziału w zabawie. Zasył się w cichy kąt pod galerią muzyków. Nikt z gości nie zwracał na niego uwagi. Rackhir, Czerwony Łucznik tańczył z kilkoma naraz damami i umawiał się na spotkania z nimi wszystkimi. Był traktowany w Melniboné jak bohater. Tańczył i Dyvim Tvar, choć jego oczy często przybierały wyraz zamyślenia, gdy wzrok jego padał na księcia Yyrkoon.

Później, gdy rozpoczęła się uczta, Elryk i Cymoril zasiedli na podeście u stóp Rubinowego Tronu.

— Czy chcesz zostać cesarzową, Cymoril?

— Wiesz, że wyjdę za ciebie, Elryku. Znamy się przecież od wielu lat.

— Zostaniesz więc moją żoną?

— Tak — roześmiała się, bo sądziła, że żartuje.

— I przynajmniej przez rok nie będziesz cesarzową?

— Co masz na myśli, panie?

— Muszę odejść z Melniboné na rok, Cymoril. To, czego nauczyłem się w ciągu minionych miesięcy, skłania mnie do podjęcia podróży do Młodych Królestw. Chcę zobaczyć, jak rządzą się inne narody. Myślę bowiem, że Melniboné, jeśli ma przetrwać, musi się zmienić. Dysponując swą ogromną potęgą, może uczynić na świecie wiele dobra.

— Dobra? — Cymoril zdumiała się, a w jej głosie dało się słyszeć zaniepokojenie. — Melniboné nigdy nie czyniło dobra ani zła. Istniało tylko dla samego siebie i dla zaspokojenia swoich pragnień.

— Chciałbym dożyć w nim zmian.

— Chcesz zmieniać wszystko?

— Zamierzam podróżować po świecie. Potem zadecyduję, czy jest sens coś zmieniać. Władcy Wyższych Światów chcą ingerować w życie na naszej płaszczyźnie. Chociaż pomogli mi, obawiam się ich. Chciałbym przekonać się, czy ludzie mogą sami kierować swoimi sprawami.

— I odejdziesz! — Jej oczy napełniły się łzami. — Kiedy?

— Jutro, razem z Rackhirem. Weźmiemy okręt króla Straashy i popłyniemy na Wyspę Purpurowych Miast, gdzie Rackhir ma przyjaciół. Czy pojedziesz ze mną?

— Nie mogę sobie tego wyobrazić, nie mogę. Och, Elryku, dlaczego niszczysz nasze szczęście?

— Ponieważ czuję, że to szczęście nie może trwać, dopóki nie dowiemy się, kim jesteśmy naprawdę.

Zmarszczyła brwi.

— Musisz więc to odkryć, jeśli takie jest twoje życzenie — powiedziała w zadumie. — Ale będziesz to robił sam, Elryku. Ja nie mam takich pragnień. Sam pójdziesz do tych barbarzyńskich krajów.

— Nie będziesz mi towarzyszyć?

— To niemożliwe. Ja należę do Melniboné — westchnęła. — Kocham cię, Elryku.

— I ja cię kocham, Cymoril.

— Pobierzemy się więc po twoim powrocie. Za rok.

Elryk czuł ogromny żal, ale wiedział, że jego decyzja była słuszna. Gdyby nie odszedł, stałby się wkrótce niespokojny. Niecierpliwiłby się coraz bardziej i w końcu uznałby Cymoril za wroga — za kogoś, kto go złapał w pułapkę.

— Musisz rządzić jak cesarzowa, dopóki nie wrócę — rzekł.

— Nie, Elryku. Nie mogę wziąć na siebie takiej odpowiedzialności.

— A zatem, kto? Dyvim Tvar?

— Znam Dyvima Tvara. Nie przyjmie takiej władzy. Może Magum Colim. . .

— Nie.

— A więc musisz zostać, Elryku.

Spojrzenie Elryka powędrowało wśród tłumu zapelniającego salę tronową i zatrzymało się na samotnej postaci pod galerią muzyczną.

— A zatem musi to być Yyrkoon — uśmiechnął się ironicznie Elryk.

— Nie, Elryku! — wykrzyknęła przerażona Cymoril. — On nadużyje tej mocy.

— Nie teraz. On jest jedynym, który chciał być cesarzem. Teraz może przez rok sprawować rządy w moim imieniu. Jeśli będzie rządził dobrze, rozważę może, czy nie abdykować na jego korzyść. Jeśli będzie rządził źle, dowiedzie raz na zawsze, że jego ambicje skierowane były w niewłaściwą stronę.

— Kocham cię, Elryku — powiedziała Cymoril. — Okażesz się jednak głupcem, a może nawet zbrodniarzem, jeśli znów zaufasz Yyrkoonowi.

— Nie — potrząsnął głową. — Nie jestem głupcem. Jestem po prostu Elrykiem. Nic na to nie poradzę, Cymoril.

— Jesteś Elrykiem, którego kocham! — krzyknęła. — Ale Elryk jest skazany! Wszyscy będziemy skazani, jeśli stąd odejdziesz!

— Nie mogę zostać. Kocham cię, Cymoril, i dlatego nie mogę.

Wstała i zapłakała. Przegrała.

— A ja jestem po prostu Cymoril. Zniszczysz nas oboje — jej głos złagodniał. Musnęła dłonią jego włosy. — Zniszczysz nas, Elryku.

— Nie — rzekł z mocą. — Zbuduję coś, co będzie lepsze. Poznam wszystko, co tylko można poznać. Kiedy wrócę, pobierzemy się, będziemy żyć długo i będziemy szczęśliwi, Cymoril.

I właśnie teraz trzykrotnie skłamał. Pierwsze kłamstwo dotyczyło jego kuzyna Yyrkoona. Drugie dotyczyło Czarnego Miecza, a trzecie Cymoril. Na tych trzech kłamstwach zbudowane zostało jego przeznaczenie. Bowiem jedynie w tym, co dotyczy nas najgłębiej, potrafimy kłamać pewnie i z pełnym przekonaniem.

EPILOG

Był to port zwany Menii, jedno z najmniej znaczących i najprzyjaźniejszych Purpurowych Miast. Podobnie jak inne na tej wyspie, zbudowane zostało z czerwonego kamienia, który nadał tu nazwę wszystkim miastom. Nawet dachy domów były czerwone. W porcie stało wiele najprzeróżniejszych łodzi o jasnych żaglach. Wczesnym rankiem Elryk i Rackhir, Czerwony Łucznik, przybili do brzegu. Zaledwie kilku żeglarzy spieszyło o tej porze do swoich statków.

Cudowny okręt króla Straashy spoczywał niedaleko nabrzeża. Małą łodzią dopłynęli do miasta. Odwrócili się i popatrzyli na statek. Żeglowali nim sami, bez załogi, i spisywał się doskonale.

— A zatem muszę teraz szukać spokoju i mitycznego Tanelorn — odezwał się Rackhir, jakby trochę kpiąc z samego siebie. Przeciągnął się i ziewnął szeroko, aż łuk i kołczan podskoczyły mu na plecach.

Elryk miał na sobie prosty strój, jaki mógł nosić każdy najemny żołnierz z Młodych Królestw. Był w dobrym nastroju, czuł się wypoczęty. Uśmiechał się, patrząc na słońce. Jedyne co uderzało w jego stroju, to wielki czarny miecz u jego boku. Odkąd go nosił, niepotrzebne mu były środki pobudzające.

— A ja muszę szukać wiedzy w krajach, które zaznaczone są na mojej mapie — rzekł. — Muszę się uczyć. Całą zdobytą wiedzę przyniosę w końcu roku do Melniboné. Chciałbym, by towarzyszyła mi Cymoril, ale rozumiem jej niechęć do wyjazdu.

— Wrócisz? — zapytał Rackhir. — W końcu roku?

— Ona ściągnie mnie z powrotem — zaśmiał się Elryk. — Boję się tylko, że ulegnę i wrócę przed końcem poszukiwań.

— Chciałbym iść z tobą — powiedział Rackhir. — Podróżowałem po wielu krajach i byłbym równie dobrym przewodnikiem, jak i w tamtym świecie. Przyśiągnę jednak odnaleźć Tanelorn, choć z tego co wiem, ono tak naprawdę wcale nie istnieje.

— Mam nadzieję, że je odnajdziesz, Wojowniku Kapłanie z Phum — rzekł Elryk.

— Nigdy już nim nie będę — odparł Rackhir. Nagle jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. — Patrz! Twój okręt!

Elryk obejrzał się. Zobaczył, że statek nazywany niegdyś Okrętem, Który Żegluję Ponad Lądem i Morzem powoli tonie. Król Straasha zabierał go do swego królestwa.

— Przynajmniej żywioty są naszymi przyjaciółmi — zauważył Elryk. — Boję się jednak, że ich potęga słabnie, tak jak słabnie potęga Melniboné. Całe zło, jakie widzą w nas mieszkańcy Młodych Królestw, w dużej mierze dzielimy z duchami Powietrza, Ziemi, Ognia i Wody.

— Zazdroszczę ci takich przyjaciół, Elryku. Możesz im ufać — rzekł Rackhir, gdy maszty okrętu zniknęły pod wodą. Spojrzał na runiczny miecz, wiszący u boku Elryka. — Rozsądnie byłoby jednak, gdybyś nie ufał niczemu więcej — dodał.

Elryk roześmiał się.

— Nie bój się o mnie, Rackhirze. Jestem sam sobie panem, przynajmniej na rok. A teraz jestem także panem tego miecza.

Wydawało się, że Zwiastun Burzy poruszył się u jego boku. Elryk ujął mocno jego rękę i klepnął Rackhira w plecy. Roześmiał się znowu i potrząsnął białymi włosami, aż zatańczyły na wietrze. Wzniósł ku niebu swoje dziwne, purpurowe oczy i powiedział:

— Będę zupełnie innym człowiekiem, gdy powrócę do Melniboné.